

TOM I
PRZEKŁĘTE WODY
POTWORY Z „AQUARIUSA”



Maire Harcourt

Tytuł oryginału:

Potwory z „Aquariususa”

Copyright: © 2022 by Maire Harcourt

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie I, 2022

ISBN: 978-83-965321-7-6

Grafiki na okładce:

Pixabay

Opracowanie graficzne okładki:

Maire Harcourt

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom. Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

TOM I
PRZEKŁĘTE WODY
POTWORY Z „AQUARIUSA”



KRATERIA

BEZPIECZNE
WODY

ŁOWISKA

LATARENKA

PIRATÓW

DALA

SKULL
TERRA

CZERWONE
SKALY

Złuda Żeglarza

WYSPA
ODROBINY
NADZIEJI

Przesmyk
Kości

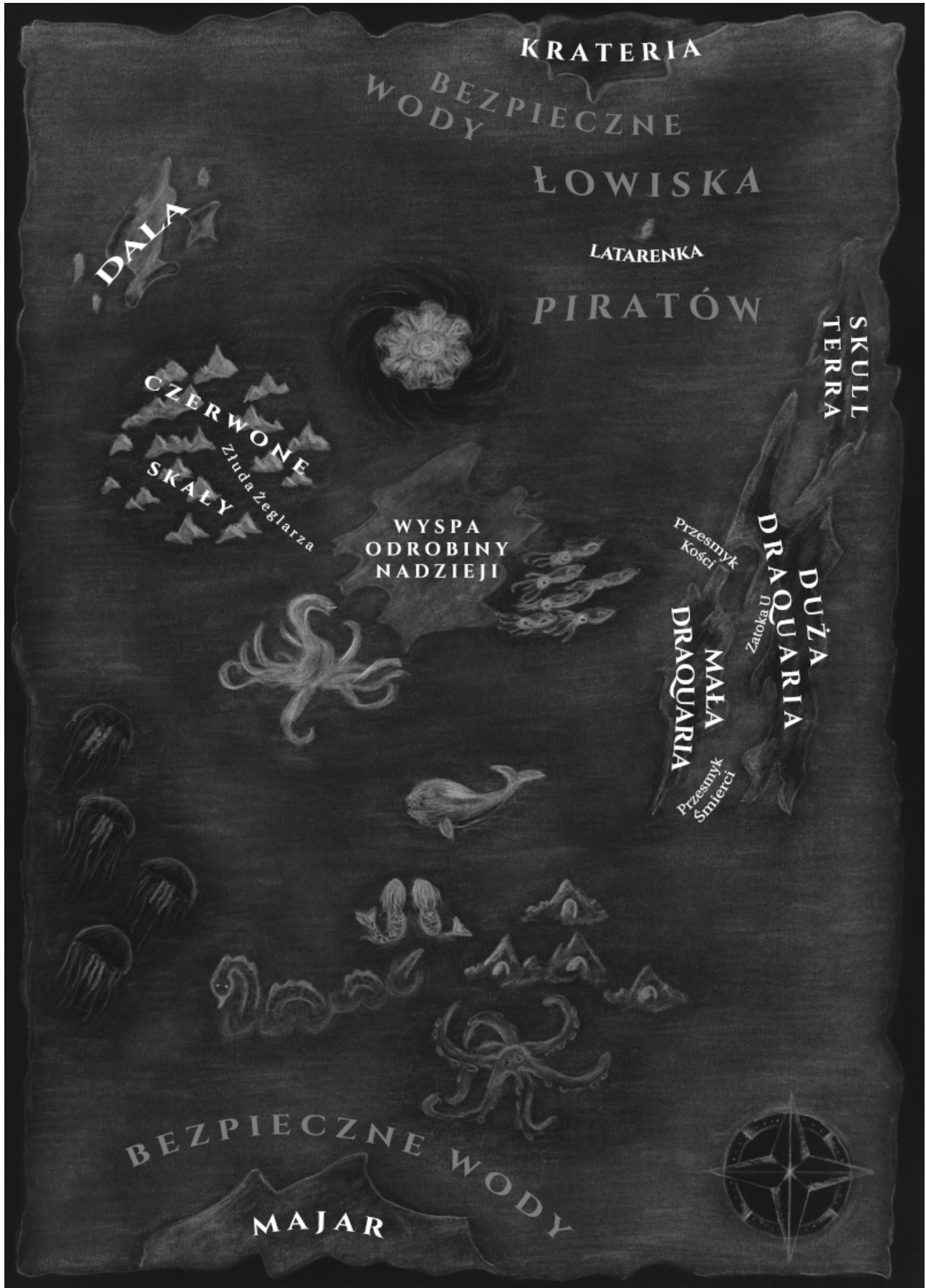
DUŻA
DRAQUARIA

Zatoka U

MAŁA
DRAQUARIA

Przesmyk
Śmierci

BEZPIECZNE WODY
MAJAR



*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 6
na Bestialskim Morzu*

Wodo,

Zabijająca i pożerająca nadzieję.

Zimna i bezduszna.

Wypełniasz wszystkie moje sny, zabijasz moje marzenia.

Jesteś wszędzie wokół, za burtą, pod nami, w mojej głowie.

Mówią, że dajesz życie, ale ty zabijasz.

Zwodzisz nas i prowadzisz ku zgubie. Moją nadzieję pochłonęłaś już dawno.

Innych zresztą także. Czterech już strącono w twe otchłanie, by wykupić nam drogę.

Jak mogą to robić? Jak, za taką cenę?

Miażdży nas strach, chłodny i mętny, taki sam jak ty. I też ma swą głębię, do której my wszyscy zmuszeni jesteśmy zaglądać każdego dnia i każdej nocy. Jedyne kapitan zdaje się wcale nie trwożyć o swój los. W końcu nie ma powodu. Jest ostatni w kolejce na śmierć. Jeśli przyjdzie mu zginąć, to jedynie wówczas, gdy cały okręt pójdzie na dno.

Ja nie mam tego szczęścia. Czy mam jakieś w ogóle? Pozycja uzdrowicielki kupiła mi nieco czasu, ale wiem dobrze, że jeśli nie strączę mnie w twe odmęty teraz, zrobią to w drodze powrotnej.

Wodo, bystra i bezlitosna.

Nie pozwól, bym zmuszona była utonąć w twych odmętach.

Reyna

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„AQUARIUS”

Mieszkałam w Port-Majar odkąd pamiętam.

Teraz zmierzam ku nieuniknionej śmierci.

Majar nigdy nie był miejscem, które bym uwielbiała. Może i mamy tam plażę, sławną na całe południe Akademii Morską, a klimat ciepły, jednak mnie od zawsze ciągnęło do czegoś więcej. Ale nie chciałam, by doszło do tego w taki sposób.

Z Port-Majar jest też prosta droga do królewskiego pałacu, co okazywało się dość korzystnym faktem, kiedy ojciec był nadwornym medykiem. Odesłano go jednak, gdy wydało się, że poślubił wiedźmę. Choć prawda jest taka, że moja matka jest jedynie zielarką, popadliśmy w niełaskę. Widać szczęście jest czymś tymczasowym i bardzo zmiennym w naszej rodzinie.

Jest jeszcze Krateria.

Majar i Krateria leżą na dwóch przeciwległych krańcach morza, a od niepamiętnych czasów wzbogacają się na wzajemnym handlu. Jest jednak pewien znaczny problem w transporcie towarów pomiędzy Port-Majar, a Port-Kraterią – dwoma miasteczkami portowymi. Morze, które je dzieli, to Bestialskie Morze.

Jakieś osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt lat temu w morzu pojawiły się potwory, monstra czyhające na przepływające statki, zatapiające je i pożerające załogę. Drogą lądową nie dało się odbyć podróży z kilku powodów, a najniebezpieczniejszym z nich był czas. Kolejne wiązały się z koniecznością przebycia dwóch krain, z czego mieszkańcy jednej liczyli sobie zbyt wielkie opłaty za przejazd z towarem, a druga pozostawała w stanie konfliktu z Księstwem Kraterii.

Można byłoby również przeprować się okrężną drogą przez Wielki Ocean, ale ta trasa zajmuje pięć razy więcej czasu i jest zupełnie nieopłacalna.

Ludzie zaczęli główkować, a kiedy ludzie zamiast naprawdę myśleć główkują, nie wychodzi z tego nic dobrego.

I to właśnie te półgłówki wykombinowały, jak pokonać trasę przez Bestialskie Morze i oszukać potwory. Sęk w tym, że nie było to możliwe bez strat w ludziach.

Przed każdym rejssem, kapitan najmował dokładnie osiemnastu skazańców, obiecując im, że, jeśli uda im się przeżyć podróż przez morze, będą wolni. Mało kto przeżywał podróż przez to morze.

Jedynie, co mogę, to mieć nadzieję, że będę jednym z tych wyjątków.



Byłam w domu, kiedy to wszystko się zaczęło. Od tygodni było głośno o tym, że kolejny statek wypływa, żeby przewieźć towary do Kraterii, a potem przywieść kolejne do nas. Kapitanem mianowano Jamesa Crepusculum, jakiś czas temu i o nim było głośno. Przybył z południa, ukończył Akademię Morską w wieku osiemnastu lat, a zatem najszybciej, jak to możliwe, i zatrudnił się na okręcie, po to, by trzy lata później awansować na kapitana. Otrzymał przydzielony okręt i wypłynął w morze. Wystarczył mu rok, by cały świat poznał jego imię. Dwa, by stał się żywią legendą.

Jego nowy statek nazwano „Aquarius” na cześć boga pogody i złego oblicza wody. Nazwa ta miała uchronić statek przed potworami i dać załodze nadzieję, że ich okręt pobłogosławił sam bóg. Ale, kto by się dał na to nabrać, gdy każdy wyruszający na Bestialskie Morze doskonale zdaje sobie sprawę, że nie da się przez nie bezpiecznie przepłynąć?

To był dzień przed tym, gdy „Aquarius” miał wypłynąć. Właściwie to niemal wieczór. Najpierw usłyszałam pukanie do drzwi naszego domu. Ktoś wszedł, głośno tupiąc butami, a potem rozległy się krzyki i awantura. Zaalarmowana

zeszłam na schody, dokładnie wtedy, gdy troje oficjalnie ubranych mężczyzn zaczęło po nich wychodzić. Na mój widok pierwszy z nich uśmiechnął się triumfalnie. Był dość niski, opalony, jak to marynarz, o krótkich, siwych włosach. Pierwszy oficer „Aquarius”.

Co robił w naszym domu?

– Reyna, córka Johna?

– Ja? – wydusiłam z siebie zdezorientowana.

Triumfalny uśmiech jedynie się powiększył.

W tej samej chwili rodzice znaleźli się u podnóża schodów. Mama płakała. Ojciec coś wrzeszczał, nie wiem... nie rozróżniałam jego słów, skupiona na tym, co mówił do mnie pierwszy oficer.

– Z rozkazu kapitana Crepusculum zostałam mianowana pokładowym medykiem i dostąpisz zaszczytu wyruszenia w rejs do Kraterii. Jutro.

– Ona nie może! – dobiegł mnie zrozpaczony głos mamy. – Nie macie prawa!

– Ja nie... – wydukałam. – nie mam przeszkolenia. I nie jestem pełnoletnia. Nie mogę pełnić funkcji medyka. – oznajmiłam, siląc się na spokojny ton. Przecież nie mogli mnie zmusić żadną siłą. Nie mogli... prawda?

– Zostałam mianowana medykiem – rzucił ostro oficer. – i czy chcesz, czy nie, jutro wyruszasz w morze.

– Nie możecie! – warknął ojciec. – Nie ma uprawnień, by leczyć kogokolwiek i nie zgłaszała się na ochotnika. To niemal morderstwo! Bezprawne morderstwo! Jeśli król...

Nagle zaschło mi w gardle. Nie każdy z okrętów, które wypłynęły na te wody wracał. A tych, których załoga powróciła w komplecie było naprawdę niewiele.

Ojciec miał rację. Zabierając mnie na pokład, skazywali mnie na śmierć.

– Z tego co wiem, nie jest pan już mile widziany na dworze. – zauważył oficer.
– Król pana nie wysłucha.

– Nie macie prawa odbierać nam córki! – łkała mama, a ja, korzystając z zamieszania, wolnym krokiem ruszyłam na górę.

Nie wiem, co zamierzałam. Chciałam uciec, a oni blokowali mi drogę na dół. Może liczyłam, że uda mi się wymknąć przez okno, choć nie wiem czy odważyłabym się skoczyć z pierwszego piętra ani, jak by się to dla mnie skończyło. Równie dobrze mogłam dobrowolnie udać się z nimi na „Aquarius”.

Oficer skinął głową na swoich towarzyszy, dwoje napakowanych, rudowłosych marynarzy, którzy dopadli mnie w ułamku sekundy, chwycili pod ręce i zawlekli na dół.

Opierałam się i krzyczałam. Płakałam i szamotałam się. Ale to było na nic. Wyrok już zapadł. Byłam na wpół w grobie, którego nigdy mi nie wykopią.

Tamci patrzyli z pogardą: na mnie, na moją matkę, którą z pewnością mieli za wiedźmę, mojego ojca, który stracił pracę na dworze królewskim i popadł w niełaskę. Gdy teraz patrzę na to z perspektywy czasu, wiem już, dlaczego padło na mnie. W Majarze zazwyczaj dziecko szło w ślady rodziców, a zatem z pewnością sądzili, że uczę się na lekarkę. Byłam takim łatwym celem. Samotnym, za którym nikt się nie wstawi, którego nie da się ocalić.

I miałam dokładnie tak zginąć: samotna. Nie do ocalenia.

Zmrok zaczął zapadać, gdy wlekli mnie przez miasto. Z początku rodzice ruszyli za nami, próbowali mnie ocalić, ale nadaremno. Nie mogli nic zrobić. To wszystko było odgórnie zaplanowane. Wiedzieli dokładnie, że to muszę być ja. Wtedy jednak nie rozumiałam.

Ciągle zastanawiałam się i pytałam w duchu: ale dlaczego ja? Na co przyda im się córka medyka i zielarki, która nie ma bladego pojęcia, jak objawia się szkorbut? Wynagrodzenie, jakie oferują mogło skusić niejednego medyka, dostatecznie zdesperowanego, mającego znacznie lepsze wykształcenie niż ja.

Dzisiaj w koszmarach widzę czerwone światła lamp oświetlających drogę do portu i nabrzeże. Dających nadzieję i wskazujących żeglarzom, że to, co najgorsze już za nimi, że wrócili do domu. Już nic złego się nie stanie. Już wróciliście, możecie odpocząć.

Ale dla mnie to czerwone światło kojarzy się tylko ze strachem i niesprawiedliwością losu. Gdy szliśmy nabrzeżem, pamiętam dokładnie, jak jedna

zaczęła blednąć, rzucając mroczną poświatę, po to, by za chwilę zgasnąć na dobre. Tak umiera płomyk nadziei.

– Puśćcie mnie! – mój głos nie brzmiał już tak donośnie i pewnie, tak długo krzyczałam. Zastanawiałam się, czy nie prościej się poddać, skoro to wszystko i tak na nic. W mojej sytuacji było coś, co przypominało tonięcie: z początku walczyłam do utraty sił, ale, gdy dostrzegłam, że to na nic, poddałam się, bo, czy pozostał mi jakikolwiek wybór?

Byłam stracona.

Wciąż jestem.

Wylądowałam pod pokładem związana i zakneblowana, choć przestałam się szamotać jeszcze przed wejściem na statek.

Dumny „Aquarius”.

Powiedzieli mi, że mam być medykiem, ale nie widziałam różnicy pomiędzy położeniem moim, a kilkunastu niewolników, czekających na swój koniec w paszczach potworów.

Oni też nie mieli żadnego złudzenia wolności.

Jest taka zasada, że rekrutując niewolników przed wyruszeniem na Bestialskie Morze, zawsze najpierw pyta się o ochotników. Ci spośród więźniów, którzy przeżyją rejs, zostają ułaskawieni i uwolnieni. Są też ostatni w kolejce na śmierć. Na początku nawet się na to nabierano, ale teraz... teraz każdy więzień wie doskonale, że niewolnicy to właśnie przepustka, cena, jaką płacą kapitanowie za bezpieczne przepłynięcie tych przeklętych wód. Wszyscy niewolnicy giną. Nie ma już ochotników. Teraz wykupuje się największych zbrodniarzy i najgorszych morderców. Załatwiają w ten sposób dwa problemy naraz: kapitan ma łapówkę dla potworów, król ma problem skazańców z głowy.

Z resztą załogi jest inaczej. Zaciągają się jedynie chętni, a, w nagrodę, otrzymują ogromną zapłatę. Istnieje oczywiście ryzyko, że więźniów nie wystarczy i najmniej potrzebni członkowie załogi podzielą los niewolników, ale i tak znajdują

się ludzie na tyle zdesperowani i potrzebujący pieniędzy, że ochotników jest pod dostatkiem.

Tylko, że potwory stają się coraz bardziej głodne.

Spośród ostatnich kilku rejsów, żaden nie obył się bez ofiar pośród załogi. Dwukrotnie zginął i medyk.

Jednak to, co mnie spotkało, było inne, bardziej okrutne. Porwano mnie, zmuszono, bym wzięła udział w tej samobójczej wyprawie. Nie musiałam nawet się zastanawiać, by wiedzieć, że to nielegalne.

Nawet nie marzę o tym, że w ogóle dostanę wynagrodzenie.

Pierwszy oficer nakazał mi siedzieć pod pokładem w milczeniu i nie wychylać się, nim statek nie ruszy w morze. Nie musiał mi tego nawet mówić, przecież zostawił mnie związaną.

Jednak, gdy tylko wyszedł, na nowo obudziła się we mnie wola przetrwania. Chciałam żyć.

Nie chciałam ginąć, nie w ten sposób.

Zdesperowana robiłam wszystko, by się uwolnić, szarpałam sznury, potem, gdy nieco się uspokoiłam, drżącymi palcami starałam się rozpuścić supły. Donikąd mnie to nie doprowadziło: przecież marynarze są mistrzami węzłów.

Zawsze, nim statek wypłynie, cała załoga zbiera się na pokładzie, wszyscy, prócz niewolników. Kapitan przedstawia wtedy każdego, błogosławi go, jako posłaniec Aquariusza, boga zdradzieckich wód i Pisces – bogini łagodnych. Dopiero po tym wypływa się w morze. Dlatego nieco, choć tylko nieco, zaskoczyło mnie, gdy poczułam kołysanie okrętu.

Wypłynęliśmy.

Wszyscy otrzymali już błogosławieństwo bogów, prócz mnie. Nie byłam nigdy szczególnie wierząca w Wielką Dwunastkę, ale znaczyło to dla mnie coś innego. Coś więcej, niż przychylność bogów, o wątpliwym istnieniu. Wiedziałam już doskonale kim jestem na tym pokładzie. Na pewno nie medykiem.

Raczej kimś pokroju niewolnika.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
na Bestialskim Morzu*

Wodo.

*Czemu zwracam się do ciebie, a nie do gwiazd czy księżyców? Przecież to one
każdej nocy oglądają tyle bólu, zadawanego światu.*

One ponoć są sprawiedliwe.

*Zawsze, gdy na nie patrzyłam, czułam się bezpieczna, ale gdy patrzę w twoją
taflę, niezależnie ile gwiazd się w niej odbije, wydają się zimne i odległe.*

Chyba już się pogodziłam.

Chyba już się poddałam.

Reyna

ROZDZIAŁ DRUGI

NA BEZMIARZE BŁĘKITU

Nie wiem ile minęło godzin, ile minut, ile żyć przemknęło, bo nie potrafię nawet określić, czy dzień przemienia się w noc, a noc w dzień.

Ale w końcu po mnie przychodzą, ci sami, którzy mnie porwali, prócz oficera. Rozwiązują mnie i wyprowadzają.

Nawet nie walczę, po co walczyć, skoro jedyna droga ucieczki, to dotarcie gdzieś wpław. A to właśnie spotkania z wodą tak bardzo chciałabym uniknąć.

Nie traktują mnie już jak więźnia... to znaczy, poniekąd. Pokazują mi moją kajutę i po prostu zostawiają.

Obrzucam ją szybkim spojrzeniem. W środku nie ma nic, prócz koi i skrzyni z ubraniami na zmianę. Dziwię się, że w ogóle je otrzymałam.

Nie chcę spędzać pod pokładem ani chwili dłużej.

Gdy tylko znajduję się na górze, błędzę wzrokiem, szukając Majaru, mając nadzieję, że tylko metry dzielą mnie od jego brzegów.

Ale nie.

Jest za daleko.

Kilkoro marynarzy stoi opartych o burtę i patrzy tęsknie w stronę znikającego za horyzontem lądu. Staję obok, ale w moim spojrzeniu jest jedynie żal. Patrzymy, jak miasto staje się maleńkim punktem na linii horyzontu. Jak ginie wraz z nadzieją, że to tylko sen, że to koszmar, z którego w każdej chwili mogę się wybudzić.

Złudzenie znika wraz z ostatnim skrawkiem lądu. Teraz jesteśmy tylko my: załoga okrętu płynącego ku zgubie, maleńki punkt na bezmiarze błękitu.

Marynarze z rezygnacją odsuwają się od burty. Wtedy dopiero zwracają na mnie uwagę. Wydają się zaskoczeni moim widokiem, potem pojmuję czemu.

Jedyna kobieta na pokładzie.

To znaczy, oprócz topicielki, ale ona raczej się nie liczyła.

To nie tak, że kobiety nie żeglowały, wręcz przeciwnie. Ale na samobójcze rejsy po Bestialskim Morzu na ogół nie wypływały.

Jestem straceńcem, więźniem, przyszłym pokarmem dla potworów, a na dodatek jak widać zaskakującą atrakcją. Czy może być jeszcze gorzej?

Może.

Nie znam jeszcze kapitana.



Na samym początku niemal nie pojawiałam się w swojej kajucie. Wolałam wszystko, niż przebywanie w maleńkim, ciasnym pomieszczeniu, które nader dotkliwie przypominało mi miejsce, w którym zamknięto mnie po zaciągnięciu na pokład, a zatem i o tym, że jestem tu wbrew własnej woli.

Kiedyś chciałam podróżować, zobaczyć południowy kontynent, stepy wschodu, lasy północy. Świat jest taki olbrzymi, a ja znam jedynie jedno małe portowe miasteczko. Chciałam zobaczyć wszystko.

Teraz jedyne czego pragnę, to spędzić resztę życia w tym właśnie małym, nudnym miasteczku. Przynajmniej byłabym żywa.

Jednak przebywanie na pokładzie, bycie wytykaną i wyśmiewaną, dało mi w kość tak mocno, że powoli przestałam w ogóle opuszczać swój bezpieczny kąt pod pokładem.

Myślałam, że nie wytrzymam czekania na śmierć w samotności, w klaustrofobicznym pomieszczeniu z jednym, maleńkim bulajem, o który wciąż uderzały fale. Myślałam, że przebywanie pośród towarzyszy niedoli to znacznie lepsze rozwiązanie. Jednak, za każdym razem, gdy pojawiałam się na górze,

pojmowałam swój błąd. Załogę stanowili zdesperowani absolwenci Akademii Morskiej, wszyscy tak do siebie podobni z tą trwogą wymalowaną na twarzach, że niemal nie do rozróżnienia. Nie poznawałam już nawet, którzy z nich towarzyszyli pierwszemu oficerowi, gdy mnie porwano. Na pokładzie czułam się jakbym tonęła w morzu identycznych postaci.

W mojej kajucie przynajmniej mam spokój.

Były jednak takie chwile, kiedy musiałam wyjść. Może nie na pokład, ale do mesy, bo wszyscy marynarze spożywali posiłki razem. Wszyscy, prócz kapitana Crepusculum, ale jego to właściwie z rzadka można było zobaczyć gdziekolwiek.

W mesie jest okropnie. To pomieszczenie małe i ciasne, niewiele większe od kajut załogi, ale miejsce pod pokładem było przecież ograniczone. Każdemu marynarzowi, który wyruszał na Bestialskie Morze przydzielano własną kajutę, tylko niewolnicy byli zebrani razem w, jak to nazywają, „piwnicy”. Myślałam czasem, że jest im z tego powodu lepiej, mają przynajmniej towarzystwo, ale prawda jest taka, że towarzystwo to coś, czego na tym pokładzie lepiej unikać.

Posiłki, jakie nam podają, przypominają breję o bliżej nieokreślonym zapachu, mdłym smaku i kolorze ni to białym, ni to szarym. Poza tym w pomieszczeniu panuje duszna atmosfera, smród jedzenia, potu i wszechobecnego strachu.

Gdybym mogła, nie przebywałabym tam w ogóle, ale musiałam. Nawet niewolnicy musieli jeść resztki z naszego stołu, choć, jestem pewna, że potwory pożarły by także i zwłoki.

Po kilku posiłkach w mesie zaczynam zauważać pewien wzór: chwilę przed przybyciem załogi przynosi je chłopiec, może dziesięcioletni – pomocnik kucharza. Zbiera je kucharz we własnej osobie. Mały chłopiec wydaje się być bezpieczniejszą opcją, więc to z nim decyduję się porozmawiać trzeciego dnia pobytu na „Aquariusie”. On przynajmniej nie nosi za pasem tasaka.

Przychodzę do mesy znacznie szybciej, niż w porze obiadowej. Załoga może przemieszczać się po całym statku, nie licząc piwnicy i kajuty kapitana, nikt mnie więc nie zatrzymuje. Zgodnie z moimi przewidywaniami, chłopiec pojawia się

chwilę później, niosąc drewniane miski pełne ohydnej brei. Ma jasne, rozczochrane włosy i oczy przepełnione zaskoczeniem na mój widok.

Ale nie pogardą. To między innymi dlatego zdecydowałam się z nim porozmawiać.

– Obiad będzie... za dziesięć minut. – mówi niepewnie, machinalnie wycierając ręce w materiał czarnej kamizelki.

Każdy marynarz na pokładzie nosił coś czarnego. Jakby taki niemy akt żałoby nad samym sobą. Ten chłopiec jednak ma jasną koszulę i lniane spodnie. Tylko ta kamizelka...

– Jesteś pomocnikiem kucharza? – pytam. Wiem o tym, ale musiałam coś powiedzieć, przypomnieć sobie jak to się robiło. Od czasu, kiedy niemal zdarłam sobie gardło trzy dni wcześniej, ciągle milczałam.

– Jestem Jonathan. – mówi. Wciąż wyciera ręce w kamizelkę, choć zdecydowanie są czyste. Zaczyna mi to przypominać bardziej tik nerwowy.

Nie odpowiedział na pytanie, ale to pewnie dlatego, że jest równie przerażony, co ja.

– Jestem Reyna. Jestem tu medykiem. – ryzykuję. Właściwie, czy go okłamałam? Oficer powiedział, że pełnię na „Aquariusie” rolę uzdrowiciela, może pora zacząć ją odgrywać. – Chciałabym cię o coś prosić.

– O co? – pyta. Teraz jest bardziej zaciekawiony niż przestraszony. Nie sądzę zresztą, abym wyglądała zbyt groźnie.

– Nie potrafię tego znieść. – mówię. Rozmawiam z kimś po raz pierwszy od porwania na ten przeklęty okręt i dziwnie się z tym czuję. – Posiłków tutaj, tego tłoku, smrodu...

– Marynarzy? – chłopiec odzywa się nieco pewniej. – Ja też. Ale ja zawsze jadam w kuchni ze stryjem.

– Kucharz to twój stryj?

– Tak. – potwierdza, nieco zbyt energicznie kiwając głową. – Dlatego dostałem się na ten rejs. Stryjek mnie zabrał. Chciał mi pokazać morze. Gdy wrócę, za zarobione pieniądze rozpocznę Akademię Morską. Świetnie, nie?

Biedny, naiwny dzieciak, nieświadomy, ile śmierci przyjdzie mu oglądać w czasie tej podróży.

Tylko kiwam głową, bojąc się, że ton głosu zdradzi, w jak dużym jest błędzie, jak okrutne są te wody i, że chęć zaznania przygód, może przypłacić tu życiem.

– O co chciałaś mnie prosić? – pyta po chwili.

– Zauważyłam, że zawsze to ty roznosisz posiłki. – zaczynam niepewnie.

– Tak.

– Czy mógłbyś przynosić moją porcję pod drzwi kajuty?

Jonathan patrzy na mnie, przekrzywiając głowę.

– Mógłbym. – mówi w końcu.

Od tamtego czasu jadam wszystkie posiłki w swojej kajucie. To mój azyl, jedyne miejsce, do którego inni nie mają wstępu bez zaproszenia.

Od tamtego czasu także nie odbyłam z nikim przyjaznej pogawędki. Nawet jakiegokolwiek pogawędki, której nie określa się takimi przymiotnikami, jak wroga, czy przynajmniej niemila.

Czasami wyobrażam sobie, że gdy przyjdzie moja kolej, to dopiero wtedy znów poczuję zapach świeżego powietrza. Po raz ostatni, wleczona na śmierć przez topicielkę. Lubię sobie wyobrażać, że przez przypadek to ona wpada do paszczy potwora.

Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 5
na Bestialskim Morzu

Wodo.

Powiedz mi, choćby tylko w szumie fal, które tworzysz, dlaczego? Czemu pozwoliłaś, by te monstra znalazły u ciebie dom, by mąciły twą taflę plamami krwi.

Sprawiają, że na wieki kojarzona będziesz z okrucieństwem.

Sprawiają, że boją się ciebie i nienawidzą.

Kiedyś było inaczej, pamiętasz? Bo ja nie, ja pamiętam tylko potwory, odkąd żyję, były tylko one. Ale księgi i kroniki dawnych czasów nie kłamią. Kiedyś, w innej erze, statki płynęły tędy bez obaw.

Dlaczego pozwalasz, by robiono z ciebie miejsce rzezi?

Czyżbyś była tak okrutna jak mawiają?

Niech twoja nienawiść nie będzie równie bezbrzeżna, co błękit twych wód, po których przyszło nam podróżować... ale wiem, że te słowa są daremne, bo ostatnie, co zobaczę to właśnie twoja toń.

Kiedyś sądziłam, że jesteś bardziej bestialska, niż ludzie na tym pokładzie. Myliłam się. Ty i kapitan jesteście siebie warci.

Reyna

ROZDZIAŁ TRZECI

POTWORY NA POKŁADZIE I POD POKŁADEM

To było oczywiste, że natkniemy się w końcu na potwory. Po to przecież płyniemy, jak się nam zdaje. Nie z przyczyny wymiany towarów z Kraterią. Na śmierć.

A jednak, te niespełna pięć dni na pokładzie „Aquariususa”, kazały nam myśleć, że te bestie są czymś odległym, że nasz czas na tym statku jest jedynie przepełniony oczekiwaniem i lękiem czegoś dalekiego.

Ale, niespełna dobę po opuszczeniu bezpiecznej strefy, nasze złudzenia legły w gruzach. Pierwszy potwór niemal przewrócił nasz statek.

Pierwszą bestią był kraken, ale ja osobiście odniosłam wrażenie, że pierwszym potworem, jaki stanął mi na drodze podczas tego rejsu, był kapitan Crepusculum.

Widziałam kiedyś mapy Bestialskiego Morza. Pamiętam je w najdrobniejszych szczegółach: kształty wysp na wschodzie, tych na północnym zachodzie i większej na środku morza.

Na mapach rysowano też monstra. Zawsze. Stały się już tak nieodłącznym elementem tych wód, że nie ma kartografa, który nie umieściłby ich na swym dziele. Właściwie na tych mapach więcej było potworów, niż samej wody. Zawsze uważałam to za przesadę, nadmiernie wybujałą wyobraźnię.

Myliłam się odnośnie tylu rzeczy, że nikt już tego nie zliczy.



Na mapach bezpieczna strefa zazwyczaj zamalowana jest na zielono zarówno po stronie Majaru, jak i Kraterii. W rzeczywistości jednak nie miałam pojęcia, kiedy ją przekroczyliśmy. Wody wydawały się spokojne, ciągle takie same, niezmiennie. Ta monotonia, choć ciągnęła za sobą straszliwe następstwa, sprawiała także, że czasami zapominałam o potworach. Bo gdzie mogłyby się czaić, skoro tafla jest taka gładka i niczym nie zmaczona?

Gdybym wiedziała, że bezpieczna strefa jest już za nami, nigdy nie wyszłabym na pokład.

Czasem można mnie jeszcze było znaleźć na górze. Ale to był ostatni raz. Teraz wiem, że nie odważę się na to już nigdy więcej. Wolę zgnić w tej ciasnej, zatęchłej kajucie, niż patrzeć na kolejne bestie, czyhające na nasze życia.

Ale wtedy wyszłam. Zrobiłam to i nie cofnę już czasu.

Niech ktoś tylko wymaże te wydarzenia z mojej pamięci.

Było spokojnie. Nudno i spokojnie. Jonathan – Joy, jak mówią na niego na pokładzie – minął mnie w biegu. Gdzieś przede mną dwóch marynarzy grało w warcaby. Wciąż ich nie rozróżniałam, właściwie nadal ich wszystkich nie rozróżniam. Nie widzę nawet sensu by zaczynać się ich uczyć. Zmierzamy ku zagładzie, po co kogokolwiek tu rozpoznawać? Po co do czegokolwiek się przywiązywać? Jesteśmy bandą anonimowych straceńców. Gdy jednak bardzo się skupiałam, wydawało mi się, że rozpoznaję tych dwóch rudowłosych marynarzy, którzy towarzyszyli pierwszemu oficerowi tamtego okropnego dnia, gdy zostałam przywleczona na statek. Sternik i nawigator. To któryś z nich grał w warcaby. Obok jakiś chłopiec okrętowy zaczął szorować pokład.

Wtedy podłoże pod naszymi stopami lekko zadrżało. Lekko, ale wystarczyło, bym się zachwiała i upadła. I wystarczyło, by wiadro z wodą przesunęło się tuż pod moje nogi, przewróciło i oblało mnie całą.

Wtedy jeszcze nie pojmowałam, co oznaczał ten wstrząs. Wtedy najbardziej przejęło mnie to, że jestem cała mokra i zdenerwowana.

Nieszczęście dopiero się rozpoczynało.

Od czasu, gdy zaciągnięto mnie na pokład „Aquarius”, tak naprawdę nie widziałam kapitana na tyle dokładnie, by się mu uważniej przyjrzeć. Zdarzało się jedynie, że dostrzegałam go gdzieś w oddali. Ominęło mnie oficjalne przedstawienie przed wyruszeniem w rejs, które przeczekałam związana pod pokładem, Crepusculum nie jadał także z pozostałymi marynarzami w mesie. Ale musiał przecież bywać na pokładzie, w końcu odpowiadał za ten przeklęty statek. Jak się okazało równie przeklęty, co i on.

Ale wtedy, właśnie wtedy, gdy nie potrafiłam już usiedzieć w kajucie, gdy potrzebowałam świeżego powietrza i zaskoczył mnie ten dziwny wstrząs, gdy tak ślęczałam przemoknięta na deskach pokładu i marzyłam jedynie o tym, by czmychnąć do tej głupiej kajuty i znaleźć coś suchego, podniosłam głowę i napotkałam gniewne spojrzenie kapitana Crepusculum we własnej osobie.

Właściwie nie zdążyło to do mnie do końca dotrzeć, bo złapał mnie za koszulę i pociągnął do pionu.

– Kim ty, do cholery, jesteś? – spytał.

Mówili prawdę, że Crepusculum to diabeł, który opętał chłopaka z południa zaraz po ukończeniu Akademii Morskiej. James Crepusculum wyglądał dokładnie jak demon. Dziwne tylko, że z jego oczu nie trzaskały płomienie. Włosy miał niemal czarne i potargane przez wiatr. Skórę oliwkową, jak wszyscy z południa. Te piekielne oczy ciemne. Zawsze myślałam, że brązowe oczy nie mogą być zimne, że w nich zawsze czai się ciepło, ale nie. Te były lodowate. I ubrany był, jakby wrócił właśnie z podziemia. Czarna koszula, ciemne spodnie i wysokie buty. Płaszcz w kolorze brudnej, zastygłej krwi.

Cofam to, co powiedziałam o oczach. Wtedy ciskał we mnie płomieniami.

– Pytam, kim, do cholery, jesteś? – powtórzył.

– Reyna. – powiedziałam pospiesznie. Głos miałam ochrypły, na tym statku rzadko go używałam.

– Nie obchodzi mnie twoje imię. Kim tu jesteś?!

– Medykiem.

– Nie pamiętam cię. – fuknął.

Nie mógł. Nie było mnie na przyjmowaniu błogosławieństwa.

Poszukałam wzrokiem Joy'a. Rozmawiałam z nim zaledwie raz i nie sądzę, by mnie pamiętał, ale miałam może jakąś nikłą nadzieję na interwencję, na ratunek... ale czego ja się spodziewałam? Że dziesięcioletni chłopiec rzuci się z miotłą na kapitana okrętu?

Joy'a nie było. Była za to grupa marynarzy, szukających sensacji na tym nudnym statku. Ja byłam chyba idealną kandydatką na główną rolę w takim dramacie.

Crepusculum omiół wzrokiem pokład. Deski kleiły się od brudu, wiedziałam o tym doskonale, przed chwilą niemal na nich leżałam. Dłonie wciąż miałam brudne. Chłopiec okrętowy odpowiedzialny za sprzątanie już gdzieś umknął. Mop leżał porzucony pod burtą.

Wzrok kapitana ponownie spoczął na mnie. Patrzył tak, jakby to nie mnie oblano, a jego samego, co gorsza, jakbym to ja osobiście chlusnęła na niego wodą.

Po głowie przemknęła mi szybka myśl, że właściwie jestem cała przemoczona, ale miałam to gdzieś. Wtedy najbardziej bałam się o własne życie. Kwestia prezentacji mieściła się gdzieś na końcu listy priorytetów.

– Kapitanie! – rozległ się za nami okrzyk sternika. Biegł w naszą stronę, wymachując na boki lunetą. Wyglądał na równie przerażonego, co ja chwilę wcześniej.

– Czego! – ryknął Crepusculum, w końcu łaskawie wypuszczając moją koszulę. W oczach miał mord. Gdyby teraz ktoś próbował mi wmówić, że na Bestialskim Morzu zagnieździła się ósemka potworów, wyśmiałabym go i powiedziała, że potworów jest dziewięć, a najgorszym z nich jest James Crepusculum.

– Kapitanie! Bestia! Bestia przed nami! – krzyczał chaotycznie sternik.

Spróbowałam skorzystać z okazji i uciec, jednak nie umknęło to uwadze kapitana. Chwycił mnie tym razem za warkocz, a ja nawet nie drgnęłam, świadoma, że jeśli spróbuję uciec, to okropnie zaboli.

Crepusculum odebrał od sternika lunetę i spojrzał przez nią w dal.

– Kraken – mruknął pod nosem. – Dlaczego, do diabłów, nie powiedzieliście wcześniej?

Spojrzałam w tą samą stronę co i pozostali. Nie trzeba było lunety, gołym okiem widać było macki wynurzające się ponad powierzchnię.

Były ogromne. Każda jedna większa od naszego statku.

– Fabius wyliczył, że dopłyniemy do topieliska krakena dopiero wieczorem...
– zająknął się sternik.

Fabius musiał być zatem nawigatorem.

– Stracił właśnie jedną ósmą wynagrodzenia. – oznajmił Crepusculum, nie spuszczać wzroku z potwora przed nami. – A w Kraterii wymienimy go na bardziej kompetentnego nawigatora. Jak wróci do Majaru, to już nie moje zmartwienie.

– Co robimy, kapitanie? – spytał sternik, blady jak ściana.

Gdybym nie była równie przerażona, pewnie czerpałabym satysfakcję z tego, że ten gnojek tak bardzo się boi.

– Crepusculum! – dobiegł krzyk. Wydał go głos, który nawiedzał mnie w najgorszych koszmarach, tuż przed tym, jak tonęłam.

Zostałaś mianowana medykiem i czy chcesz, czy nie, jutro wyruszasz w morze.

Pierwszy oficer – Jefferson Beckwith – nikt inny nie ośmieliłby się zwrócić do kapitana w taki sposób.

Krótkie, niemal zupełnie siwe włosy miał potargane przez wiatr, ale wyglądał na opanowanego. To znaczy... był wściekły, ale się nie bał.

– Kraken przed nami! – warknął na kapitana. – Będziesz patrzył, jak nas zatapia, czy raczysz coś zrobić?!

– Idź po niewolników. – nakazał mu kapitan głosem chłodnym i bezwzględny. Nie sądziłam, aby Beckwithowi uszła płazem ta zniewaga, nawet jeśli był pierwszym oficerem.

– Zejdź po niewolników. – Beckwith zwrócił się do jednego z marynarzy. – Na co czekasz, rusz się!

Wtedy oficer spojrział na mnie, a ja niemal zemdlałam, bo wiedziałam dokładnie, co oznacza to spojrzenie.

Byłam już trupem. Status medyka mnie nie ocali, bo rzucają mnie na pożarcie pierwszej bestii.

– Jednego niewolnika! – zawołał za oddalającym się marynarzem, znikającym już pod pokładem.

Niemal natychmiast kapitan, tym razem dla odmiany złapał mnie z łokieć i pociągnął w stronę burty. Opierałam się jak mogłam. Jeśli umierałam z przerażenia, gdy ładowali mnie na „Aquarius”, to nie wiem, jak nazwać to, co wtedy czułam. Nie szłam już na statek, który zabierze mnie w miejsce mej zguby. Wtedy szłam na śmierć.

– Udowodnij mi, że nie jesteś pasażerem na gapę, którego należy wyrzucić za burtę. – syknął kapitan.

Bałam się tak bardzo.

I tak bardzo go nienawidziłam.

– Jestem medyczką. – zapewniłam. Sam wydał rozkaz zwerbowania mnie na pokład. Był aż takim ignorantem?

– Medyczką, która nie zjawiła się na błogosławieństwie. – zauważył. Chyba zaczął sobie mnie przypominać.

Nie odpowiedziałam. Jak on śmiał? Kazał zamknąć mnie związaną pod pokładem, a teraz robi mi wyrzuty, że nie pojawiłam się na tym bezsensownym błogosławieństwie? Naprawdę jest tak okrutny, by skazać mnie za to na śmierć, choć wszystkie winy ponosi on?

Deski pod moimi stopami trzeszczały, gdy próbowałam zaprzeć się o nie nogami. Kapitan trzymał mnie jednak z taką siłą, że niemal wyrwał mi łokieć ze stawu. Ale to wszystko na nic. Koniec był nieunikniony.

Stałam tuż przy burcie, patrząc w to przekłete morze i macki krakena wystające ponad powierzchnię, zbliżające się tak nieubłaganie. A zaraz za mną stał kapitan Crepusculum, boleśnie wykręcając mi rękę do tyłu i czekając na dogodny moment, by wyrzucić mnie za burtę.

Pierwsza ofiara.

– Kapitanie. – głosu kobiety, która koło nas stanęła jeszcze nie słyszałam, ale doskonale wiedziałam, kim jest. Tylko głupiec by nie wiedział. Ciemnoskóra, o ogolonej czaszce, stała koło nas, wpatrując się w kapitana oczami ciemnymi jak noc i wtedy dotarło do mnie, że to nie on tak naprawdę tu rządzi. Ponad nim jest topicielka, choć rzuci się do wody zaraz przed kapitanem. Jeśli jednak to nastąpi, statek będzie już wrakiem. Stała wtedy tuż obok, krzyżując umięśnione ręce na piersiach, a ja nie mogłam odwrócić oczu od tatuaży pokrywających niemal całe jej ciało. Każda topicielka takie miała: sceny śmierci, mord zadawany w najokrutniejsze możliwe sposoby, a to wszystko na wieki wyryte na jej skórze. Nie bez powodu sądzono, że to najbardziej bezduszne kobiety świata. Tylko kobiety bez sumienia i emocji szkolą się na topicielki. Kto inny trudniłby się na statkach płynących po Bestialskim Morzu, tylko po to, by wrzucać do morza ofiary, pilnując ich kolejności, jak czegoś świętego.

To ona, jak dotąd przerażała mnie najbardziej z całej załogi, jednak wtedy uwierzyłam, że może to właśnie ona mnie ocali przed prawdziwym potworem, przed kapitanem.

Oficer Beckwith wyszedł spod pokładu wraz z wysłanym tam uprzednio marynarzem. Gdy tylko pojawił się w zasięgu wzroku, uścisk kapitana wzmocnił się jeszcze bardziej, choć miałam wrażenie, że to niemożliwe. Marynarz ciągnął za sobą dwoje niewolników, nie usłyszał zatem wcześniejszego rozkazu, bądź zwyczajnie go nie usłuchał. Może bał się, że dwoje nie wystarczy. Ludzi, których ze sobą ciągnął, ciężko było w ogóle uznać za żywe istoty: brudne, poszarpane łachmany, włosy tłuste i opadające na wykrzywione w wyrazie bezgranicznego przerażenia twarze. Byli tak zaniedbani, tak umęczeni, brudni i poszarpani, że nie sposób było nawet określić ich płeć. Szli na śmierć, na pożarcie, na wykupienie nam drogi. I za to właśnie miał ich Crepusculum: nie za ludzi, za pokarm, za cenę, którą musi zapłacić, ale wydanie jej wcale nie sprawi mu bólu. Nieważne, że ci dwoje zaraz zostaną pożarci żywcem.

Statek zbliżył się na tyle, że, gdyby tylko kraken zapragnął, mógłby zatopić nas jednym, leniwym ruchem macki. Beckwith przyprowadził skazańców tuż przed oblicze topicielki. Oboje krzyczeli, płakali, błagali. Ich głosy przypominały mój, tak samo ja krzyczałam, gdy zabierali mnie na ten rejs bez szczęśliwego zakończenia.

Kapitan dalej mnie trzymał. Jego uścisk był stalowy, a, gdy tylko oficer pojawił się dostatecznie blisko, jeszcze się wzmocnił.

Chciałam stamtąd odejść. Może i najpierw rzucą niewolników, ale i tego nie chciałam oglądać. Jednak Crepusculum trzymał mnie mocno, nie pozwalając chociażby drgnąć.

Topicielka chwyciła pierwszego niewolnika za poszarpane łańchmany. Lata treningów w akademii sprawiły, że była zdolna przerzucić go przez burtę w ułamku sekundy, wprost w miejsce, gdzie powinna znajdować się paszcza potwora.

Odwróciłam wzrok. Wolałam mieć przed sobą czerwony płaszcz kapitana, niż widok skazańca rzuconego na pożarcie potworowi. Crepusculum, całe szczęście, nie kazał mi na to patrzeć. Ale ten krzyk będę pamiętać do końca życia.

Potem przerzuciła drugiego nieszczęśnika. Potwory na tych wodach są coraz bardziej głodne.

Statek wciąż parł naprzód, ale macki krakena zniknęły pod powierzchnią, sprawiając, że podłoże pod naszymi stopami ponownie się zatrzęsło.

I tyle.

Było już po wszystkim.

Sunęliśmy po falach, powoli mętniejących od krwi.

Crepusculum w końcu mnie puścił, a ja, nie mając już żadnego oparcia, padłam na pokład. Nie potrafiłam stać. Nie potrafiłam choćby spojrzeć na morze.

Nie wierzyłam, że wyszłam z tego żywa.

– Wyszoruj pokład! – rzucił jeszcze kapitan w moją stronę.

I odszedł.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 6
na Bestialskim Morzu*

Wodo

Znów to robisz?

Nie mogę patrzeć na twoje fale, bo, choć są nieskazitelnie czyste, w moich oczach ciągle mętnieją od krwi.

Wymaż mi ich krzyki z pamięci.

Ale, nawet jeśli to zrobisz, to przecież dziś znów kogoś pochłoniesz...

Reyna

ROZDZIAŁ CZWARTY

PIEŚŃ ZAGŁADY

Wciąż słyszę ten krzyk. Ciągłe na nowo, nie potrafię go zapomnieć.

Jestem uwieczona w środku tego wspomnienia, niewolnicy wciąż są rozrywani na strzepy. Wrzeszczą, a potem nastaje cisza. Chcę to wymazać z pamięci, ale wiem, że to niemożliwe.

Bo dzisiaj czeka nas spotkanie z węzem morskim.

Siedzę w swojej kajucie, czuję, że nie ma siły na tym okręcie, która wyciągnęłaby mnie na pokład. Bulaj zasłoniłam strzepami starej szmaty. Teraz siedzę na koi, opierając głowę na kolanach i czekam.

Chciałabym nawet nie słuchać, ale nie mogę unieść dłoni. To by zaburzyło moją iluzję bezpieczeństwa.

Chyba jestem chora ze strachu i niepokoju. Jeśli wrócę kiedyś do Majaru, na pewno zamkną mnie w domu szaleńców.

Słyszę krzyki na pokładzie, nie rozróżniam słów ani głosów, ale głośny tupot stóp pod pokładem uzmysławia mi, że wyprowadzają niewolników.

Zwijam się w kłębek i chwytam się dłońmi za głowę. Obejmuję ją tak mocno i zatykam uszy tak dokładnie, by nie słyszeć niczego.

To na nic, i tak słyszę wrzaski, a potem coś uderza w statek. Niedbale zarzucony na bulaj kawałek materiału zsuwa się, a ja muszę patrzeć, bo boję się zamknąć oczy.

Na zewnątrz jednak widać tylko błękitno–zielony, pokryty łuskami ogon.

Zsuwam się z koi i wychodzę, byle nie widzieć jak fale przybierają barwę czerwieni.



Mija kolejna doba. Na „Aquariusie” jestem już tydzień. Dobrze wiem, że dziś spotkamy kolejną bestię... nie, nie bestię. Nie jedną. Syreny - jest ich trzy.

Słyszę pukanie. Joy zapewne przyniósł śniadanie.

Wstaję i powoli podchodzę do wejścia. Zabieram miskę, choć wiem, że i tak niczego nie przełknę.

Długo wpatruję się w bezładną breję, po czym odstawiam naczynie na podłogę. Nie mogę już na nie patrzeć. Joy zostawił mi też grejpfruta, robił tak czasem, a ja wiem dobrze, że gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, chłopiec miałby poważne problemy. Szkorbut dotykał żeglarzy, na normalnych statkach starano się mu zapobiec na wszelkie sposoby, ale my nie jesteśmy na normalnym statku. Wieziemy towary do Kraterii. Cytrusy dostają jedynie kapitan i oficerowie. Może ktoś jeszcze, ale wyższy rangą. Na pewno nie zbędna i bezużyteczna pokładowa medyczka.

Bawię się grejpfrutem, przetaczam go po deskach, przerzucam między rękami, a wszystko to robię niemal automatycznie.

W końcu go obieram, mimo wszystko jestem głodna.

Potem otwieram dziurawy kufer, pełen zniszczonych ubrań: to co dostałam w przydziale, i wyciągam coś, co miało być pewnie koszulą, ja jednak widzę tylko brudny, bezkształtny kawałek materiału. Zawieszam go na okienku, tym razem dokładniej, jednak, jeśli nieistniejący bogowie chcą mnie ukarać i tak sprawią, że spadnie.

Wiem, że do Syrenich Skał dopłyniemy niedługo przed zachodem słońca, ale ja już teraz odczuwam niepokój tak silny, że nie wiem, co ze sobą zrobić.

Od wczoraj nie wychodziłam na górę. Chodziłam pod pokładem jak zjawa, badając wszystkie jego kąty. Nie chciałam wychodzić. Dziś nie chcę tego robić w szczególności.

Czas mija wolno, jak zawsze. Nie znoszę tego, jak się dłuży. Chciałabym już koniec, minąć wszystkie potwory i wrócić do domu, choć pamiętam, jak na początku błagałam, by wszystko przeciągało się jak najbardziej, aby odwlec nieuniknione spotkania z nimi tak bardzo, jak tylko można. Teraz jestem zmęczona.

Siedem dni. Nie chcę więcej. Chcę, by to się skończyło, ale za tydzień dopiero dotrzemy na Wyspę Odrobiny Nadziei, gdzie zatrzymamy się na dokładnie trzy doby. A potem jeszcze raz tyle drogi, nie mówiąc nawet o powrocie.

Przed nami wieloryb, lewiatan i charybda. Szczęście, że na naszej trasie nie spotkamy wszystkich bestii.

Zaczynam myśleć o rzeczach, które wcześniej nie przychodziły mi do głowy. Zaczynam się łudzić, że może w Kraterii uda mi się uciec. Może zacznę tam życie od nowa, bo na powrót do Majaru nie mogę liczyć, chyba, że chciałabym się zabić. Im więcej o tym myślę, tym bardziej podoba mi się ten pomysł. Wydaje się być coraz bardziej realny, choć cichy głosik w mojej głowie uparcie powtarza, że to się nie może udać. Ale ja go nie słucham, bo ta iluzja nadziei jest wszystkim, co mogę mieć. I będę się jej trzymać, aż do samego końca.

Słysząc kroki, ożywione głosy. Ryzykuję zerknięcie przez bulaj i widzę, że słońce jeszcze nie zachodzi.

Nie idą po niewolników, biegają po naszej części okrętu. Co więc się dzieje?

Wyglądam niepewnie na zewnątrz. Pod pokładem, jak się zdaje, zebrali się wszyscy i każdy pospiesznie wchodzi do swojej kajuty, która ma im zapewnić bezpieczeństwo.

Dyskretnie wracam na swoje miejsce i, jak ostatnim razem, kładę się na koi, jednak gdy tylko to robię, do mojej kajuty wdziera się troje marynarzy.

Z zaskoczeniem stwierdzam, że to ci sami, którzy porwali mnie z domu, z oficerem Jeffersonem Beckwithem na czele. Strach przejmuje nade mną kontrolę.

– O...co... – mówię, ale jestem tak słaba, że równie dobrze mogłabym się nie odzywać.

Oficer patrzy na mnie z odrazą, po czym daje znak pozostałym, a ci ruszają w moją stronę. Chwytają mnie pod ręce i wyprowadzają. Każą wspiąć się na

pokład, sami jednak nie idą za mną.

Czyżby na górze czekała na mnie topicielka? Czyżby wąż pochłoniął wszystkich niewolników? To przecież... niemożliwe, prawda?

Gdy wspinam się na pokład i widzę topicielkę, dociera do mnie, że się nie pomyliłam. Nogi mam jak z waty, nie potrafię zrobić kroku. Wiem, że jestem w pułapce.

Nie wrócę pod pokład, bo wywleką mnie siłą. Nie ukryję się na pokładzie.

Jeszcze tego dnia umrę.

Choć tak wiele razy byłam już o tym święcie przekonana...

Zmuszam się, by odwrócić głowę. Coś jest nie tak. Kapitan Crepusculum stoi za sterem i patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem. Jego rdzawy płaszcz powiewa na wietrze. Topicielka też patrzy, ale ona wygląda na jak najbardziej obecną. Czeka.

Moje serce staje, gdy po przeciwnej stronie dostrzegam zbitą grupę. Dwóch mężczyzn i kobieta, związani i zakneblowani – niewolnicy. Nie mogę pojąć, dlaczego pośród niewolników jest kobieta, skoro, jak wiadomo, te bestie żywią się jedynie mężczyznami. Jednak, jeśli mają ofiary, co ja tu robię?

Słońce zbliża się ku zachodowi. Crepusculum schodzi po schodkach, staje przy burcie, byle dalej od topicielki i zagląda przez lunetę. Potem się odwraca i kieruje ku prywatnej kajucie. Nie wiem, po co to wszystko, bo ja dostrzegam Syrenie Skały gołym okiem.

– Kapitanie! – krzyczę nim znika mi z oczu, nim stracę odwagę, by w ogóle się odezwać.

Crepusculum odwraca się bardzo powoli i spogląda w moją stronę. W jego spojrzeniu coś się kryje. Może nienawiść, może pogarda, może coś, czego nawet nie potrafię określić. Nie odzywa się, ale czeka.

– Co tu robię? – pytam w końcu.

Patrzy na mnie, jakbym zwariowała, choć może pod tym względem ma rację. Wyciąga coś z kieszeni płaszcza i przykładą dłoń do uszu. Zatyczki. Zatyka uszy.

Czuję czyjaś obecność tuż za mną. Odwracam się i staję twarzą w twarz z topicielką. Ta chwila wystarczy, by kapitan rozpułnął się w powietrzu.

– Co wiesz o syrenach, uzdrowicielko? – pyta, krzyżując potężne ramiona na piersiach.

Pytanie nieco zbija mnie z tropu. Otwieram usta, by na nie odpowiedzieć, ale nagle nie wiem, co właściwie powiedzieć. Wiem o syrenach całkiem sporo, ale to, tak jak z tymi wszystkimi banalnymi rzeczami, które rozumiemy, ale jak przyjdzie co do czego, nie wiemy jak ubrać je w słowa. Myślę przez chwilę, co powiedzieć, by nie zabrzmieć głupio.

– Jest ich trzy. – odzywam się w końcu. – I śpiewają. Przyzywają swoim głosem mężczyzn, potem topią je... to znaczy ich i pożerają.

– Kiedyś marynarze zatykali uszy watą, jednak nie zawsze to działało. Dlatego teraz, podczas spotkania z syrenami, okręt jest pod opieką kobiet. Stawaj zatem za sterem, uzdrowicielko.

– Co takiego? – pytam zmieszana. Czuję się pewniej, ale tylko troszkę. Topicielka przeraża mnie, wiem jednak, że żyją tylko i wyłącznie dzięki niej i kolejności, którą uważa za świętą i niepodważalną.

– Stawaj. Za. Sterem. – powtarza powoli, odwraca się ode mnie i rusza w stronę rufy okrętu.

Nie przeszłam przeszkolenia, ale oni wszyscy wydają się nie mieć o tym pojęcia. A może po prostu ich to nie obchodzi. Tak, czy inaczej ruszam na mostek.

Patrzę na koło sterowe i zastanawiam się, bo przecież to nie może być takie trudne. Muszę tylko kręcić tym kołem w którąś stronę. Mój problem zaczyna się od tego, że nie wiem w którą.

Spoglądam w stronę topicielki, w nadziei na jakąś wskazówkę, ale ona stoi tyłem i patrzy w morze. Wielu marynarzy pewnie spróbowaloby skorzystać z tej okazji i wyrzucić ją za burtę, bo topicielki, choć doskonale zaprawione w walce, nie potrafią pływać. Nie wolno ich tego uczyć w ich szkole, która wypacza im resztki człowieczeństwa. Oczywiście topicielka nie da się wyrzucić do morza, jest na to zbyt dobrze wyszkolona i całe szczęście, bo, gdyby jednak komuś się to

udało, na statku zapanowałaby anarchia, kolejność szlag by trafił, a ja wówczas już bez wątpienia byłabym martwa.

Słońce szybko zachodzi. Niebo maluje się czerwienią, tak intensywną, że od razu przywodzi mi na myśl krew. Topicielka się nie odwraca, a ja nie wiem, co mam robić. Niewolnicy łkają, pewnie by krzyczeli, ale są zakneblowani. Gdzieś na dole rozlega się trzask i niespodziewanie moim oczom ukazuje się kapitan Crepusculum.

Jak gdyby nigdy nic chodzi po pokładzie. Syrenie Skały są coraz bliżej, na tyle, by gołym okiem dało się zobaczyć jakiś minimalny ruch, ale on nie wygląda, jakby miał zamiar się ukryć. Przez chwilę spogląda na niewolników, potem na topicielkę, a w końcu i na mnie. Rusza w stronę dziobu i już tam zostaje.

Załoga statków na ogół zna się przynajmniej z imienia i darzy bezgranicznym zaufaniem, ale nie na tym morzu. Nie tutaj. Tutaj każda załoga składa się z przypadku.

Może nie kojarzy mnie z dziewczyną, którą niemal zabił, gdy spotkaliśmy krakena. Wyglądam nieco inaczej, bo w końcu umyłam włosy, nie mogąc dłużej znieść lepiącego się brudu, a i ubranie miałam inne.

Mijają minuty, a kapitan nie schodzi do swojej kajuty. Chyba wiem już czemu. Co z tego, że był kapitanem? Może i miał więcej praw od reszty, może i to on tu wydaje rozkazy, ale tak naprawdę miał najgorzej. Gdy załoga ukrywa się przed zwodniczym głosem bestii, on, jako dowódca, musi stawić im czoła. Musi nas poprowadzić bez względu na cenę.

Na maleńką chwilę robi mi się go żal. Ale potem przypominam sobie jego płonące oczy i zapominam o tym, życząc mu rychłej śmierci.

Powoli się zbliżaliśmy. Na początku słyszę tylko rżenie. Potem melodię, bezskładną, przyprawiającą moje uszy o dotkliwy ból. Crepusculum zdaje się jej nie słyszeć, z pewnością wciąż ma zatkane uszy.

Melodia staje się głośna. To pieśń w jakimś języku składającym się chyba z samych samogłosek. Coś, jakby komuś wysiadały struny głosowe i na siłę

próbował śpiewać. Nie pojmuję, jak ten dźwięk może skusić kogoś tak bardzo, by rzucił się za nim w morskie odmęty.

Boję się, że „Aquarius” zaraz roztrzaska się o skały i z całych sił zaciskam palce na sterze, bojąc się jednak nim poruszyć, żeby nie przyspieszyć przypadkiem naszej śmierci.

W końcu pragnienie życia zwycięża, biorę głęboki wdech i podejmuję ostateczną decyzję, w którą stronę odwrócić koło, jednak, jak na zawołanie, Crepusculum odwraca się w moją stronę i unosi rękę.

„Jeszcze nie” – zdaje się mówić.

Topicielka nagle rusza się z miejsca – do tej pory przypominała bardziej makabryczny posąg wykonany z przerażającą precyzją. Łapie pierwszego z niewolników za fraki, a ja dopiero dostrzegam jego twarz. Taką... urzeczoną. Jakby i syreny i ich pieśń były najcudowniejszym, co w życiu widział. Jakby godził się na taki koniec, jakby uważał go za zbawienie. Kobieta między nimi także jest urzeczona, a do mnie dociera, że skoro i na nią działa pieśń, znaczy to, że się pomyliłam i długowłosa niewolnica tak naprawdę jest mężczyzną. Nie widzi tego, co ja: trzech kobiet o zielonej, pokrytej łuskami skórze i długich, czerwonych włosach, o nogach złączonych i przemienionych na samym dole w dwie odrażające, błoniaste płetwy.

Powoli zapada noc, a ich włosy zgrywają się idealnie ze znikającym powoli, czerwonym zachodem słońca.

Jesteśmy już tak niebezpiecznie blisko. Kapitan na szczęście nie wykazuje chęci rzucenia się do morza, a ja dziękuję za to w duchu, bo wiem, że jeżeli on zginie, rządy na pokładzie przejmie Beckwith, a to skończy się dla mnie tragicznie.

W pewnej chwili Crepusculum wyciąga coś z kieszeni płaszczka. Nie mam pojęcia, co to takiego, bo stoi po przeciwnej stronie okrętu, dostrzegam jednak, że wysypuje do morza coś, co jak dotąd trzymał owinięte w kawałek tkaniny.

Nie mogę patrzeć jak topicielka wyrzuca mężczyznę za burtę, ale ona tego nie robi. Odwracam wzrok dopiero, gdy słyszę długi plusk, świadczący o tym, że

syrena rzuciła się do morza, niecierpliwie oczekując ofiary. Pozostały jeszcze dwie. Druga z syren patrzy łakomie w wodę i skacze w ślad za pierwszą.

Nie wiem, co kapitan wrzucił do morza, ale bestie wydają się być tym zaintrygowane, przynajmniej przez chwilę. Potem tracą zainteresowanie.

Czekają.

Są pewne, że ktoś zaraz rzuci się do wody.

Coś obija się o statek, ale nie z taką siłą, jak poprzednie potwory. Lekko otwieram oczy, by zobaczyć, jaki los spotkał trójkę skazańców. Mój wzrok napotyka spojrzenie niewolnika, którego wzięłam za kobietę. Ma rdzawe włosy i być może nie pomyliłabym się co do niego, gdyby pozwolili mu się umyć. Zastanawiam się, co takiego uczynił, by zasłużyć na ten los. Koło niego wciąż siedzi jeden mężczyzna. Drugiego trzyma kurczowo topicielka.

Żaden z nich nie zginął.

Na co czekała?

Nagle piosenka się urywa. Z ulgą zauważam, jak ostatnia z bestii osuwa się do wody, zobaczyć, co przykuło uwagę jej towarzyszek i dokładnie w tym samym momencie rozlega się krzyk kapitana.

– Ster lewo na burt! – wrzeszczy.

Po chwili, która wydaje się wiecznością uświadamiam sobie, że krzyczy do mnie, a ja nie mam pojęcia, co robić.

– Co takiego? – wyrywa mi się, gdy patrzę spanikowana na towarzyszy i dociera do mnie fakt, że zaraz się rozbijemy.

– Przekręć ten cholerny ster w lewo! Do maksimum! – wrzeszczy topicielka, kapitan natomiast, z ciągle zatkanymi uszami rusza w stronę mostka. Robię co w mojej mocy, by nas nie zabić, a statek gwałtownie skręca, o włos mijając Syrenie Skały. Gdy kapitan w końcu pokonuje całą długość okrętu, z ulgą oddaję mu ster i zbiegam po schodkach.

Zamierzam wrócić do swojej kajuty, zatrzymuję się jednak. Ciekawość nie daje mi spokoju.

Kapitan pochwyca moje spojrzenie i, choć wciąż ma zatkane uszy, wyraźnie doskonale wie, o co chciałabym zapytać.

– Założyłem, że przyciągnie je ruch w wodzie. – wyjaśnia. – A to kupi nam chwilę czasu, by wyminąć skały.

Choć odpowiada tym na moje niezadane pytanie, to te wyjaśnienia nie są wyczerpujące. Wciąż nie wiem, co takiego wyrzucił. Chcę już o to zapytać, ale kapitan mnie uprzedza.

– To wczorajsza kolacja. – mówi z cierpkim uśmiechem. – Z całym szacunkiem dla kucharza, ale racje żywnościowe na tym statku nadają się w większej mierze tylko do tego, by wyrzucić je za burtę.

Widząc, że nie jestem już dłużej potrzebna, ruszam pod pokład. Topicielka, która wlecze za sobą bladych jak papier niewolników z powrotem do piwnicy, odwraca się w moją stronę.

– Powiedz załodze, że zagrożenie minęło. – rzuca ostro i znika pod pokładem, w części przeznaczonej dla niewolników. Nim schodzę, po raz ostatni patrzę na kapitana. Stoi za sterem, z pozbawionym emocji wyrazem twarzy, dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy pojawiłam się na pokładzie. Jakby nic się nie stało. Jakby nie był przed chwilą świadkiem, jak trzy potworne kobiety tylko czekają, by rozerwać ludzi na strzępy.

Schodzę pod pokład, wzywam załogę i chowam się w swojej kajucie. Zostaję w niej przez kolejne dwa dni.

*Miesiąc 1, tydzień 2, dzień 2
na Bestialskim Morzu*

Wodo,

Kiedy jest się w jakimś położeniu, powiedzmy... dość długo, nachodzi człowieka w końcu myśl, takie natchnienie, coś co pcha do przodu i mówi: teraz tak wygląda twoje życie, więc żyj!

Chyba mogę się otrząsnąć.

Jakoś.

Mogę.

Nie zrozumiesz mnie. Twoje fale niosą zniszczenie.

A ja będę ci to wypominać, puki nie zginę w twych odmętach.

Reyna

ROZDZIAŁ PIĄTY

NIC PRÓCZ BESTII

Chyba troszkę pogodziłam się ze swoim losem.

Chyba.

Troszkę.

Nie jestem tu długo, ale tydzień na tym okręcie ciągnie się jak miesiąc. Bo, w istocie, minął ledwo tydzień i dwa dni, a moje życie będzie toczyć się na „Aquariusie” jeszcze przez jakieś dwa, może trzy następne tygodnie. Nie mogę wciąż siedzieć w kajucie, nie chcę też przebywać na pokładzie, gdzie załoga wykonuje swoje zadania, udając, że nie boi się niczego, że ich życie nie jest zagrożone i, że na pewno wrócą do domów, cali i zdrowi. To tylko gra, wiem o tym. Nie śpiam od kilku nocy, słuchając, jak modlą się do swoich bogów: czasem do Libry, bogini gwiazd i sprawiedliwości, czasem do Pisces, by przywróciła łagodne prądy i przegnała potwory, czasem i do samego Aquariususa o sprzyjającą pogodę i łaskę. Ale Aquarius nigdy nie bywa łaskawy.

Wiem, że bogowie ich nie ocalą. I oni chyba też nie powinni w to wierzyć.

Nie mogę tkwić w kajucie przez resztę podróży. Mam ku temu kilka dobrych powodów.

Po pierwsze, planuję ucieczkę. Bezsenne noce to idealny czas, abym, leżąc na koi, kołysana delikatnym szumem fal, układała swój idealny plan. Tak naprawdę wiem, że się nie odważę, bo kara byłaby zbyt okrutna, ale nie chce o tym myśleć. Wyobrażam sobie, że może się udać, bo, gdyby nie to, chyba załamałabym się całkowicie. Na razie mam plan, którego chwytam się kurczowo, jak tonący... to okropne porównanie.

Po drugie, odebrano mi jedyne, co było naprawdę moje na tym statku. I nie, nie mam na myśli ani kajuty, ani koi, ani żadnego z tych paskudnych ubrań w niewielkiej skrzyni. To nie było i nie jest moje. Odebrali mi poczucie bezpieczeństwa w moim azylu. Myślałam, że w tych ścianach nic mi nie grozi. Mogę się odizolować od całego tego koszmaru: zamknąć oczy, zatkać uszy i zwinąć się w kłębek, ale oni tu przyszli. Zabrali mnie stąd i wysłali na pastwę syren. Choć one nie mogły mnie skrzywdzić, poczucie bezpieczeństwa zniknęło na dobre. Pozostał tylko niepokój, jak cienkie, ostre szpilki wbijający się w moją czaszkę od wewnątrz, przez cały czas.

Po trzecie, chyba naprawdę zaczęłam wariować.

Nie mogłam tego znieść, więc wpadłam na pewien pomysł.

Tak naprawdę szukałam nowego azylu, bezpiecznego miejsca, gdzie mnie nie znajdą, gdzie przeczekam spotkanie z wielorybem. Gdzieś, gdzie nie będą mnie szukać, choć wiem, że teraz nie mają już ku temu powodu. Czułam się podle i samotnie.

Gdy tylko pierwsze promienie słońca wdarły się do mojej kajuty, zwlekłam się z koi i, chyba po raz pierwszy, odkąd utknęłam na „Aquariusie”, zastanowiłam się czy nie wyglądam jak bezdomny, albo jeden z niewolników.

Miałam zrobić dobre wrażenie. To właśnie zakładał plan.

Teraz słyszę hałas, ten typowy harmider, który pojawia się przed spotkaniem z każdym kolejnym potworem. Ale ja nie kieruję się na pokład, by wplątać się w ten cały chaos i oglądać kolejne bestie, które nie dadzą mi spać po nocach, nawet jeśli wieloryb jest jednym z tych nielicznych potworów, które nie wymagają ofiar. I tak jest wystarczająco niebezpieczny.

Idę do miejsca, którego szukałam od dłuższej chwili i w końcu odnalazłam. Miejsce, w którym znajdę chyba jedyną przychylną mi osobę na tym statku.

Wyglądam jak zmora, z bladą, wychudłą twarzą, podkrążonymi oczami i czarnymi włosami, które tylko to wszystko pogłębiają. Mam nadzieję, że nikogo nie przestraszę.

Pełna niepokoju przekraczam próg kuchni.

Zdaje się, że kuchnia na statku ma swoją nazwę, ale nie mam pojęcia jaką. O okrętach wiem zdecydowanie zbyt mało, jak na kogoś, kto należy do załogi jednego z nich.

Obawiam się spotkać kucharza, ale całe szczęście w środku jest tylko Joy.

– Witaj. – mówię cicho.

Chłopiec odwraca się w moją stronę z wyrazem osłupienia na twarzy, potem jednak zamienia go na szeroki uśmiech. Nie spodziewałam się tego. Nie zamieniliśmy ze sobą zbyt wielu słów, ale najwyraźniej jemu też musi doskwierać tu samotność, choć jest przecież pomocnikiem kucharza. Tyle, że jemu nie towarzyszy bezustanna obawa o życie, a zatem pewnie potwornie się nudzi.

– Co tu robisz? – pyta dyskretnym szeptem.

Zastanawiam się przez chwilę, czy wejście do kuchni przez jakiegokolwiek innego członka załogi nie jest czasem zakazane i stąd ten konspiracyjny ton. Pewnie jest.

– Ja... – to było najtrudniejsze. Jak poprosić o wsparcie? O towarzystwo, bo nie zniosę więcej tych krzyków w samotności.

Joy odwraca się dyskretnie w stronę przylegającego do kuchni pomieszczenia, a potem idzie w moją stronę. Widzę, że koszulę ma upačkaną jakimś czerwonym sosem, a na kamizelce ostały się ślady tej ohydnej brei, którą zazwyczaj dostajemy do jedzenia.

– Chciałam spytać, czy mogłabym zostać... – mówię szeptem. – Chodzi o to... nie chcę być sama, kiedy to znowu się stanie. Chyba tylko ty traktujesz mnie tu jak człowieka, Joy.

Chłopiec uśmiecha się szeroko, ale zaraz potem mina mu rzednie.

– Za każdym razem ja i stryjek zostajemy tutaj. – mówi. – Ale nie wiem, czy mu się spodoba, jeśli pozwolę zostać i tobie.

Przełykam głośno ślinę, a on chyba widzi, jak potwornie się czuję.

– Ale spokojnie, nie zostawię cię. – zapewnia zbyt gorliwie, jak na dziesięcioletniego chłopca z którym tak naprawdę rozmawiałam raz, tydzień temu. Oboje jednak musimy tkwić na tym statku. Może nieuchronna wizja śmierci, to

coś, co zbliża ludzi. Tylko, że... Joy nie wie, że czeka go śmierć, a ja nie chcę mu tego mówić.

– Chodź. – ciągnie mnie za rękaw w stronę wyjścia. – Poczekaj na korytarzu, a ja podam stryjkowi jakąś wymówkę... coś wymyślę, na pewno.

Właśnie mam mu powiedzieć, że na statkach nie ma korytarzy, bo na pewno mają jakąś inną, głupią nazwę, której niestety ja też nie znam, ale wtedy z sąsiedniego pomieszczenia wyłania się kucharz, ten sam, który zbiera naczynia po posiłkach w mesie i jest to największy facet, jakiego w życiu widziałam. Ma siwawe włosy i brodę, jest okropnie szeroki, tak bardzo, że ubrania opinają się nieciekawie na jego potężnym ciele, jednak tym, co najbardziej mnie przeraża, jest fakt, że w jednej ręce trzyma wałek, a w drugiej tasak.

Gdybym wiedziała, że wtargnę do królestwa szalonego giganta, porzuciłabym swój wielki plan i nie wychodziła z kajuty.

– Intruz! – mówi kucharz, jednak jego głos jest tak donośny, że chyba nie chcę wiedzieć, jak brzmi kiedy krzyczy.

– Nie, nie, nie! – Joy zawzięcie macha rękami, a ja jestem pod wrażeniem, że nie ucieka w popłochu przed tym facetem z szaleństwem w oczach. Jeśli to naprawdę on sporządza tu posiłki, chyba nigdy więcej już ich nie tknę.

– To przyjaciółka, nie ma powodu, by ją od razu siekać! – oznajmia Joy.

– Przyjaciółka? – kucharz opuszcza tasak i wałek, ale wciąż spogląda na mnie groźnie. – Czyli to nie złodziej, który próbuje niecnie dobrać się do okrętowych zapasów?

– Nie. To Reyna. – mówi Joy pospiesznie. – To jej zanoszę posiłki do kajuty, bo nie znosi smrodu tych wszystkich marynarzy. – oznajmia.

Jest to ogromnie okrojona wersja prawdy, ale nie zamierzam się wtrącać, puki ten wielkolud nie porzuci trzymany narzędzi zagłady.

Ale w tej samej chwili kucharz odkłada zarówno wałek jak i tasak, po czym biegnie w naszą stronę i klepie mnie po plecach, zanosząc się śmiechem. Ku zaskoczeniu stwierdzam, że czuć od niego jakiś dziwny, kwiatowy zapach.

– Każdy, kto nie znosi smrodu żeglarzy jest moim przyjacielem! – oznajmia, a ja zastanawiam się, skąd, na króla, on wziął na tym statku perfumy. – Jestem Henrick. – mówi. – Ale mów mi... Henrick. W sumie nikt nie zdrabnia mojego imienia.

– Jestem Reyna. – przedstawiam się, choć Joy już to za mnie zrobił, kucharz jednak jest już po przeciwnej stronie pomieszczenia, coś sobie nucąc.

– Upichcę nam coś. – mówi. – Od tego całego pływania od potwora do potwora robię się okropnie nerwowy, to trzeba czymś zająć, nie ma co.

– A co z nieuszczerplaniem okrętowych zapasów? – pytam, nadal zmieszana, podczas gdy Joy uśmiecha się głupio, wciąż stojąc obok.

– A kto mówi o zapasach tej głupiej łajby? – pyta Henrick. – Mówię o naszych prywatnych zapasach. – wskazuje głową na stojącą w rogu skrzynkę, wypchaną po brzegi pomarańczami, grejpfrutami i całą masą innego jedzenia, na którego widok cieknie mi ślinka. – Chyba byśmy tu poszaleli, gdyby nam przyszło jeść ciągle tą śmierdzącą breję. – oznajmia i zabiera się za sporządzanie posiłku.

Ja i Joy siadamy do stołu, a niedługo później Henrick przyłącza się do nas stawiając przed nami miski z parującą zupą.

Pachnie cudownie, a ja uzmysławiam sobie, że od tygodnia nie jadłam właściwie niczego dobrego, nie licząc tych kilku razy, gdy Joy przemycił dla mnie pomarańcze, jak się okazuje z ich prywatnych zapasów.

Zaczynamy jeść, a Henrick i Joy nie przestają nawijać. Wypytują mnie o wszystko, opowiadają całą masę historii, a ja mogę na chwilę zapomnieć, gdzie jestem i co tu robię, oraz, że zaraz dopłyniemy do wieloryba.

Jednak kolejne pytanie działa na mnie orzeźwiająco, niczym kubek zimnej wody i uśmiech, na który w końcu się odważyłam nagle znika z mojej twarzy.

– To co skłoniło taką młodą dziewczynę na rejs po tych wodach, co? Raczej nie towarzystwo śmierdzących żeglarzy, mam rację? – pyta Henrick.

– Ja... – przełykam głośno ślinę. Czuję się przy nich swobodnie, wręcz bezpiecznie, ale czy mogę powiedzieć, co się stało i jak tu trafiłam?

– To takie straszne? – pyta Joy, choć uśmiech wciąż czai się w kącikach jego oczu. – Uciekłaś z domu?

– Joy, młody, ty to niczego nie łapiesz. – mówi kucharz. – Ile masz lat, Reya, dwadzieścia?

– Za niecałe dwa tygodnie skończę dwadzieścia. – mówię, nie do końca wiedząc, do czego zmierza. Wie już jednak, że nie jestem tu do końca legalnie, podobnie jak i jego zapasy. Za chwilę pewnie dowie się i całej reszty, być może już się domyśla, bo jego mina jest tak pewna siebie... zaraz to usłyszę, swoją historię z ust obcego człowieka, który do dzisiaj nie wiedział o moim istnieniu.

– Joy, młody – mówi Henrick. – za kilka lat pewno załapiesz, co tej panience chodzi po głowie. A teraz słuchaj, widziałeś ty naszego kapitana, nie?

„Człowiek okrutny bezwzględny” – kończę za niego w myślach. – „kazał porwać niepełnoletnią dziewczynę, by pracowała jako medyczka zupełnie za darmo, narażając życie.”

– Widziałem. – mówi Joy. To przecież oczywiste.

– I co żeś widział?

– No... kapitana. – mówi niepewnie chłopak.

– I jak wyglądał?

– No... miał czarne włosy, długi płaszcz...

Henrick przewraca oczami.

– Słuchaj, Joy, nasz kapitan jest bardzo młody i, z tego co się orientuję, nie byle jakiej urody. Że się nawet ośmielę stwierdzić, całkiem ładny. A ta tutaj panna, jest mniej więcej niewiele od niego młodsza. Ile trzeba takiej dziewczynie, żeby się nająć nielegalnie na okręcie, by popodziwiał z bliska kapitana, co?

Otwieram szeroko oczy ze zdumienia.

– Co? Ja nie... nie! – wyrzucam z siebie.

Henrick unosi brwi.

– Ja byłem kiedyś młody, moja droga i ja wiem, jak taki umysł funkcjonuje. Ale i tak, za skarby bym nie wypłynął na te wody, nawet gdybym nie wiem jak cholernie był zakochany.

– Ale ja nie... – nie mogę tego nawet dokończyć. Czy ten facet naprawdę uważa, że zakochałam się w kapitanie Crepusculum i z tego powodu zdecydowałam się płynąć „Aquariusem”? To co myśli reszta załogi? Przynajmniej ta, nie stojąca po stronie oficera Beckwitha.

– Ty nie? – pyta Joy. Wyraźnie nie jest w temacie, choć wygląda na nieco zniesmaczonego, a na pewno na zawiedzionego, że za moim pojawieniem się na tym statku nie stoi jakaś szalona przygoda.

– Nie jestem tu z powodu kapitana. – mówię w końcu. Mam już dodać, że szczerze go nienawidzę, ale powstrzymuję się w obawie, że może to dotrzeć do niepowołanych uszu. A najbardziej niepowołane uszy należą do samego kapitana. – Jestem tu, bo mnie porwano.

Henrick patrzy na mnie sceptycznie, a Joy podpira się na łokciach i spogląda z fascynacją.

– Jak porwano? – pyta.

– Wdarli się do mojego domu. Powiedzieli, że mam z nimi iść, bo zostałam mianowana pokładową medyczką na „Aquariusie”, a, kiedy się nie zgodziłam, zawlekli mnie siłą, związali, zakneblowali i zostawili pod pokładem, aż nie znaleźliśmy się na otwartym morzu. – wyrzucam z siebie i czuję ulgę, że w końcu się tym z kimś podzieliłam.

– To dlatego nie było cię, gdy odbieraliśmy błogosławieństwo kapitana. – stwierdza Henrick, tym razem z powagą.

– To po prostu niesamowite! – odzywa się Joy. – Ale przygoda!

– Wolałabym być wszędzie, tylko nie na „Aquariusie”. – mówię, zgodnie z prawdą.

– Ale czemu? Tu nie jest tak źle! Przeżyjesz przygodę i wrócisz do domu!

Nie. Nie przeżyję przygody i najpewniej nie wrócę do domu. Nie chcę tego jednak mówić. Chłopiec nie wie, że wszyscy możemy zginąć, a ja nie chcę burzyć jego idealnego świata. Wystarczy, że mój zrujnowano aż do fundamentów.

– Joy, posłuchaj – mówi Henrick, a ja przez krótką chwilę obawiam się, że wyzna mu prawdę. On jednak mówi co innego. – Reya nie chciała tu być. Zmusili

ją, więc nie ma sposobu, by cieszyła się tą podróżą. To tak, jakbym ja musiał tu pichcić żarcie zupełnie za darmo, rozumiesz? To żadna przygoda.

Otwieram usta, by odpowiedzieć, ale wtedy coś gwałtownie uderza w statek, a ten przechyla się niebezpiecznie na bok.

Spadam z beczki, na której siedziałam, podobnie jak Henrick. Reszta zupy Joy'a wylewa się na jego, i tak już brudną, kamizelkę. Nielegalne zapasy rozsypują się po kuchni.

– Co do... – krzyczy Henrick z podłogi.

– Wieloryb. – mówię, bo jestem tego w zupełności pewna. – Uderzył w nas wieloryb.

*Miesiąc 1, tydzień 2, dzień 2
na Bestialskim Morzu*

Wodo,

Może to ty jesteś dziewiątym potworem?

A może ludzie po prostu sobie na to zasłużyli?

Coraz bardziej skłaniam się ku myśli, że to nie bezlitośni ludzie wypływają na te wody, bo pełne są zła, a zło nawiedziło te wody, bo wypływały na nie jedynie bezduszne potwory.

A potwory, jak widać, zmierzają do siebie nawzajem.

Reyna

ROZDZIAŁ SZÓSTY

DZIECKO WIEDŹMY

Przez resztę dnia pomagam Henrickowi i Joy'owi sprzątać kuchnię. Henrick wciąż klnie i rozmasowuje pośladki po niefortunnym upadku.

– Tyle rejsów, a oni wciąż nie oznaczyli bezpiecznej odległości! Co za kretyni!
– mówi po raz setny.

Gdy kończymy, jestem okropnie obolała, ale szczęśliwa. Nie dlatego, że miałam okazję się ruszyć, choć fakt, że w końcu miałam jakieś pożyteczne zajęcie nieco odsunął moje myśli od stanu, w jakim pozostawały przez ostatni tydzień, ale dlatego, że znalazłam sobie nowy azyl i ludzi, którzy mnie zrozumieli. Wiem, że mogę zaszyć się w kuchni, gdy tylko będę tego potrzebowała, ale teraz wracam do kajuty.

Jednak, zaledwie kilkanaście kroków dalej, ktoś łapie mnie za ramię i odwraca z okropną wręcz siłą. Choć w oczach, które na mnie patrzą, czai się chłodna wściekłość, odnoszę wrażenie, że napastnik wcale nie planował wyrwać mi ze stawu ręki, a zwyczajnie nie wiedział, jak obchodzić się z ludźmi.

– Gdzieś ty przez ten cały czas była?! – głos kapitana Crepusculum przypomina bardziej warkot wściekłego zwierzęcia, niż rozsądne słowa dowódcy.

Na chwilę przypominają mi się wydarzenia z tamtego dnia, gdy mijaliśmy krakena. Czy wówczas również wcale nie zamierzał wyrzucić mi krzywdy? Pamiętam, że jego uścisk wzrastał się, gdy zbliżał się do nas Beckwith. Czy to możliwe, że wówczas omylnie zinterpretowałam jego intencje? Że wcale nie chciał wyrzucić mnie przez burtę, a chronić przed pierwszym oficerem?

Przypominam sobie jednak także, jak ciągnął mnie za ubranie i wściekłość w jego oczach. Nie, nie sądzę, aby chciał mnie chronić. Szczególnie, że to on kazał mnie porwać.

Nic nie mogę poradzić, że wracam myślami do rozmowy sprzed kilku godzin. Jak Henrick mógł sugerować coś takiego? Czy on miał w ogóle styczność z własnym kapitanem? Lecz, z drugiej strony, jestem świadoma, że wszystkie dziewczęta z miasta zjawiały się w porcie za każdym razem, gdy do Port-Majar dochodziły wieści, że kapitan Crepusculum wraca z kolejnego rejsu. Niemal mdlały na jego widok. Zdaje się, że żadna z nich nie miała bladego pojęcia, jak bardzo był bezduszny i podły.

– Byłam w kuchni. – mówię, siląc się na opanowany ton. Nie zrobiłam przecież niczego zakazanego, jednak mina kapitana mówi, że nie zrezygnował jeszcze z planów wyrzucenia mnie za burtę.

– Po co tam poszłaś? – pyta, ciągnąc mnie w stronę schodów. Robi to tak gwałtownie, że zataczam się i niemal przewracam. – Racje żywnościowe są ściśle rozdzielone.

– Przecież nie poszłam tam kraść jedzenia. – mówię z oburzeniem. – Pomagałam kucharzowi sprzątać, po tym, jak coś uderzyło w okręt.

Crepusculum jedynie mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu i z powrotem, jakby szukając ukrytych racji żywnościowych, ale nic już nie mówi. Prowadzi mnie na górę.

– Dlaczego pan mnie szukał, kapitanie? – ryzykuję pytaniem. Nie chodzi o żadną bestię, już je minęliśmy. Po co im... ach, no tak, uzdrowicielka na pokładzie.

I mam słuszość, bo, gdy tylko stawiam stopy na trzeszczących deskach, moim oczom ukazuje się koszmarny widok. Rudowłosa mężczyzna - sternik albo nawigator, wciąż ich nie rozróżniam, są bardzo podobni, choć raczej nie krewni - leży na pokładzie. Twarz ma czerwoną od niewyobrażalnego wysiłku, nogę siną, wykrzywioną tak, że robi mi się niedobrze.

Nie pisałam się na to.

Nigdy nie chciałam zostać uzdrowicielką.

– Gdy ty byłaś zajęta swoimi okropnie ważnymi sprawami, tutaj zdarzył się wypadek. Wieloryb uderzył w okręt, a nasz Marcus został ranny. – dobiega do mnie głos pierwszego oficera. Wspaniale, to on chce się nade mną znęcać. Mogłam się domyślić, że jeszcze ze mną nie skończył.

– Wylecz go, uzdrowicielko. – rzuca Crepusculum i rusza w stronę własnej kajuty. I tyle właściwie go było widać.

– Jak długo on tak leży? – pytam, podchodząc do Marcusa. Wygląda potwornie, ale jakaś mroczna część mojej duszy mówi, że przecież sobie na to zasłużył.

– Jakiś czas. – mówi Beckwith. – Może godzinę.

Moje oczy otwierają się szeroko.

Skoro tak miały się sprawy, czemu nie posłali po mnie wcześniej?

– Nastawcie mu tę nogę! – krzyczę, bo nie mogę już tego znieść. Znęcali się nad tym człowiekiem, pozostawiając go ledwo żywego z bólu, tylko po to, by poczekać na mnie? Mogli mu nastawić tę nogę. Mogli ją usztywnić, bo nie wierzę, że żaden z marynarzy nie miał pojęcia, co zrobić, gdy ktoś złamie kończynę. Ale czekali na „uzdrowicielkę”, wiedząc, że nią nie jestem.

Mam wrażenie, że nie wytrzymam na „Aquariusie” ani chwili dłużej.

Z obrzydzeniem patrzę, jak jeden z marynarzy nastawia złamaną nogę. Z ust mężczyzny wyrywa się krzyk, tak potworny, że będąc pod pokładem zastanawiałabym się pewnie, dlaczego składają kolejnego niewolnika w ofierze.

Podchodzę do rannego, choć wcale tego nie chcę.

– Potrzebuję maści, ale pewnie jej nie macie. Potrafię ją przyrządzić, ale potrzeba mi ziół, niech ktoś przyniesie je z kuchni. – mówię, podając pospiesznie listę wszystkiego, co niezbędne. – I... jakąś deskę, coś sztywnego. Bandaże, jeśli nie macie, podarte kawałki materiału, cokolwiek!

Nikt nie wrzeszczy na mnie, że nazwałam miejsce na pokładzie „kuchnią”, ale wszyscy nagle się rozbiegają, a mnie cieszy ten ulotny moment triumfu, radość, że wykonują moje rozkazy, choć to ja jestem tu niewolnicą.

Do naszego domu wielokrotnie przychodzono ze złamaniami i stłuczeniami, nawet po tym, gdy ojciec stracił posadę królewskiego medyka. Oglądałam, jak to się odbywa, tak wiele razy, że, gdy tylko Joy, we własnej osobie dostarcza mi zioła, niemal automatycznie zaczynam sporządzać maść.

Marynarze wydają się być nieco zaniepokojeni. Nie znają tworzonej przeze mnie mieszanki ziół. Moja matka osobiście wynalazła ten przepis. Maść dawała ukojenie w bólu i zapewniała szybki powrót do zdrowia. Kwestia odpowiedniego dobrania składników, która dla większości mieszkańców Majaru była magią.

Gdy nakładam maść na nogę Marcusa, ten wierci się i wyje z bólu. Nie zamierzam mówić mu, że to zaraz przejdzie, czerpię przyjemność z tego, że jeden z moich oprawców cierpi. Zastanawiam się, dlaczego to, że zrujnowali mi życie, sprawiło, że mam ochotę zrujnować je innym. Chce wydać wyrok na tych troje: Oficera Beckwitha, nawigatora i sternika. I na kapitana Crepusculum. Chcę, by pożałowali.

Czy, porywając mnie, wiedzieli, że mnie zniszczą? Że stanę się żądna ich krwi?

Joy pomaga mi przywiązać nogę Marcusa do długiej deski kawałkami podartych szmat. Przynajmniej czystych. Żaden inny marynarz nawet nie podchodzi, ale obserwują. Marcus wciąż krzyczy, ale coraz ciszej. Maść zaczyna działać.

Gdy kończymy, wstaję i otrzepuję ubranie. Chcę umyć ręce, zmyć to z siebie, ale nie wiem, czy mogę już się oddalić. Nie wiem, jak właściwie wygląda praca medyka na pokładzie statku. Robię swoje i mogę odejść? Czy powinnam o tym zameldować kapitanowi? Poszukuję pomocy, spoglądam na Joy'a w nadziei, że powie mi co dalej, ale on tylko uśmiecha się pokrzepiająco. Choć ciągle nie wiem, co teraz robić, lepiej się czuję, widząc, że mam jakiegokolwiek wsparcie.

Odwracam się, jednak nikt inny się nie rusza. Wszyscy na mnie patrzą, łącznie z Marcusem. W końcu odzywa się drugi z rudowłosych.

– Kim jest twoja matka? – pyta.

Zbija mnie to nieco z tropu, przecież to on był jednym z tych, którzy wywlekli mnie siłą z domu i porzucili na tym okrutnym statku. Wiedział na pewno, kim jest mój ojciec, a co za tym idzie, powinien wiedzieć również, kim jest moja matka. Ale on wydaje się autentycznie nie mieć pojęcia. Może i on i Marcus byli tylko tępymi osiłkami, może Beckwith nie powiedział im, czyją córkę porywają, może fakt, że mój ojciec ma na imię John i popadł w niełaskę króla, nic dla nich nie znaczył.

– Moi rodzice to John i Maria. – mówię. – Bez nazwiska.

Nie dodaję, że kiedyś je mieli, ale było jedną z tych rzeczy, które utraciliśmy wraz z łaską króla.

Pierwszy oficer uśmiecha się, w jakiś okrutny sposób, jakby właśnie zrujnował wszystko, co jeszcze ze mnie pozostało, a ja pojmuję czemu. On wiedział, kim jestem, ale nikt poza nim. Porwał, na rozkaz kapitana, córkę zielarki i medyka, by pełniła funkcję uzdrowicielki, ale nikt inny na pokładzie nie miał o tym pojęcia. I, zdaje się, że tylko Beckwith wiedział, że moja matka nie jest tak naprawdę czarownicą. Należał do tej, wciąż powiększającej się grupy osób, która nie wierzyła w bogów ani w magię. Reszta załogi jednak – wręcz przeciwnie.

Wszyscy stoją i po prostu patrzą, jak się oddalam. Tylko Joy biegnie za mną w podskokach.

– Moja mama też nazywała się Maria. – mówi radośnie, raczej ciesząc się, że ten fakt nas łączy, aniżeli wspominając zmarłą kobietę.

– Wiesz, oni chyba myślą, że moja matka to zła osoba. – wyjaśniam, gdy oddalamy się na bezpieczną odległość.

– Ale czemu? Jest przestępcą? – pyta, przekrzywiając głowę.

– Nie. Jest bardzo dobra. Pomaga ludziom. – mówię pospiesznie. – Ale oni chyba nie do końca to rozumieją.

Zamierzam udać się do swojej kajuty, ale Joy mnie zatrzymuje.

– Powinnaś zameldować kapitanowi, co ze sternikiem. – mówi, potwierdzając moje obawy. Chcę prosić, by poszedł ze mną, ale wiem, że to niemożliwe. Gdzieś za nami dwoje marynarzy podnosi Marcusa i wnosi go pod pokład. Żegnam się z Joy'em i idę do kapitana.

Czuję, jak zupa, którą przyrządził dla nas Henrick, niebezpiecznie wiruje w moim żołądku i planuje z niego uciec, gdy tylko pukam do drzwi jego kajuty.

Jest jeszcze gorzej, gdy staje w nich Crepusculum.

– Uleczyłam go, kapitanie. – mówię. – Na tyle, na ile mogłam.

– Co to znaczy, „na tyle, na ile mogłam”? – pyta, marszcząc brwi.

– Żyje i ma się chyba dobrze, ale nie będzie chodził przez dłuższy czas.

– Mam rozumieć, że nie może pełnić funkcji sternika?

– Nie, raczej nie. – mówię, bo mam wrażenie, że funkcja sternika raczej wymaga przemieszczania się po pokładzie, a do samego stania przy kole na pewno potrzeba mu sprawnych nóg.

Kapitan wygląda, jakby układał w głowie listę kandydatów na miejsce Marcusa, albo myślał, czy opłaca się go karmić do spotkania z następnym potworem, ale po chwili wraca do rzeczywistości i znów przewierca mnie wzrokiem. Mam ogromną nadzieję, że nie jestem na przodzie listy kandydatów do świeżo zwolnionego stanowiska.

– Masz przeszkolenie sternika, uzdrowicielko? – pyta.

– Nie.

Powinien to chyba wiedzieć, zwłaszcza po tym, jak postawił mnie przed sterem kilka dni temu, ale może po prostu sądził, że bliskość potworów i strach z nią związany odebrał mi zdolność racjonalnego myślenia.

– Możesz odejść. – mówi zniecierpliwiony, a ja oddalam się niemal biegiem.



Chciałam mieć spokój. Od samego początku chciałam tylko, by zostawili mnie w spokoju.

Teraz miałam go za dużo.

Marynarze unikali mnie, jak wcześniej ja unikałam ich. W bezsenne noce, gdy wleklam się po pokładzie jak zjawa, słyszałam modły do Taurusa i do Capricorna.

A najgorliwiej modlił się Marcus o opiekę i oczyszczenie duszy z czarnej magii. O łaskę. O wybaczenie. Ale nie wybaczenie krzywd, jakie mi wyrządził. Prosił, by Taurus zmył z niego truciznę i wybaczył, że pozwolił się uleczyć w tak niegodny sposób.

Tylko Joy i Henrick mnie nie zostawili. Byli na tyle inteligentni, by rozumieć, że nie jestem wiedźmą, za jaką mieli mnie pozostali.

Przynajmniej marynarze w końcu zostawili mnie w spokoju.

Tego ranka dopływamy w końcu na Wyspę Odrobiny Nadziei, gdzie mamy spędzić trzy dni. Moje stopy nie potrafią przyzwycząić się na nowo do chodzenia po lądzie.

Gdy tylko schodzę z pokładu, zaczynam zataczać się jak pijana, na co marynarze reagują głośnym śmiechem, po czym sami schodzą i wcale nie radzą sobie dużo lepiej.

Joy też nie daje sobie rady, razem, jakoś się na sobie opierając, docieramy do jednej z chat przeznaczonych dla nas na czas pobytu na wyspie.

Teraz jesteśmy w środku: ja, Joy i Henrick. Uczymy się na nowo chodzić. To chore.

Mam wrażenie, że oszaleje, chcę się stąd wyrwać, ale wyspa, choć dość duża, nie zapewni mi schronienia. Wydaje się być wymarła, wygląda na pustkowie. Aż dziw, że to tutaj mamy uzupełnić zapasy. Skąd niby? Gdzie mieszkają farmerzy, którzy mają nam je przekazać? Gdzie hodują tu coś jadalnego?

Okna wychodzą na trzy strony: z jednego widać tylko chaty i marynarzy, chodzących tam i z powrotem, z drugiego morze, więc zasłaniam je, gdy tylko udaje mi się zapanować nad własnymi nogami. Trzecie ukazuje wzniesienia. Gdzieś za nimi skrywa się reszta wyspy i jej tajemnice.

Odrobina Nadziei.

Jak ktoś mógłby chcieć mieszkać w miejscu zewsząd otoczonym przez śmierć i potwory?

W chacie są trzy izby. W jednej z nich spędzamy popołudnie, pozostałe rozdzielamy jako sypialnie. Na szczęście nikt więcej nie planuje się do nas

przyłączyć, bo, jak się okazuje, to chata przeznaczona dla kucharzy.

Okrętowy medyk z pewnością również ma przydzielone zakwaterowanie, ale niepokoi mnie z kim miałabym je dzielić i jestem pewna, że ten ktoś jest równie wdzięczny, że się tam nie zjawiłam, jak i ja.

Cztery ściany, choć dają więcej przestrzeni, niż moja kajuta na „Aquariusie”, nie dają mi wolności. A potrzebuję jej tak bardzo. Nie zgłosiłam się jako pomocnica, aby udać się z innymi po zapasy za wzgórze i tego nie żałuję. Nie byłabym w stanie dźwigać ciężkich skrzyń, a wiem, że by mnie to nie ominęło, nawet, gdybym zagroziła marynarzom, że przeklnę ich jakąś wymyśloną klątwą.

Nie oznacza to jednak, że nie chcę wyjść. Chcę zobaczyć wyspę, nie całą, oczywiście, bo na to nie starczy czasu. Jej drugą stronę i tak ujrzę niedługo. Opłyniemy ją od zachodu i zatrzymamy w Porcie Poblizu. Potem już wprost do Kraterii... przez paszcze potwora.

Oznajmiam, że wychodzę, a Joy bez pytania wybiega za mną. Nie ukrywam nawet, że mnie to cieszy.

Staramy się unikać spojrzeń marynarzy, choć nie mają prawa nas zatrzymać. Nie jestem pewna, jak zareagowałby oficer Beckwith, widząc, że spaceruję. Pewnie wymyśliłby jakiś pretekst, by mnie uziemić, a ja nie chciałam mu dawać ku temu szansy.

– Dokąd idziemy? – pyta Joy, przekrzywiając głowę.

– Nie wiem. – mówię, bo tak naprawdę chcę tylko chodzić, ciesząc się, że jestem na stałym lądzie i dając sobie tę „odrobinę nadziei”. – Zobaczmy, co jest za wzgórzami. – proponuję.

– Farmy. – wyjaśnia chłopiec. Wiem o tym, ale wciąż nie dowierzam. Wyspa jest skalista i naga. Nic nie ma prawa na niej rosnąć.

Obchodzimy jedno ze wzgórz, bo wiem, że w dolinie pomiędzy nimi najpewniej natkniemy się na marynarzy, wyruszających po zapasy. Grunt jest nierówny, a kamienie ostre. Co chwilę potykamy się, albo ja, albo on i w ostatniej chwili łapiemy. Joy, jak na szczupłego dziesięciolatka, jest zaskakująco silny.

– Popatrz. – mówi z entuzjazmem, pokazując przed siebie palcem.

Trawa. Drugie strony wzgórz są nią niemal całkiem pokryte, co w porównaniu z nabrzeżem wydaje się nierealne.

Może to dlatego wyspa daje nadzieję. Nie dlatego, że jest przystankiem na morzu zła, a dlatego, że wygląda tak cudownie. Że wmawia człowiekowi, że wszystko jest możliwe, że trawa może obrosnąć pustkowie, a my możemy przetrwać ten rejs do końca i z powrotem. Muszę usilnie sobie wmawiać, jak naprawdę wygląda moja sytuacja i co mnie spotkało, żeby nie pozwolić sobie na tę odrobinę wiary. Bo jeśli to zrobię, nie będę w stanie przetrwać tego, co jeszcze przede mną.

Zastanawiam się, co właściwie czuje Joy i jak jego zdaniem wygląda nasza podróż. Jako ekscytująca przygoda? Nie wie, że najpewniej zginie. Właściwie, to może przeżyć, ale szansa jest nikła. Oboje powinniśmy uciec. Henrick też, co go podkusiło, by wziąć ze sobą tego chłopaka? Zamierzałam go o to spytać, ale nigdy nie miałam okazji, zawsze Joy był w pobliżu, a nie chciałam niszczyć jego niewiedzy. Nie chciałam, by na pokładzie znajdowała się jeszcze jedna złamana dusza.

W miarę jak idziemy, ukazuje się coraz więcej: łąki, a dalej farmy i pola. Widzę Wyrzutków z Nadziei, jak mówi się o tych, którzy tu mieszkają, przemieszczających się między nimi. Pomiedzy dwoma wzgórzami widać i marynarzy, wyglądających jak robaczki, idących w równym rzędzie. Gdy będą wracać obciążeni zapasami i towarami na sprzedaż, pewnie jeszcze bardziej przywołają skojarzenie mrówek.

Obserwujemy to z ukrycia. Cieszymy się z wolności, której tak naprawdę nie mamy.

Jeden z nich odłącza się i, o dziwo, idzie w naszą stronę. Przejmuje mnie strach, że Beckwith nas zobaczył, ale tamta postać po chwili nieznacznie skręca i powoli wspina się na wzgórze.

Patrzę pytająco na Joy'a.

– To kapitan. – stwierdza.

Wspaniale. Kapitan również należał do osób, które lepiej by nie widziały mnie spacerującej po wyspie. Właściwie, lepiej, żeby nikt mnie nie widział. Jednak wiem, że, gdy stanie na szczycie, zobaczy nas i z pewnością zaskoczy go, że się ukrywamy. Pozostaję więc zawrócić, lub iść na przód, i tak zostaniemy odkryci.

Nie chcę się cofać, ale Joy pociąga mnie za rękaw w stronę wybrzeża.

– Jutro wrócimy. – obiecuje.

*Miesiąc 1, tydzień 2, dzień 5
na Bestialskim Morzu (Wyspa Odrobiny Nadziei)*

Jeszcze nie odpoczęłam i nie odpocznę, puki nie postawię stopy w Królestwie Majaru.

Jutro rano wypływamy.

Nie chcę tego, wolę zostać, ale nie mogę.

Nawet, gdybym miała przyłączyć się do tutejszych farmerów, nie mogę, bo wzywa mnie inny ląd, daleko.

Dziesięć dni drogi stąd, a jednak tak daleko, że nie śmiem nawet o nim marzyć.

Reyna

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ZŁUDA ŻEGLARZA

Moje serce łamie się na kawałki, gdy opuszczam chatę.

Przez chwilę była mi bezpiecznym schronieniem. Przez chwilę była mi domem.

Wczoraj zwiedziliśmy z Joy'em całkiem spory fragment południowej części wyspy. Nie martwię się, że będę obolała po takim wysiłku, szczególnie, że przez ostatnie dwa i pół tygodnia moja aktywność fizyczna była dość ograniczona. Przecież i tak będę siedzieć w swojej kajucie i czekać, aż dopłyniemy na drugą stronę wyspy.

Farmy były... nudne. Znaczy, nie żebym narzekała, to i tak coś innego, niż monotonne wody, w których czai się śmierć, ale... drewniane chaty, mnóstwo trawy oraz ludzie hodujący warzywa i owoce. To wszystko, czym można opisać Wyspę Odrobiny Nadziei.

Ale i tak z żalem opuszczałam te złudnie skaliste brzegi.

Wszyscy byli już na pokładzie i niestety o mnie nie zapomnieli. Miałam nadzieję, że dane nam będzie jeszcze przynajmniej przenocować na lądzie, ale nie.

Wspinam się na pokład, czerpiąc głupią satysfakcję z tego, że tym razem robię to o własnych siłach i po części chociaż dobrowolnie. Potrzebowałam takich drobnych triumfów, czegokolwiek, co przynajmniej na ułamek sekundy sprawiłoby mi radość.

Zaraz po mnie wspiął się kapitan Crepusculum i tym sposobem cała załoga na powrót znalazła się na „Aquariusie”.

Na wyspie łudziłam się, że może kapitan spadnie ze wzgórza podczas jednej ze swoich wspinaczek i połamie się poważnie, może i zabije, ale nie. Potem beształam się za takie myśli, bo przecież, gdyby kapitan się uszkodził, a ja nie byłabym w stanie go wyleczyć, Beckwith przejąłby dowodzenie i najpewniej wrzucił mnie do morza, nawet pomimo obaw przed topicielką.

Niemal automatycznie schodzę pod pokład, by zaszyć się w swojej kajucie. Cała reszta zostaje na zewnątrz, spoglądając tęsknie na oddalającą się wyspę.

Mija zaledwie chwila, gdy do środka wpada Joy.

– Nie chcesz iść z nami? Zobaczyć wyspę? – pyta.

– Nie.

– Ale... wszyscy tam są! Nikt nie chciał tego przegapić! Wszyscy, nawet kapitan... aha. Rozumiem.

– No właśnie. – mówię cicho. – Nie wyjdę stąd, dopóki nieco się tam nie przerzedzi.

– Nie uważasz, że to twoje uprzedzenie jest trochę... bezpodstawne?

– Uważasz, że porwanie i przymuszenie do rejsu po tych wodach to słaby argument, by ich nienawidzić?

– Mam na myśli... – Joy zastanawia się chwilę – nie przepadasz za kapitanem Crepusculum. Ale to nie on cię porwał.

– On zlecił porwanie mnie. To tak jakby on jest za to całkowicie odpowiedzialny, bo to on pociąga za sznurki.

– Tego nie wiesz.

Przekrzywiam głowę, słysząc pewność w jego głosie. A może i dlatego, że nie co dzień jestem besztana przez dziesięcio... przepraszam, dwunastolatka. W życiu nie strzeliłabym trafnie, określając jego wiek, dlatego zaskoczyło mnie, gdy na wyspie powiedział mi, ile ma lat.

– Nie musisz go nienawidzić. To będzie znacznie łatwiejsze. Szczególnie dla ciebie. Musi być strasznie ciężko nienawidzić kogoś tak przez cały czas.

Dłuższą chwilę się zastanawiam, czemu tak mu zależy. Dlaczego popiera kapitana, choć słyszał o nim same potworności, choć wszystkie one padały z moich

ust. Ale w końcu rozumiem, że, choć Joy podziwia kapitana Crepusculum, to nie o niego tak naprawdę chodzi. Chodzi o mnie, chodzi o duszącą mnie nienawiść, chodzi o to, by zniknęła, bo w końcu mnie zgubi. Ale ja nie chcę się jej pozbywać. Tylko wściekłość mi pozostała. Nie ma na tym pokładzie miejsca na inne uczucia, jeśli wykluczy się strach.

– Ile masz lat, Rey? – pyta.

– Prawie dwadzieścia. – mówię, niemal automatycznie, po chwili dopiero zastanawiam się, skąd właściwie to pytanie.

– Kapitan Crepusculum ma dwadzieścia pięć. – mówi. – Nie jest od ciebie chyba dużo starszy.

– Zależy, jak by na to spojrzeć. – stwierdzam. Joy chyba pochodzi z Kraterii, skoro tak sądzi. W Majarze pięć lat różnicy to granica nie do przebycia. – Skąd wiesz, ile ma lat?

– Spytałem.

– Kogo?

– No... kapitana. – mówi, marszcząc brwi.

– Ale... po prostu poszedłeś do niego i spytałeś?

– Miałem prace na pokładzie, a on akurat przechodził. No to go spytałem.

– Ale po co? – dziwię się.

– Myślałem, że może jest dla ciebie za stary, albo coś.

– Dlaczego ty i twój stryj upieracie się tak bardzo, że ja... no wiesz, że muszę mieć coś do kapitana?

– Przecież masz.

– Nie w tym sensie. W tym innym sensie.

– Bo to chyba łatwiejsze niż nienawiść. – stwierdza Joy. – Ale ty wolisz sobie wszystko komplikować.

Trochę mi niezręcznie po sugestiach, jakoby miałabym cokolwiek czuć do kapitana Crepusculum, ale staram się to ukryć.

– On cię nie nienawidzi. – mówi Joy. – O to też pytałem.

– Ty... tak po prostu podszedłeś do Crepusculum i... spytałeś go o wiek i czy mnie nienawidzi?

– Właściwie, to spytałem czemu cię nienawidzi. A on na to, że wcale cię nie nienawidzi i dlaczego tak uważam.

– I co mu odpowiedziałeś? – pytam podejrzliwie.

– Że ty chyba myślisz, że jest inaczej, a on na to, że widać wyraźnie, że to ty nienawidzisz jego. To ja odpowiedziałem, że rzeczywiście tak jest. A on obiecał, że nauczy mnie tych wszystkich węzłów, które tak zapamiętała plotą żeglarze, patrząc w horyzont...

– Joy... skąd niby wiesz, co robią, kiedy patrzą w horyzont? – pytam, byle tylko zmienić temat.

– Też byś wiedziała, gdybyś tylko częściej stąd wychodziła. – stwierdza. – Hej, przypomniałem sobie, że stryj dał mi coś dla ciebie.

Patrzę zaskoczona, jak chłopiec wręcza mi mały flakonik. Szklany z misternie wykonaną nakrętką. Gdy go otwieram w pomieszczeniu unosi się woń fiołków.

– To z jego kolekcji. – mówi. – Ale fiołków nigdy nie lubił, więc pomyślał, że może cię to nieco rozweseli.

– Jest piękny. – mówię. – dziękuję.

Joy zostaje. Nie wraca na górę, nie ogląda Wyspy Odrobiny Nadziei skąpanej w blasku zachodzącego słońca. Zostaje ze mną i rozmawia.

Choć wcale nie musi.



Mija kolejne pięć dni naszej podróży i właśnie teraz, wśród spienionych fal walących w burty statku, wypadają moje urodziny.

Gdybym wciąż była w Majarze, urządzono by właśnie huczną zabawę. Zeszliby się wszyscy, których znam i świętowali do rana. Nosiłabym zieloną suknię i wianek z kwiatów. Tańczylibyśmy w blasku ogniska. Zaręczono by mnie z jakimś

wieśniakiem i żyłabym długo i nieszczęśliwie... gdybym oczywiście nie była Reyną.

Obawiam się, że w moim przypadku wkroczenie w dorosłość odbywałoby się nieco mniej hucznie. Jasne, zrobiliby ognisko i tańce. Przyszliby ludzie, którzy nie potępiali mojej matki i nie bali się, że rzuci na nich urok, lecz byłoby ich niewielu. Przyszliby i poszli, być może zwabieni jedynie smacznymi przekąskami. Nie zaręczono by mnie, bo właściwie to nie miałam nawet przyjaciół, oprócz jednego, dawno temu. Mój ojciec wciąż pracował dla króla, a ja dzięki temu miałam dostęp do pałacowej biblioteki. Nie wpuszczano tam plebsu, a nawet jeśli, to pod nadzorem i na pewno nie byle chłopca. Ale ja byłam córką medyka. Mogłam chodzić tam bez nadzoru. Mogłam czytać, co tylko chciałam. Pracował tam pewien chłopak, starszy o jakieś cztery lata. Dogadywaliśmy się. Jego ludzie też nie lubili. Nazywał się Roger. Jedyną zabawą z okazji wkroczenia w dorosłość, na jakiej byłam, była jego. Miałam wtedy szesnaście lat, pamiętam. Dokładnie dwa lata wcześniej król dowiedział się, kim jest moja matka i od razu znalazł kompetentnego uzdrowiciela, który zajął miejsce mojego ojca. Wyrzucono go, a nasza rodzina straciła uznanie, jakim ciągle nas darzono. Teraz jest tylko wiedźma, jej popadły w niełaskę mąż i córka.

Rogeroi to nie przeszkadzało, tak przynajmniej myślałam. Byłam na tej zabawie, ale teraz wiem, że jedyną tego przyczyną był fakt, iż nie znał on zbyt wielu ludzi, których mógłby zaprosić. Byłam wypełnieniem pustki. Wiem, bo potem zaczął się powoli odwracać. Miałam osiemnaście lat, kiedy po Majarze zaczęły krążyć pogłoski, że Roger żeni się z Arianą, córką kowala.

Nie zostałam zaproszona na wesele. Ariana miała dość znajomości i ludzi, którzy ją uwielbiali, by zapełnić pustkę. Nie byłam potrzebna.

Jesteśmy w połowie drogi pomiędzy pierwszym, a drugim portem leżącym na Wyspie Odrobiny Nadziei. Żeglarze mówią, że gdy już minie się połowę, można odetchnąć, przynajmniej płynąc w tamtą stronę. Wybierając się do Majaru, sprawy mają się wręcz przeciwnie.

Ale ja nie mam zamiaru wracać do Majaru.

Moje plany są dość niejasne, wiem, że chcę uciec, wiem, że muszę się ukryć, ale nie wiem, co dalej. Na dobrą sprawę, nie wiem nawet jak wygląda miasto. Czytałam o innych obyczajach panujących w Kraterii, że nie mają króla, bo Krateria jest księstwem, ale może w pałacu panują podobne obyczaje. Może podszkolę się jeszcze trochę i zostanę nadworną medyczką. Miałabym wtedy ochronę. Może i kiedyś wróciłabym do domu.

Ale sama już w to nie wierzę. Gdy mnie porwali rozumiałam, że widzę Majar po raz ostatni, bo zginę. Ale teraz, po tym, gdy ta odrobina nadziei przyłgnęła do mnie i tak już pozostała, myślę, że może nie wrócę dlatego, że ukryję się w mieście po drugiej stronie morza.

Niespodziewanie oślepia mnie blask. Zaraz potem znika, a ja głowię się, co się właściwie stało. Ale zaraz potem dudniący trzask oznajmia mi, że to piorun. Rozpoczyna się burza.

Po usłyszeniu tyłu opowieści, zdaję sobie doskonale sprawę z tego, iż sztorm to nic dobrego. Sztorm to coś potwornego, co może sprawić, że moje plany ucieczki nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Ta myśl działa na mnie pobudzająco. Wybiegam jak oszalała z kajuty i pędzę na górę.

Marynarze biegną, jakby poszaleli. Kapitan Crepusculum stoi na środku tego chaosu, spokojny, jak oko cyklonu i wydaje rozkazy. Jakby w ogóle się nie przejmował. Ale jestem pewna, że tak nie jest. Jest spokojny, bo wie co robi, w końcu jego legenda musi być na czymś oparta.

Deszcz najpierw kropi, potem leje coraz bardziej. Nie mija minuta, a wszyscy jesteśmy skrajnie przemoczeni.

Crepusculum odwraca się i szykuje do wydania kolejnych poleceń. Otwiera usta, ale nigdy nie dane mi było dowiedzieć się, co właściwie zamierza powiedzieć, bo tuż za nim zbiera się fala.

Jest tak ogromna, że przez chwilę dławiący strach mówi mi: kolejny potwór. Ale nie, wcale nie.

Fala opada, zalewając pokład. Marynarze łapią się czego popadnie, ale i tak padają na deski. Jeśli to przetrwamy, pomoc medyka będzie nieunikniona, szkoda tylko, że nie mamy żadnego kompetentnego na pokładzie.

Fala odrzuca nas niebezpiecznie. Nawigator coś krzyczy, chyba, że zepchnęło nas z kursu.

Pomagam, jak tylko mogę, robię, co każą, bo, jak oni, nie chcę ginąć. Crepusculum gdzieś zniknął. Nie widzę też Joy'a, ale Henrick pomaga komuś ciągnąć linę. Że też nie mam bladego pojęcia o okrętach! Przypominam sobie nagle dlaczego i dlaczego tu jestem, ale nie pozwalam, by te myśli teraz mi przeszkodziły. Musimy się ocalić. Wszyscy.

Beckwith trzyma ster, zdaje się, że teraz on wydaje rozkazy. Wiatr szaleje, a deszcz ogranicza widoczność, widzimy jednak wyraźnie czające się przed nami skały. Są czerwone. Czerwone jak krew.

– Zawróć! – rozlega się przejmujący krzyk kapitana.

– Przeciśniemy się! – odpowiada pierwszy oficer i usilnie kieruje nas na skały.

– Tam jest przerwa pomiędzy skałami, przeciśniemy się!

– Zawróć, to rozkaz! – wrzeszczy Crepusculum. W jego oczach widać tak mocną determinację, że dziwię się, jak Beckwith, może się opierać. – To Złuda Żeglarza, głupcze. Prowadzisz nas na śmierć. – teraz kapitan nie krzyczy, ale głos ma tak donośny, że bez problemu go słyhać. Przez twarz oficera przebiega błysk zrozumienia.

Ale jest za późno.

Najpierw to tylko cichy zgrzyt, jakaś pojedyncza skałka ociera się o „Aquarius”.

Potem przepływamy obok następnych, bezpiecznie do miejsca, o którym mówiono Złuda Żeglarza, cieśninie między nimi, wąskiej, ale idealnej, by precyzyjnie się przez nią statek.

I wpadł prosto w śmiertelną pułapkę.

I tak właśnie się dzieje, bo, gdy tylko wyłaniamy się zza skał, kadłub przedzierają kolce. Jeszcze nie ma na nich krwi, ale i tak są czerwone. Czerwone

Skały, teraz już pamiętam.

W statku zionie dziura, ale on dalej prze naprzód, po więcej śmierci, po więcej cierpienia. Widzę po prawej przestrzeń, niewielką, ale dostatecznie szeroką, by mogła się przez nią przecisnąć mała łódka. Inni też ją zauważyli. Kilkoro żeglarzy odwiązuje szalupy.

Zdaje się, że nie może bardziej padać. Łzy niebios zamazują mi przed oczami krew kamieni przed nami.

A jednak przeznaczone mi było zginąć na tym okręcie.

Statek idzie na dno, a marynarze skaczą do szalup. Biegnę za nimi w nadziei, że może to jeszcze nie koniec, to nie może się tak skończyć. Beckwith już opuścił pokład, zaraz po sprzeczce z kapitanem przy kole sterowym. Widziałam chwilową szarpaninę. Byłam właściwie pewna, że pierwszy oficer próbuje wyrzucić kapitana za burtę, a potem straciłam ich z oczu. Teraz widzę, jak Crepusculum zbiega z mostka.

I ta chwila nieuwagi wystarczy, bym poślizgnęła się na mokrych deskach i runęła jak długa.

Nie jestem ostatnia, wiem to, ale i tak przejmuję mnie panika. Poczekają? Nie na mnie, oczywiście, że nie, ale na resztę? Na kapitana?

Usiłuję się podnieść, ale dostrzegam parę czarnych butów, zatrzymujących się tuż obok. Ktoś wyciąga do mnie dłoń w brązowej rękawicy. Chwytam ją bez zastanowienia, dopiero gdy jestem na nogach, uświadamiam sobie do kogo należy.

Kapitan Crepusculum, niech go szlag, właśnie mi pomaga.

Biegniemy w stronę prawej burty, nie docieramy jednak do szalupy ratunkowej.

– Aquariusie. – rozlega się paniczny szept za nami.

I właśnie za nami jest fala, która kładzie się po pokładzie, wywracając statek i wyrzucając nas wszystkich do morza.

*Miesiąc 1, tydzień 3, dzień 3
na Bestialskim Morzu*

Nie zgadzam się.

Czemu nie mogę po prostu zaprotestować?

Przecież... tyle już przeszłam, tyle skarżyłam się na niesprawiedliwość, ale teraz, kiedy w końcu zaakceptowałam swój los, czeka mnie taki koniec?

To nie może tak wyglądać.

Nie poddam się.

Ale nie potrafię też walczyć.

Pomożesz mi? Wodo...

Reyna

ROZDZIAŁ ÓSMY

PO BURZY

Nie mogę oddychać.

To pierwsze, co do mnie dociera. Ale skoro coś do mnie dociera, znaczy, że wciąż żyję.

Wciąż albo spadam, albo o coś uderzam. Woda jest wszędzie, w oczach, w nosie, sporo już połknęłam.

W temacie oczu: palą jak ogień, nic nie widzę, nie wiem nawet czy wciąż jestem na zalanym pokładzie, czy już w morzu. Słyszę tylko szum, wszędzie wokół, nie wiem czy jestem sama, czy inni też toną w tym chaosie.

Brakuje mi tlenu, nie mogę oddychać. Choć co jakiś czas moja głowa wychyla się ponad powierzchnię wody, nie potrafię złapać tchu.

Uduszę się.

Pamiętam, że przed nami rozciągał się pas Czerwonych Skał, obawiam się, że nim jeszcze umrę z braku powietrza, nadzieję się na którąś z nich. W moim umyśle nie ma nic więcej, prócz paniki, a fakt, że co chwilę obijają się o mnie różne przedmioty nie ułatwia sprawy.

W pewnej chwili wszystko wokół uspokaja się. Może nie zupełnie, ale odrobinę. A ja zmuszam resztki rozsądku, by przypomniały mi, jak się pływało.

Nigdy nie byłam w tym dobra, a teraz uświadamiam sobie, że to, co w ogóle potrafiłam jest niczym. Nie umiem pływać.

Moja głowa wyrywa się na powierzchnię, rozchlapując wokół wodę. Nabieram tchu, oddycham szybko i gwałtownie, bo mam wrażenie, że zaraz umrę.

Jest tak okropnie ciemno. Burzowe chmury odbite w czarnych odmętach barwią mój świat w odcienie mroku.

Nie potrafię utrzymać się na powierzchni.

„Aquarius” jest wrakiem. Nabity na Czerwone Skały wygląda jakby ktoś przebił go tysiącem ostrzy i powoli się wykrwawiał. Połamane kawałki drewna są wszędzie wokół. To właśnie jeden z nich ratuje mi życie. Chwytam się go kurczowo, zdaje się, że to kawałek masztu, ale utrzymuje mnie na powierzchni.

Może już nie tonę, ale co teraz?

Ocieram oczy, choć niewiele to daje, bo dłonie mam mokre od morskiej wody. Wciąż widzę zamazane kształty, uporczywie mrugam, aż wzrok mi się wyostrza.

W oddali widzę łódź. Szalupę ratunkową, płynącą przez przesmyk. Nie widzę pasażerów, tylko kształty, może z dziesięć, może i piętnaście. Ale jednego jestem pewna, postać na przedzie to oficer Beckwith i to on odwraca się w moją stronę. Patrzy i odpływa.

Naiwną była myśl, że może ocalą całą załogę.

Gdy patrzę w stronę statku, wiem, że żaden z niewolników nie przetrwał, spotkał ich los znacznie gorszy, niż mnie. Uwięzieni w ciemnościach pod pokładem, albo potopili się, gdy dotarła tam woda, albo zostali nadziani na skały. Alternatywa dla bycia pożartym przez potwora.

Jak tak teraz o tym myślę, to nie miałam szans już od początku, bo nie znalazłam się w szalupie, jako jedna z pierwszych. Już wtedy byłam stracona. Poślizgnięcie się jedynie to potwierdziło. Już byłam martwa.

Oni nie mieli czekać. Oni już odpływali. Co z tego, że kapitan Crepusculum wciąż był na pokładzie. Kapitan idzie na dno z okrętem.

I z uzdrowicielką.

Rozglądam się wokół. Prócz odłamków drewna, tych części „Aquariusa”, widzę też ciała. Ciała ludzi, należących do załogi, którzy nie zdążyli wsiąść do szalupy. Tych, którzy w ostatnich chwilach wzywali bogów na pomoc. A bogowie nie przyszli.

Byli martwi, każde z nich, włącznie z topicielką. Już niedługo miałam do nich dołączyć. Bo jak, nie umiejąc pływać, miałabym dotrzeć wpław... dokąd? Do Kraterii? Do Wyspy Odrobiny Nadziei? Te myśli są tak absurdalne, że w innej sytuacji wybuchnęłabym śmiechem.

A zaraz potem uświadamiam coś sobie. Mój wzrok łowi szczegóły otoczenia i po chwili wiem już, że to nie na mnie spoglądał Beckwith. Tuż za mną na falach unosi się kapitan Crepusculum.

Martwy, jak cała reszta.

Pamiętam, jak kiedyś, wiele lat temu, do naszego domu przyszli wieśniacy z obrzeży miasta, tam gdzie kończyły się mieszczańskie budynki, a rozpoczynały farmy. Przyszli do mamy, bo ich córka zachorowała. Zabobonni wieśniacy winili czary i prosili, by moja mama „wiedźma” je odczyniła. Pojechaliśmy do nich razem z tatą, w razie, jakby potrzebny był i medyk. Zabrali mnie z sobą, bo nie mieli gdzie mnie zostawić. Na miejscu mama udała się do dziewczyny zobaczyć jak się czuje i przez dłuższy czas pozostała tam, by sprawdzać stan jej zdrowia. Mama cały ten czas zajmowała ją rozmową i opowiadała różne historie. Zostałam w kuchni razem z tatą, jednak przez lekko uchylone drzwi słyszałam każde słowo. Jedna z tych historii wyjątkowo zapadła mi w pamięć i przypomina mi się właśnie teraz, gdy widzę wokół siebie tonącą załogę statku.

– Wyobraź sobie – mówiła mama. – że płyniesz statkiem do kraju, gdzie ludzie są śmiertelnie chorzy. Ale twój statek niespodziewanie tonie, ty cudem złapałaś się jakiegoś dryfującego przedmiotu i wiesz, że bezpiecznie dopłyniesz do pobliskiej wyspy, ale nie tej, która jest celem waszej podróży. Wokół ciebie tonie kilka osób: czteroletni chłopiec, dziewiętnastoletnia dziewczyna, ciężarna kobieta, mężczyzna znający lek na tamtą śmiertelną chorobę i morderca. Co robisz?

– Ratuję ciężarną kobietę. – oznajmiła dziewczyna niemal bez zastanowienia.

– I pozwalasz reszcie utonąć?

– Tak.

– Posłuchaj – mama lekko zniżyła głos, tak że musiałam się mocno wysilić, by ją usłyszeć. – Nie możesz bawić się w sędziego. Nie możesz skazywać niewinnych

ludzi. Dla tej jednej kobiety jesteś wybawcą, ale dla całej reszty katem.

Ta historia nie dawała mi spokoju. Setki razy roztrząsałam ją w głowie i analizowałam różne możliwości. Nigdy jednak nie spytałam o to mamę.

Myślałam, żeby ocalić chłopca, bo miałabym towarzystwo. Zastanawiałam się czy dogadywałamby się z dziewczyną. Myślałam o tym, dlaczego nikt nigdy nie ocaliłby mordercy.

Teraz wiem już, że jedyna słuszna odpowiedź, to nie ratować nikogo, tylko kurczowo trzymać się tego złamanego fragmentu masztu.

Ale chyba jestem szaleńcem, bo wyciągam rękę do Jamesa Crepusculum.

Drewniany maszt kiwa się na falach, a ja obawiam się, że wywrócę się i utonę, ale wyteżam wszystkie siły i ciągnę go w swoją stronę, bo pamiętam, jak, zdaje się, chwilę temu, poślizgnęłam się, a on wyciągnął rękę do mnie.

Fale tym razem mi pomagają. Opieram się całym ciężarem na maszcie i wciągam kapitana.

Sprawdzam puls, czynność, którą tak wiele razy widywałam, podczas gdy ojciec jeździł do różnych półżywych przypadków.

Jest.

I oddycha.

Nie wiem czy mam się cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

Właściwie to nie wiem nawet do końca, co robię.

Jestem zmęczona tym wszystkim, zmęczona walką, zmęczona tym usilnym trzymaniu się przy życiu.

Tracę przytomność.



Otwieram oczy.

Nie pamiętam, żebym zemdlała, ale co się działo też nie pamiętam. Więc jednak zemdlałam.

Teraz ocuciła mnie paląca potrzeba kaszlu. Wyrzucenia z siebie czegoś... chyba wszystkiego. I tak, osłabiona, opieram się na łokciach i zaczynam kaszleć i pluć na przemian. Mam wrażenie, że wszystkie moje wnętrzości wypełnione są obrzydliwą słoną wodą. Nie potrafię pozbyć się setek granulek, które dostały mi się do ust. Są równie ohydne, co i woda, do tego chrupią mi pomiędzy zębami. Klękam i nabieram na dłonie odrobinę morskiej wody, by przepłukać usta. Wypluwam ją, a potem zdaję sobie sprawę z tego, czym były te granulki.

Piasek.

Mąci mi się w głowie, ale odwracam się od morza, bo dociera do mnie, że przecież już nie tonę. Że klęczę na stałym gruncie... no może nie do końca stałym, bardziej sypkim.

Odwracam się i widzę plażę. Wielką, piaszczystą plażę. A dalej pas zieleni.

Nie ma ani „Aquarius”, ani Czerwonych Skał, ani zdradzieckiej Złudy Żeglarza. Jest wyspa. Stały ląd. I ja, sama. Żywa.

Piękny, dumny statek „Aquarius” nie istnieje, a ja owszem i mam się całkiem nieźle. Problemy z żołądkiem się nie liczą.

Sama na bezludnej wyspie.

Mam ochotę krzyczeć. Nie płakać, płakać nie chcę już nigdy więcej. Chcę wrzeszczeć, wyrzucić z siebie to wszystko, całą tę niesprawiedliwość świata.

Odwracam się na pięcie i ruszam przed siebie szybkim krokiem. Idę przez plażę, jedynie pobieżnie rzucając okiem na strzępy pozostałe ze statku, wyrzucone na brzeg. Potykam się i ryję twarzą w piasek, na nowo wypełniając usta tym ohydny smakiem.

No tak, cholerny Crepusculum. Że też musiało mi odbić, żeby go ratować.

Wstaję, nie otrzepuję się z piachu, bo nie mam jak. Moje ubranie jest doszczętnie przemoczone, a mokry piasek przylega do mnie, zdaje się, na dobre.

Crepusculum leży na piasku, jak i ja przed chwilą, zaplątany w ten swój bordowy płaszcz. Jedna jego ręka wciąż jest zaciśnięta na kawałku masztu, tak mocno, że z miejsca w którym stoję, widzę powbijane w jego rękę drzazgi. Niech nie liczy na to, że pomogę mu je wyciągać.

Zastanawiam się, czy żyje i nad tym, co mam robić. Jeśli jest martwy, będę miała tylko jeden problem: pozbyć się trupa. Jeśli żyje, problemem będzie utrzymanie go w takim stanie. Nie mam bladego pojęcia jak postępować z ofiarami bliskimi utopienia. Gdy ojca do takich wzywano, zawsze okazywało się, że są martwi.

Ale James Crepuscuum jak najbardziej żyje, pewnie po to, by zrobić mi na złość, a może i po to, bym przez resztę życia zastanawiała się, czy w takim wypadku oznacza to, że jestem szaleńcem, bo zdecydowałam się go ocalić.

Crepusculum oddycha, co uznaję za łut szczęścia, bo nie mam pojęcia, jak inaczej miałabym pozbawić go wody z płuc. Nigdy nie przechodziłam przeszkolenia medycznego, a wszystko, co potrafię, wiem tylko z obserwacji.

I wtedy, gdy nie wiem już, co mam robić: czy zawlec go głębiej na plażę, żeby woda go nie zabrała, czy zostawić, bo pewnie będzie cholernie ciężki, szczególnie, że gruby płaszcz nasiąknął wodą, kapitan umarłego okrętu otwiera oczy.

I wszystko komplikuje się jeszcze bardziej.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
na jakiejś wyspie*

Nawet na łódzie nie dajesz o sobie zapomnieć. Chcę sobie wyobrazić, że to się nie stało, ale mi nie pozwalasz.

Co mogę powiedzieć?

Że dziękuję za ocalenie życia, że jestem wdzięczna, bo nie umrę w wodzie, tylko na jakiejś nieznannej wyspie, nie wiadomo nawet gdzie?

Ale... cieszę się. Jestem wdzięczna, że nie przyszło mi ginąc w paszczy potwora. Ani umrzeć przez utonięcie.

Jeśli mam umrzeć, to cieszę się, że tu, na stałym łódzie.

I cieszę się, że kapitan Crepusculum umrze tu razem ze mną.

Reyna

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

OCALALI

Gdy kapitan otwiera oczy, nie wygląda na zaskoczonego obecnością medyczki.

– Wody... – chrypie, o ironio, nie wydalając z siebie ani kropli morskiej wody.

– Wody? – śmieję się bez cienia radości. – Słonej? Jeśli tak, to ma pan całe morze, kapitanie. Niestety, słodkiej nie posiadamy.

– Idź po Jeffersona... albo kucharza, on wie, gdzie są beczki z wodą pitną. Albo idź po nie sama, poradzę sobie. – choć ledwo mówi, oczywiście pierwsze, co robi, to wydaje rozkazy.

– Przykro mi to mówić, ale wygląda na to, że zarówno kucharz, jak i pański zastępca nie żyją, kapitanie. – mówię, uświadamiając sobie, że to prawda. Beckwith wprowadził wsiadł na szalupę ratunkową, ale dokąd mogliby dopłynąć? Nie wiem, czy Joy i Henrick byli wśród tych, którym udało się uciec z okrętu, nim rozbił się o skały, ale tak naprawdę wiem, że nie mogli tego przeżyć.

Smutek ściska mi gardło.

Kapitan Crepusculum otwiera gwałtownie oczy, potem usta, a potem prędko je zamyka. Wiem jednak doskonale, co chce powiedzieć. Że to jeszcze nie ich kolej na stracenie. Że owszem, najpierw powinni utopić kucharza, potem mnie. A pierwszego oficera na samym końcu.

– Byłem nieprzytomny. – stwierdza. – Co się stało?

– Statek zatonął. – mówię. – Morze wyrzuciło nas tutaj. To jakaś wyspa, pewnie bezludna.

Kapitan podnosi się gwałtownie, jakby dopiero uświadamiając sobie, że leży na piasku, a nie na pryczy we własnej kajucie.

– Statek z załogą – mówi powoli. – który przetrwał potwory, atak krakena, syreny, lewiatana, sztorm i te przekłete Czerwone Skały... zatonął?

– Właściwie to nie przetrwał ani sztormu, ani skał. To na nie się nadział.

– Ilu przeżyło? – pyta, rozglądając się po pustej plaży.

– Około dziesięciu, może kilku więcej, wsiadło do szalupy ratunkowej.

– Wystarczy. Gdzie są? – pyta władczym tonem.

– Wsiedli, ale czy przeżyli, to nie mam pojęcia. Tu dotarliśmy tylko pan i ja.

– Ale dlaczego nie ma mnie z nimi? – nie dziwi mnie, że nie wspomina nawet o mnie.

– Bo pan został na pokładzie, kapitanie. A oni nie czekali na nikogo. Zabrali tą łódź i popłynęli w cholerę. Gdy fala zmyła pozostałych do morza, nie wyławiali tonących. A pan tonął, kapitanie.

– Więc, co tu robimy? Jakim cudem żyję?

– Cóż... uratowałam pana. I teraz znaleźliśmy się tutaj.

Jeżeli łudziłam się w ogóle, że Crepusculum szybko dojdzie do siebie i obmyślimy jakiś racjonalny plan przetrwania, to moje złudzenia szybko się rozwiały. Kapitan zrzędzi bardziej, niż staruszki, którym musiałam dostarczać recepty, gdy ojciec był zajęty. A sądziłam, że nikt ich nie przebiję.

Kiedy zaczyna zanosić się kaszlem, powstrzymuję się przed porządnym walnięciem go w plecy. Nie jesteśmy już na statku i, w zasadzie, nie ma już nade mną władzy. Pocieszam się więc faktem, że jeśli spróbuje mi rozkazywać, przestanę się hamować i mu przyłożę.

Jednak z biegiem czasu nie wygląda lepiej, a gorzej. Przestaje zrzędzić, ale to zły znak. Bo ja też to odczuwam. Słabniemy. Brak wody daleko nas nie zaprowadzi.

– Jak długo byłem nieprzytomny? – pyta.

– Nie jestem pewna. – stwierdzam, przesypując piasek między palcami. Siedzimy tak już od dłuższego czasu, na plaży, naprzeciw siebie i wciąż nie wiem, co robić. – Ocknął się pan chwilę po mnie. Gdy wyrzuciło nas za burtę była noc. Teraz jest chyba południe, więc... kilka godzin?

– Jest po południu. – stwierdza Crepusculum, spoglądając na niebo. – A my potrzebujemy wody i pożywienia. Byłaś już w tym lesie?

Kręcę przecząco głową.

– Trzeba się tam rozejrzeć. Pójdę, a ty przeszukaj plażę. Może morze wyrzuciło coś na brzeg. Choć wątpię, jak dla mnie to same szczątki statku.

Wstaje i rusza w stronę odległej linii drzew. Przez chwilę patrzy na swój płaszcz, który leży na piasku. Pozbył się go niemal od razu, gdy wstał, właściwie mnie to nie zdziwiło, cały przesiąknięty był wodą, podobnie jak i moja kurtka. I buty. Teraz zakłada je pospiesznie i po chwili zastanowienia narzuca też płaszcz. Ja zostaję i przeczesuję powoli plażę.

Kapitan miał rację, nie ma tu praktycznie nic, prócz drewnianych odłamków. Znajduję i beczkę, jest jednak roztrzaskana i, cokolwiek w niej było, już dawno wylądowało w morzu. Dużo dalej widzę skrzynię, choć nieco poharataną. Potrzebne nam jedzenie, ale, zakładając, że Crepusculum znajdzie coś w lesie, do przetrwania potrzeba nam będzie znacznie więcej.

Skrzynia otwiera się dość łatwo. Widzę w środku poskładany stos ubrań. Teraz są przemoczone, ale gdy wyschną będziemy mogli zrobić z nich jakiś użytek.

Dłuższą chwilę później dostrzegam sylwetkę wynurzającą się spośród drzew.

– Niedaleko płynie strumień. – oznajmia Crepusculum. – Woda jest zdatna do picia. W pobliżu rośnie też sporo owoców. Da się przeżyć. Coś przydatnego? – pyta, wskazując na skrzynię.

– Zdaje się, że czyjeś ubrania.

Kapitan pochyla się nad skrzynią.

– Zdaje się, że moje. – stwierdza.

Mam ochotę krzyczeć. Oczywiście, że wspaniały kapitan Crepusculum musiał odzyskać w cudowny sposób swoje rzeczy, nawet będąc przytarganym przez fale na bezludną wyspę.

Prowadzi mnie do strumienia, żebym również mogła się napić. W międzyczasie zbiera owoce. Większości z nich nawet nie rozpoznaję, nie mam

pojęcia, gdzie się znajdujemy, ale najwyraźniej nie sprowadzają stąd niczego do Majaru. Kolejny dowód na to, że utknęliśmy tu na nie wiadomo jak długo.

Ruszamy z powrotem na plażę, idąc wzdłuż strumienia, z nadzieją, że znajdziemy jakiś skrót, umożliwiający nam szybszy dostęp do wody pitnej i rzeczywiście takowy znajdujemy.

Na plaży zdejmujemy buty i ponownie siadamy na piasku, pochłaniając zdobyte pożywienie w chorych ilościach.

Nie odzywamy się do siebie - ja, bo wściekam się na kapitana, choć próbował mnie ocalić. Wciąż nie zapomniałam czyja to wina, że w ogóle znalazłam się na „Aquariusie”. On nie odzywa się, bo najwyraźniej nie widzi powodu, by trwonić słowa na byle uzdrowicielkę.

Patrzę w morze świadoma, że jesteśmy tu uwięzieni. Otoczeni wodą, bez statku, bez szansy na ucieczkę.

I, do cholery, jesteśmy tu uwięzieni r a z e m. Zastanawiam się, czy mogłoby być gorzej.

– Jesteś pewna, że tylko my przeżyliśmy, uzdrowicielko? – odzywa się niespodziewanie Crepusculum.

– Nie wiem. – przyznaję. – Na pewno tylko nas woda wyrzuciła po tej stronie wyspy. Fale nie przyniosły ani innych ocalałych, ani trupów.

– Mogły utknąć między skałami. – stwierdza kapitan. – Ich szalupa mogła się nadziać na Czerwone Skały, najpewniej zabijając przy okazji wszystkich pasażerów.

Przekrzywiam głowę. Nieco mnie przeraża prostota z jaką mówi o śmierci przez nadzianie na skały.

– Ale my żyjemy. Nie mam nawet pojęcia jakim cudem. – stwierdzam.

– Zabobonni żeglarze powiedzieliby, że to opatrność Aquariusza, ale to nic więcej, jak prądy morskie.

– Zaiste. – mruczę pod nosem, świadoma, że ludzie z południa dawno już przestali wierzyć w Wielką Dwunastkę. Przynajmniej pod tym względem się zgadzamy.

Do wieczora przeczesujemy plażę, ale nie znajdujemy nic więcej. Kładziemy się spać na piasku nie omówiwszy niczego więcej. Jesteśmy wykończeni samą świadomością tego, że nie mamy możliwości ucieczki.

Odwracam się na bok, byle dalej od potwornego kapitana i powstrzymuję krzyk, gdy coś wbija mi się w bok. Siadam nagle, choć uprzednio dokładnie sprawdziłam czy nie mam pod sobą żadnych drewnianych szczątków. Ale to nie drewno mnie tak kuje. Przez materiał kurtki w którą się owinęłam przebija kawałek szkła. Sięgam do kieszeni i niemal ranię rękę na odłamkach flakonika.

Gdy wyciągam je i wyrzucam, moje ręce przechodzą zapachem fiołków. Podobnie pachnie moja kurtka, aż dziwię się, że wcześniej tego nie poczułam. Jedyne, co pozostaje w całości, to nakrętka.

Prezent od Henricka.

Moje myśli wędrują ku kucharzowi i jego młodemu pomocnikowi. Gdyby przeżyli, przecież wyrzuciliby ich na brzeg tu, gdzie i nas, prawda? Oczami wyobraźni widzę scenę tak barwnie opisaną przez kapitana Crepusculum: łódka zdana na łaskę fal wpada wprost na zabójcze skały. Martwi marynarze, a pośród nich Joy i Henrick. Miałam już nie płakać i nie płaczę, ale opanowuje mnie strach i przekłete poczucie niemocy. I żal, on przewyższa wszystko.

Ale... kto powiedział, że byli w szalupie? Równie dobrze mogli znajdować się pośród tych nieszczęśników, którzy pozostali na pokładzie. Może zmyła ich fala, jak mnie, ale ich nie wypatrzyłam.

Zamiast małego chłopca ocaliłam potwora.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2
na jakiejś wyspie*

Wodo,

Mogę mieć do ciebie pretensje? Ocaliłaś mi życie.

Ale czemu ta wyspa, czemu akurat tutaj?

Nie będę narzekać. Nie chcę umierać. Wysłuchałaś mnie jednak. Jednak nie pragniesz mojej krwi.

Tak trudno jest mi przestać widzieć w tobie bestię. Po tym wszystkim, co widziałam, po tylu dniach obwiniania cię za moje nieszczęście.

Choć jest mi nieco łatwiej, teraz, gdy widzę prawdziwego potwora, siedzącego tuż obok mnie.

Reyna

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

DALA

– Powinienem być pójść na dno razem z okrętem. – mówi kapitan.

Stawiamy na piasku coś w rodzaju szalasu, posługując się większymi fragmentami drewna wyrzuconymi na brzeg i tym, co tylko uda nam się znaleźć w lesie. Kapitan wydaje się doskonale wiedzieć, co robi, ale ja nie mam bladego pojęcia. Słucham więc tylko jego narzekań i pomagam, jeśli mogę.

– Mogę podać panu ze trzy dobre powody, dla których nie mógł pan. – mówię, przytrzymując kawałek liny. Po co kapitan trzymał spory zwój liny w skrzyni z ubraniami, nie mam pojęcia.

– Słucham. – prycha ironicznie.

Tak wygląda każdy nasz dialog. Prycha, parska, jakbym była niczym, jakby rozmawianie ze mną było poniżej jego godności. Zdaje się, że na tej wyspie jestem jego prywatną służącą.

Od straceńca do służącej. Moje doświadczenie życiowe powoli pnie się ku górze.

– Po pierwsze, wyrzuciło pana do morza. – mówię. – Bez sensu byłoby wspinać się z powrotem na pokład, żeby iść na dno ze statkiem.

Crepusculum przerywa na moment pracę i unosi brew.

– Drugi? – pyta bez większego entuzjazmu.

– Był pan nieprzytomny, a woda wyrzuciła pana tutaj. Tej opcji może się pan trzymać, jeśli tak bardzo chce pan uspokoić sumienie.

– A trzeci?

– Wolalabym, żeby zadowolili się pan jednak tym drugim.

– Mów. – warczy.

– Może pan też zwalić wszystko na mnie. To moja wina, bo w końcu to ja pana uratowałam. – stwierdzam z rezygnacją.

– Tak. – mówi po chwili nieco bardziej uradowany. Mam nadzieję, że jego entuzjazm wynika z faktu, iż właśnie ukończyliśmy prowizoryczny daszek i szalas jest w zasadzie skończony. – Tej opcji będziemy się trzymać. Zdecydowanie uspokaja moje sumienie.

– Jasne. – parskam. – Nie ma za co. – przez moment milczę oburzona, potem jednak dodaję. – Na pana miejscu bardziej cieszyłabym się, że żyję, aniżeli przejmowała krzywymi spojrzeniami innych kapitanów. Właściwie, to myślałam, że to ma jakieś znaczenie tylko gdy kapitan posiada własny statek, a nie przydzielony z rozkazu króla.

– Dla nich teraz to bez znaczenia, choć nie ukrywam, że nie odczuwam zbyt dużego żalu po stracie „Aquarius”. – stwierdza.

Crepusculum idzie napełnić prowizoryczne pojemniki na wodę, a gdy wraca, ma na sobie zdecydowanie świeżą koszulę, choć równie czarną, co poprzednia.

Moje ubranie jest poszarpane i brudne, jednak nie mam tego przywileju, ażeby morze łaskawie wyrzuciło na brzeg i mój kufer z ubraniami. Kapitan widzi moją zdegustowaną minę i przewraca oczami. Gestem nakazuje mi iść za sobą.

Pochylamy się nad kufrem, który wtaszczyliśmy do szalasu razem z paroma innymi rzeczami. Kapitan wyjmuje z niego kilka białych koszul, zostawiając jednak wszystkie ciemne. Wciska mi je do rąk, potem ofiarowuje jeszcze parę spodni, które zdecydowanie będą na mnie za duże i pasek.

Dziękuję, bo właściwie jestem mu w pewnym stopniu wdzięczna. Mógł pozwolić mi chodzić w tych poszarpanych szmatach.

Ruszam się przebrać. Koszula jest na mnie o wiele za duża: ręce gubią się w rękawach i czuję się w niej jak w worku. Podwijam rękawy i jest nieco lepiej. Zapinam pasek na talii, ale po chwili tego żałuję, bo spodnie są za duże i nie mam ich jak utrzymać na biodrach. Znajduję jednak kawałek sznurka. Podwijam nogawki niemal do połowy łydek i w efekcie nawet da się w tym chodzić.

Swoje podarte ubrania ciskam do szalasu. Może przydadzą się jeszcze, ale na pewno nie jako odzież. Jedyne kurtka jest jeszcze do czegoś zdatna.

Crepusculum czeka na mnie na plaży.

– Wie pan... – zaczynam, bo pytanie to nurtuje mnie od dłuższego czasu. – domyśla się pan, gdzie moglibyśmy być?

– „Moglibyśmy” być daleko stąd. – prycha. – Jak widać Pan Mórz miał co do nas inne plany.

– Nie. – mówię, chcąc się odciąć. – To raczej prądy morskie.

Kapitan patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi, jednak nie ripostuje.

Bierze do ręki jeden z kawałków drewna, których wiele wciąż leży na plaży. Ten jest dość długi i ostro zakończony. Crepusculum rozrysowuje na piasku mapę.

Pochyłam się nad rysunkiem. Nie jest to całe Bestialskie Morze, a bardziej okolice Wyspy Odrobiny Nadziei. Po jej południowej stronie zaznacza niewyraźny kształt lewiatana. Mocniejszym punktem pierwszy port.

– Na zachód od wyspy znajdują się Czerwone Skały. – mówi, rysując na piasku kształty. – Tu rozbił się nasz statek. – wskazuje niewielki przesmyk pomiędzy nimi - Złudę Żeglarza. – Po tej stronie jest charybda. – wskazuje na północ. – A dalej Krateria, zatem na pewno nie zniosło nas w tą stronę. Za to tutaj – stuka patykiem w miejsce kawałek za Czerwonymi Skałami. – leży Dala.

Kapitan rysuje spory kształt, który pamiętam z map. Wyspa Dala. Ale nie leży tu sama. Otacza ją jeszcze cztery inne.

– Skąd pewność, że jesteśmy na Dali? – pytam.

– Nie mamy pewności, ale to chyba najbardziej prawdopodobne. – stwierdza.

– A... – przejmuję od niego kijek i dorysowuję kształty po obu stronach wyspy. – ...nie moglibyśmy wylądować tu, albo tu? Albo nawet – kreślę dwa małe punkty tuż obok. – tu?

– Te większe to Braciszek i Siostrzyczka. – mówi kapitan. – Mogliśmy właściwie wylądować na Braciszku. Na pewno nie na Siostrzyczce, bo widzielibyśmy na horyzoncie zarys Dali. Te małe nie mają nawet nazw. Gdybyśmy się na nich znaleźli widzielibyśmy końce wysepek po każdej stronie.

– Więc Dala, albo Braciszek?

– Módlmy się, żeby była to Dala.

Crepusculum ma rację. Raz na jakiś czas statek z Majaru kursuje do Kraterii mijając Dalę. Płynie okrężną drogą, choć startuje w tym samym miejscu. Nie musi jednak przejmować się koniecznością wymiany towarów z Wyspą Odrobiny Nadzieji. Natrafia na jedynie trzy spośród potworów, bo tuż przed wielorybem zmienia trasę, by ominąć Czerwone Skały od drugiej strony, tym samym przepływając obok Dali. Potem rusza dalej, na północny wschód, do portu w Kraterii. Jest to statek przewożący pasażerów, udających się do księstwa, podróż jest jednak mało opłacalna, więc gdy pasażerów jest zbyt mało, nawet się nie odbywa. Ale teraz jest naszą jedyną szansą na ratunek.

– Czy... gdybyśmy byli na Braciszku... statek do Kraterii miałby szansę nas zauważyć? – pytam.

Nie doczekuję się jednak odpowiedzi. Widzę ją w jego oczach.

Dala to nasza jedyna nadzieja.

– Statek miał wyruszyć miesiąc po „Aquariusie”. – mówi Crepusculum.

– A zatem powinien niebawem wypłynąć.

– Za tydzień. – precyzuje. – O ile w ogóle wyruszy. – mówi, dzieląc moje wątpliwości.

– Ile czasu... – pytam, ale głos mi się łamie. Nie załamie się, nie mogę. Przeżyłam, tak? Człowiek nigdy nie znajduje się ani na dnie, ani na szczycie. Zawsze może być lepiej i zawsze może być gorzej.

– Jego trasa trwa nieco ponad miesiąc. Kluczy chwilę przy skałach, ale za to od Dali ma prostą drogę do Kraterii. – mówi wymijająco. – A to oznacza, że...

– Że dotrze tu za jakiś miesiąc. – podnoszę wzrok. Nie ma już co ukrywać, w jak bardzo beznadziejnej jesteśmy sytuacji.

– Tak. Za jakiś miesiąc.

– O ile w ogóle wyruszył?

Crepusculum głęboko wzdycha. Nawet ktoś taki jak on nie wyobraża sobie spędzenia tak ogromnej ilości czasu na wyspie. Z dziewczyną której nienawidzi.

– Rejs powinien się odbyć, ale jeśli jest zbyt mało pasażerów, przenoszą ich na kolejny. W efekcie statek może przyplłynąć nawet za rok.

– Więc albo miesiąc, albo rok i miesiąc?

– Tak.

Nie wiem, jak opisać to, co właśnie czuję. Jestem... zdruzgotana? Tak, chyba tak.

Kapitan też, choć tego po sobie nie pokazuje. Jeśli spojrzeć mu w oczy, widać to bezkresne poczucie bezradności. Potwory też czasem miewają uczucia.

Dlaczego właściwie to zrobiłam, dlaczego skazałam samą siebie na życie tutaj razem z nim? Czemu nie mógłby to być Joy. Biedny chłopak... Chociaż, czy przeżylibyśmy tutaj razem? Nie miałam bladego pojęcia o przetrwaniu na wyspie, on pewnie też nie. Za to kapitan Crepusculum... czegoś w końcu uczył się w tej Akademii Morskiej. Był dobry, aż za dobry. Awansował na kapitana szybciej niż ktokolwiek przed nim. Jeśli miałam jakieś szanse przeżyć na tej wyspie rok, to chyba z nim były największe. O ile wcześniej się nie pozabijamy.

– Nie chce mi się żyć. – stwierdzam, łapiąc się za głowę.

– To nie żyj. – mówi, otrząsając się nagle i wstając. – Nic trudnego.

– Jest tylko jeden problem. – mówię zmęczonym głosem.

Crepusculum przewraca oczami.

– Jaki?

– Umierać chce mi się jeszcze mniej.

– To dobrze, sporo pracy przed nami. Jutro musimy obejść wyspę. Jeśli to Braciszek, do wieczora spotkamy się w jakimś punkcie. Jeśli zaś Dala, to przynajmniej obejrzymy najbliższe okolice. Może gdzieś są lepsze warunki niż tu, może jest bliżej do strumienia, może większa różnorodność owoców.

– Skoro tak, to po co marnowaliśmy cały dzień na sklecenie tego szałas? – pytam, marszcząc brwi. – Nie lepiej byłoby dzisiaj obejść wyspę, a jutro stawiać szałas, o ile znajdziemy lepsze miejsce?

– Nie.

– Jasne.

– Najwyżej postawimy drugi. Spiesz ci się gdzieś?

– Nie specjalnie. – przyznaję.

– Jutro z rana wyruszamy. Weźmiemy wodę i jedzenie. Ty pójdziesz na wschód, ja na zachód, jeśli do południa się nie spotkamy, zawracamy.

– Właściwie... wolałabym iść z panem, jeśli to możliwe. – stwierdzam.

– Czemu?

– Nie wiem nawet czego szukać. Dla mnie ta plaża to miejsce równie dobre, jak każde inne.

Kapitan patrzy na mnie dziwnym wzrokiem.

– Nawet na moim roku w akademii nie było takich ignorantów. – stwierdza. –

Jak niby udało ci się ją ukończyć?

– Nie byłam w akademii. – mówię powoli.

Crepusculum jest szczerze zaskoczony.

– Chyba kpisz. – odzywa się w końcu.

Jestem wściekła. Kazał mnie porwać. Zmusił bym płynęła na tym przeklętym statku, a teraz ma jeszcze pretensje, że nie byłam w Akademii Morskiej? Nie odzywam się, bo boję się, że gdy to zrobię, wykrzyczę zbyt wiele, przegnę w jakiś sposób. Choć, czy on nie zasługuje, żeby na niego porządnie nawrzeszczyć? Właściwie zasługuje na coś znacznie gorszego.

– W porządku. – stwierdza po chwili. – Pójdziemy razem, choć zajmie to znacznie więcej czasu.

– A spiesz ci się gdzieś panu?

Kapitan nie odpowiada, tylko rusza w stronę szalasu.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 3
najprawdopodobniej na Dali*

Wodo,

Ja chyba tu nie wytrzymam.

Nie z tym... nie z kapitanem Crepusculum.

*Chyba coś mu dosypię do śniadania... a, nie, racja, nie wiem nawet co z tego,
co tu rośnie jest trujące.*

*Może byłabym w stanie jednak jakoś ci przebaczyć. Jeśli tylko wynagrodzisz mi
wszystkie trudy. Zabranie kapitana byłoby w porządku.*

Reyna

ROZDZIAŁ JEDENASTY

WINNY

Nie odzywamy się do siebie od rana. Nie żeby mi to przeszkadzało, wiem jednak, że gdy nie odzywałam się przez wiele dni na „Aquariusie”, potem miałam trudności z wypowiedzeniem choćby słowa.

O czym jednak mogę mówić ze swoim wrogiem?

Idziemy blisko drzew już od jakiejś godziny. Kapitan targa swój płaszcz przewieszony przez ramię, ja natomiast kurtkę i zapasy. Jego prywatna służąca.

W pewnym momencie Crepusculum gwałtownie się zatrzymuje.

– Potrzyмай. – wciska mi w rękę płaszcz i wchodzi do lasu. Po chwili wraca, wyciągając rękę po własność.

– Coś jeszcze? – pytam zirytowana oddając mu okrycie.

– Słuchaj – mówi. – nie mam pojęcia, jak porąbane miałaś życie przed „Aquariusem”, ale siedzimy tu teraz razem. I jeśli mamy tu przetrwać, musimy współpracować i jakoś wzajemnie się tolerować, więc przestań w końcu, z łaski swojej, traktować mnie jakbym zrujnował ci życie.

– Przecież dokładnie to pan zrobił, kapitanie. – parskam.

Mam już go dość, serdecznie dość, więc jeśli to jest ten moment, kiedy rzucam mu prosto w twarz wszystko, co o nim myślę, zrobię to z przyjemnością.

– Co takiego, do diabłów, ci zrobiłem?! – wrzeszczy. – Co mogło sprawić, że aż tak bardzo mnie nienawidzisz? Możesz mi w końcu powiedzieć?!

– Mogę, bo w końcu nie chowa się pan za swoim oficerem! – teraz i ja wrzeszczę. – Jak to jest, że kapitan, o którym krążą legendy, daje sobą pomiatać komuś takiemu jak oficer Beckwith?

Chce go zranić, bardzo. Podburzyć jego reputację, zniszczyć wszystko. Udowodnić, że nie jest bestią, której wszyscy się boją, tylko zwykłym facetem, który doszedł tak daleko przez jakiś nedorzeczny przypadek. Niech w końcu uwierzy, że jest nikim.

– Beckwith to sługa. Ma wrażenie, że ma władzę i się nią upaja. Nie podważał moich rozkazów, więc go tolerowałem. Ale na tych wodach nikt nie ufa nikomu na pokładzie tak naprawdę. – cedzi Crepusculum przez zęby.

– Porwanie niewinnej dziewczyny to rzeczywiście niezły powód do upajania się wyimaginowaną władzą.

– Nie wiem jak, do diabłów, wyglądało jego życie przed tym rejsem, ani kogo porwał. Jeśli miałaś nieprzyjemność się z nim spotkać, to nie zwalaj tego na mnie, nie mam z nim nic wspólnego.

Parskam cynicznym śmiechem.

– Ależ ja nie mówię o niczym przed „Aqariusem”. Mówię o waszym wspaniałym sposobie nabycia medyka. Zupełnie za darmo.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – teraz już nie wrzeszczy. Teraz wygląda, jakby rozmawiał z wariatką.

A ja czuję się wariatką, jak nigdy wcześniej. Przecież właśnie wrzeszczę na kapitana.

– O tym, że porwaliście mnie z domu i zmusiliście do podróży tym przeklętym statkiem. – warczę.

Przez twarz kapitana przebiega chyba setka różnych emocji. Otwiera usta, zamyka je, mruga oczami, otwiera je niewiarygodnie szeroko... ale ciągle patrzy na mnie. Teraz niemal i ja wierzę, że oszalałam.

– Mówiłaś, że nie byłaś w Akademii Morskiej. – mówi, jakby do siebie. – Próbujesz mi powiedzieć, że Jefferson cię porwał?

Nie odpowiadam, tylko patrzę na niego lodowatym wzrokiem.

– Zrobił to?! To dlatego nie było cię na błogosławieństwie, przed wypłynięciem... odpowiedz.

– Może pan sobie darować. – mówię podirytowana. – Niech pan nawet nie próbuje udawać, że nie miał pan pojęcia.

– Bo nie miałem...

– Akurat.

– Powiedział ci, że to ja mu rozkazałem?

– A któż by inny? Wtargnął do mojego domu i obwieścił, że z pana rozkazu zostałam mianowana okrętowym medykiem.

Crepusculum kręci głową. Zaciska zęby. W jego oczach czai się furia, a ja mam ogromną nadzieję, że nie będzie ona skierowana w moją stronę.

– Wszyscy myśleli, że jesteś przeklęta. Że sprowadzisz zgubę na „Aquarius”, bo nie przyjęłaś błogosławieństwa. – kapitan śmieje się bez cienia wesołości. – A ty nie zrobiłaś tego, bo nawet nie było cię na pokładzie.

– Właściwie to byłam pod pokładem. – mówię nieco niepewnie. – Związana i zakneblowana do chwili, aż Majar zniknął za horyzontem.

– A ja przez cały ten czas sądziłem, że jesteś desperatką, goniącą za pieniędzmi w najgorszy możliwy sposób, odtrącającą wszelką pomoc, nawet przesadną łaskę od bogów.

– Przecież to bezsens. – mówię. Wiem, że i on nie wierzy w bogów.

– Tak, ale nie ma bardziej zabobonnych ludzi, niż marynarze. Oni wierzyli, że przez ciebie zginą. Potem, gdy wyleczyłaś sternika, zaczęli mówić o tobie „córka wiedzy”. Prosili, żebym wyrzucił cię za burtę.

– Raz niemal pan to zrobił.

– Topicielka w życiu by mi nie pozwoliła. Ale... zaraz, kiedy niby byłem bliski wyrzucenia cię za burtę? – marszczy brwi. Gniew na chwilę ustępuje miejsca zamyśleniu, jakby analizował w głowie cały rejs, szukając tego konkretnego momentu.

– Kraken? – próbuję mu przypomnieć. Nawet jeśli to nie on zlecił moje porwanie, to przecież nie jedyny powód za który go nienawidzę.

– Myślałaś, że chcę cię rzucić na pożarcie krakenowi? – Crepusculum odwraca gwałtownie głowę.

– A co pan niby zamierzał zrobić? – pytam z powątpiewaniem. Wydarzenia tamtego dnia stawały mi przed oczami aż nazbyt często.

– Widziałem, że Jefferson się na ciebie wziął. Sądziłem, że jeśli ktoś miałby cię wyrzucić za burtę i usprawiedliwić to jako nieszczęśliwy wypadek, to właśnie on. Właściwie, to wyglądał, jakby planował cię zamordować, gdybym choćby na chwilę spuścił go z oczu. Chciałem cię tylko chronić. Byłaś częścią załogi, odpowiadałem za ciebie.

– Bardzo mnie pan chronił, szarpiąc za ubranie. – parskam.

– Wtedy sądziłem, że podróżujesz na gapę. – tłumaczy. – I, gdyby tak było, owszem, wyrzuciłbym cię za burtę. Szczęście, że przypomniałem sobie o medycze, która uniknęła błogosławieństwa, a zatem nie miałem pojęcia, jak wygląda.

– Skoro wiedział pan, że jestem medyczką, to dlaczego kazał pan mi szorować pokład? – pytam jeszcze, choć wściekłość powoli ze mnie wyparowuje. – Jeśli chciał pan się trochę powywyższać nad załogą, trzeba było popomiatać Beckwithem!

Crepusculum przeciera dłonią twarz. Wyraźnie nie sądził, że będzie musiał mi się dokładnie z wszystkiego tłumaczyć.

– Byłaś roztrzęsiona. – mówi. – Chciałem, żebyś się czymś zajęła.

Cóż, faktycznie, czyszcząc pokład przez chwilę nie myślałam o potworze, którego dopiero minęliśmy, bo cały ten czas moje myśli wędrowały do kapitana, któremu zawzięcie złorzeczyłam.

Zaczynam mu wierzyć, choć brzmi to absurdalnie. W to, że nie wiedział, że Beckwith działał na własną rękę.

Ale chcę wiedzieć, czy na pewno, dlatego go o to pytam. Crepusculum tylko kręci głową.

– Załogę montowaliśmy w pośpiechu. – tłumaczy. – Brakowało nam kilkoro członków, ale w dzień przed wyruszeniem zabrakło już tylko medyka. Jefferson oznajmił, że ma idealnego kandydata, więc dałem mu wolną rękę. Nie miałem pojęcia, że zrobi coś takiego. – w jego spojrzeniu znów błyska wściekłość. Tym

razem jednak wiem już, że skierowana jest na Beckwitha. – Pochłonęły mnie przygotowania do rejsu. Nie zauważyłem niczego podejrzanego.

Może i nie tylko na Beckwitha jest wściekły.

Może wścieka się też na siebie.

– Zrobiłby pewnie i rzeczy znacznie gorsze. – mówię.

– Niech Libra go osądzi, jeśli jakoś przeżył.

Chyba musiał go poważnie zboleć ten atak na własny autorytet, skoro zwrócił się z tym aż do bogini gwiazd i sądów.

– Czy ktoś jeszcze, oprócz ciebie, był w... hmm... podobnej sytuacji? – pyta. Gdy tak spogląda na mnie spod lekko zmarszczonych brwi, jest mi go niemal żal. Usilnie próbuję przywołać wcześniejszą nienawiść, ale pozostał mi tylko jej blednący cień.

Już nie wrzeszczy, ja też nie. Staramy się prowadzić cywilizowany dialog, ale oczy kapitana wciąż ciskają gromy. Może i powodem jego wściekłości jest pierwszy oficer, ale to ja znajduję się obok, zatem to ja mogę oberwać.

– Nie sądzę. – stwierdzam. – Połowa załogi była mu zbyt posłuszna. Może i bardziej niż panu. Bynajmniej nie ze strachu. Pewnie najął ich i podpłacał. Kilka razy zdawało mi się nawet, że rozpoczną bunt, ale cóż, sztorm złapał nas wcześniej.

Crepusculum siada na piasku z twarzą zwrócony w kierunku morza. Przez chwilę myśli, coś kalkuluje, kojarzy fakty.

– Czyli, podsumowując: mój zastępca przez cały ten czas knuł za moimi plecami, skorumpował połowę załogi, ocalił swoich sojuszników, zostawiając mnie na pewną śmierć, a, żeby tego było mało, wykupił niewolników na czarnym rynku, nie opłacił podróży połowy marynarzy, a uzdrowicielkę porwał z jej własnego domu, również nie zapewniając należytego wynagrodzenia? – kapitan patrzy w morze pustym wzrokiem. – Czy możesz powiedzieć mi coś jeszcze, ażeby rozjuszyc mnie bardziej?

– Cóż – stwierdzam. – właściwie, to nie jestem nawet uzdrowicielką. Mój ojciec jest lekarzem, matka zielarką, ale ja nigdy nie chciałam iść w ich ślady. Coś

tam kojarzę, jeśli chodzi o medycynę, ale to głównie z obserwacji. Nie wiem nawet, czy dobrze zajęłam się wtedy nogą sternika.

Kapitan spogląda na mnie, potem znowu na morze, a potem ukrywa twarz w dłoniach i siedzi tak dłuższą chwilę.

Nie mam pojęcia, co robić. Po tym czasie zastanawiam się czy czasem nie zapał. Bezruch w jakim siedzi jest przerażający.

Niepewnie podchodzę i kładę mu rękę na ramieniu.

– Masz całkowite prawo mnie nienawidzić. – odzywa się.

Więc nie śpi. Myśli.

Gdy podnosi twarz, widnieją na niej czerwone ślady odgniecionych dłoni. Nie wygląda już, jakby miał zabić każdego, kto stanie mu na drodze. Ten bezruch zapewne miał pomóc mu ochłonać.

– Powiedział ci, że to z mojego rozkazu...

– Przecież widzę, że nie miał pan o niczym pojęcia. – mówię. Nie sądziłam, że przyjdzie mi kiedyś wypowiedzieć te słowa. – Nie jest pan temu winny.

– Mogłabyś zatem przestać patrzeć na mnie, jakbym był jednym z tych potworów, z którymi przyszło nam się zmierzyć w trakcie tej podróży? – pyta i przez krótki moment na jego opanowanej już teraz twarzy na powrót błyska irytacja.

– Wie pan... wyrzucanie przez burtę bezbronnych ludzi na pożarcie bestiom jest dość potworne. – mówię.

– Nie ma innego wyjścia. Przynajmniej jeszcze takiego nie znaleziono. – zauważa. – Oni giną, by wykupić nam drogę. To kryminaliści dostarczeni z więzień. Skazańcy. Albo oni, albo my.

– To chore, że gdy robi się coś złego w słusznym celu, to nagle zaczyna być dobre.

– Nie twierdzę, że jest dobre. Raczej... konieczne.

Ma rację. Ludzie będą ginąć na Bestialskim Morzu, póki będą w nim te potwory. A potwory będą tam być może do końca świata.

– Tak właściwie, to jak ci na imię? – pyta.

Zabawne, że tego nie wie.

– Reyna. – mówię, jakąś niewyobrażalną siłą zmuszając się do bladego uśmiechu.

Miesiąc 1, tydzień 2, dzień 1
na Dali

Wodo,

Zabawne, jak szybko można zmienić sposób postrzegania świata. Jak twój największy wróg, twój najgorszy koszmar, może okazać się kimś, kogo przenigdy byś się nie spodziewała.

Ja pokonałam swój koszmar. Nie był wcale taki potworny, jak się wydawał. Zaczęliśmy się tolerować, teraz nawet i dogadywać. Właściwie, chyba oboje od początku wiedzieliśmy, że musi tak być. Bo jesteśmy tu sami, musimy współpracować.

Ale to nie ważne, nie dla ciebie.

Ty masz swoje demony z którymi musisz walczyć i wcale nie twierdzę, że będą tak niewinne, jak i mój.

Wciąż o tym myślę.

Nie, już cię nie winię, podobnie jak i jego. Kierowałam swój gniew nie w tą stronę, co powinnam.

Na wodę, a nie ma potwory.

Na kapitana, nie na oficera.

Ale to, co nie daje mi spokoju, to twoje własne koszmary. Nie poradzisz sobie w tej walce sama. Gdybyś mogła, czy nie zrobiłabyś tego już dawno?

Myślałam, że to twoja wina. Że nie chcesz naszych statków na swoich wodach. Ale co, jeśli myliłam się tak bardzo, jak w przypadku kapitana?

Może te bestie po prostu przyplłynęły pewnego dnia, zadomowiły się, a ty nie możesz nic na to poradzić...

Reyna

ROZDZIAŁ DWUNASTY

NÓŻ W PLECY

Dalę porasta gęsty las.

Przedzieramy się przez niego, kapitan pierwszy, torując nam drogę i przecinając nożem gałęzie, ja zaraz za nim, czując się zupełnie bezużyteczną.

Przeszliśmy spory kawał drogi na zachód, jednak plaża wszędzie wyglądała tak samo, wróciliśmy zatem do punktu wyjścia. Zamiast tracić czas na obchód wyspy dookoła, postanowiliśmy ruszyć do jej centrum... Crepusculum postanowił. Ja nie mam głosu.

Bezużyteczna.

– Jest pan pewien, że nie natkniemy się przypadkiem na jakieś dzikie zwierzęta? – pytam, odtrącając ręką kolejną gałąź, która omal nie wybiła mi oka.

– Absolutnie.

– Żadnych wielkich pajaków, tarantul... niczego takiego?

– A co? – kapitan odwraca się do mnie z drapieżnym uśmiechem. – Boisz się?

– Może... a jacyś tubylcy? – zmieniam temat. – Lud, który chętnie powita nas z dzidami, upiecze nad ogniem i zje na kolację?

– Nie, raczej nie.

– Skąd ta pewność?

– Dala jest niezamieszkała. A, uprzedzając twoje następne pytanie, wiem to, bo, choć pewnie trudno ci będzie w to uwierzyć, ktoś tu już był przed nami.

– Och, oczywiście, że był. – mówię, łamiąc gałąź, którą Crepusculum wyraźnie zostawił, by trzepnęła mnie po twarzy. – Ale nikt nie zrobił nigdy mapy. No dobrze, a, tak czysto teoretycznie, gdyby zaatakował nas, powiedzmy, wściekły tygrys...

– Tu nie ma tygrysów.

– Ale, teoretycznie. Zabiłby go pan?

– Powiedzmy, że gdyby, teoretycznie, zaatakował mnie tygrys, zabiłbym go.

– Mam rozumieć, że gdyby zaatakował mnie, nie zrobiłby pan tego? – unoszę brew, choć kapitan jest tyłem i tego nie widzi.

– Nie przeczę. Patrz, drzewa się rozrzedzają.

Faktycznie, gęsta dżungla przez którą się przeprawialiśmy powoli staje się coraz łatwiejsza do przebycia. Przed nami znajduje się niewielka bezdrzewna przestrzeń, którą przecina strumień rozchodzący się na południe i zachód.

– To nasz strumień. – stwierdzam.

– Gdybyśmy szli jeszcze przez kilka dni na zachód, w końcu natrafilibyśmy na tą drugą odnogę. – mówi, po czym pochyła się i pije wodę.

– Tam rosną jakieś owoce. – zauważam. – Nie widziałam ich wcześniej.

– Ja też nie. – stwierdza Crepusculum, unosząc głowę. – Nie zamierzam sprawdzać, czy są trujące.

– A istnieje duże prawdopodobieństwo?

– Jakies pięćdziesiąt procent. Dosyć tego zwiedzania na dzisiaj. Napij się, czeka nas droga powrotna.

Woda jest inna niż ta, którą zmuszeni byliśmy pić do tej pory. W naszym strumieniu jest nieco mętna, ta natomiast czysta, choć to ten sam strumień. Wiem jednak, że miejsce w którym się znajdujemy jest dość daleko od plaży, a zatem musimy zadowolić się tamtą.

Moglibyśmy co prawda przenieść się bliżej, ale raczej zrobimy to dopiero, gdy okaże się, że statek nie przyplynał. Kapitan chce mieć do tego czasu stały widok na morze, by przypadkiem go nie przegapić. Nie wiem jednak, czy czysta woda będzie w stanie wynagrodzić mi konieczność spędzenia na tej wyspie kolejnego roku.



– Chcę się czegoś nauczyć. – oznajmiam, gdy siedzimy wieczorem przy ognisku.

Niektóre owoce całkiem nieźle smakują po upieczeniu. Właściwie nie ma tu nic więcej jadalnego, prócz owoców, więc staramy się urozmaicać posiłki, jak tylko możemy.

Crepusculum parska, marnując przy tym nieco czystej wody, przyniesionej z tamtego strumienia.

– To znaczy?

– Bądźmy szczerzy, nie mam bladego pojęcia jak przetrwać i, gdyby jakimś przypadkiem pana tu zabrakło, byłabym martwa.

– Fakt.

– Niech mnie pan czegoś naucz, kapitanie. Nie byłam w akademii...

– Cóż, jeśli umiałabyś wystarczająco dużo, co stoi na przeszkodzie, żebyś pewnej nocy się mnie po prostu pozbyła?

– Po co miałabym pana ratować, żeby potem zamordować? – pytam.

– No właśnie. To mi nie daje spokoju. Zastanawiam się od samego początku. Nienawidziłaś mnie. Po co mnie ratowałaś? Masz skłonności samobójcze?

– Nie... raczej. Po prostu... ja nie wiem, może...

– No wysłów się dziewczyno.

– Chodzi o to, że gdy „Aquarius” tonął, to pan wyciągnął do mnie rękę. Chciał mi pan pomóc.

Kapitan uśmiecha się do siebie pod nosem.

– Nie sądziłem, że ten gest ocali mi życie ledwo chwilę później. – mówi.

Chwilę milczymy. Kapitan nad czymś myśli.

– W porządku, nauczę cię, czego zechcesz. – stwierdza. – I tak mamy czas. Aż za dużo.

– Dziękuję.

– Właściwie coś jeszcze mnie zastanawia. – stwierdza.

– Co takiego?

– Na statku... marynarze otaczali cię czymś w rodzaju szacunku, może nie, to nieodpowiednie słowo. Strachu?

– Bardziej paranoi.

– Mówili o tobie „dziecko wiedźmy”. To zaczęło się po tym, gdy uleczyłaś sternika. – ciągnie.

Biorę głęboki oddech. Nienawidzę tego tematu. Nienawidzę, kiedy tak o mnie mówią, choć na pokładzie miałam dzięki temu zapewniony spokój.

– Jak już mówiłam, moja matka jest zielarką. Zna się na leczniczych właściwościach roślin. Potrafi łączyć je na tyle umiejętnie, że jest w stanie uleczyć większość chorób. Ludzie uważają, że uprawia czary. Przychodzą do niej tylko najbardziej zdesperowani, a i tak wcześniej modlą się o swoje duszę.

– To chore niemal tak jak wyznawanie dwunastu bożków. – stwierdza Crepusculum. – Gdy tu przybyłem nie mogłem uwierzyć, że taka masa ludzi wciąż wyznaje te zabobony.

– Pan jest z południa, prawda? – pytam. – Skąd konkretnie?

– Nori. – mówi. – To pomiędzy...

– Górami Wysokimi, a Morzem Krętym. Wiem. Od północy graniczy z Eziarią.

Crepusculum unosi brwi.

– Znasz na pamięć mapę Bestialskiego Morza. – wymienia. – Twierdzisz, że nikt nie wykonał jeszcze mapy Dali, a teraz wymieniasz mi położenie południowych krain z wyjątkową dokładnością. Można wiedzieć skąd prosta córka medyka i zielarki ma taką wiedzę?

– Ja... hmm... – przez chwilę nie wiem co mam powiedzieć. – Gdy jeszcze mój ojciec pracował w zamku, miałam nieograniczony dostęp do biblioteki. Interesowały mnie mapy, podróże, świat. Ale teraz... po tym wszystkim chyba zostanę w Majarze do końca życia. O ile uda nam się wrócić.

Kapitan kiwa głową.

– Twój ojciec pracował w zamku? – podejmuje po chwili.

– Tak. Był nadwornym medykiem. Ale gdy ożenił się z „wiedźmą”, król natychmiast zdecydował się go pozbyć. Miałam czternaście lat, gdy dowiedział się, kim jest moja matka, a ojciec oficjalnie popadł w niełaskę.

– Cóż, przynajmniej miałaś rodziców. – stwierdza.

– Pan nie?

– Zależy, jak na to spojrzeć. Ojciec pił, a matka nas nie chciała. Szczęśliwe dzieciństwo.

– Was? Ma pan rodzeństwo? – pytam zaintrygowana.

Crepusculum uśmiecha się, widząc moje zainteresowanie.

– Troje. – mówi, choć brzmi to nieco kwaśno. – Brata, siostrę i... nie wiem, czy trzecie dziecko się w ogóle urodziło. Matka była w ciąży, kiedy uciekłem z domu.

– Jak dostał się pan do Majaru?

– Popłynąłem statkiem na gapę. Wysiadłem w Ezjarii, tam ukradłem konia i dotarłem do Majaru.

– Daleka droga.

– Dla zdesperowanego, żadna droga nie jest długa. – stwierdza, wstając. – Jutro zaczniesz się uczyć, jak przetrwać. Miejmy nadzieję, że jesteś pojętna.



Od trzech dni się uczę.

Powinnam to była ująć w cudzysłów.

Od trzech dni pobieram nauki.

Zaczęło się od chodzenia po prowiant. Ustaliliśmy, że będziemy udawać się do lasu na zmianę, raz ja, raz Crepusculum.

No więc... zasada jest taka, jemy to, co przyniesiemy, chyba, że nie nadaje się do jedzenia, zatem kiedy przychodzi moja kolej udać się po posiłek głodujemy, gdy zaś następuje kolej kapitana najadamy się na zapas.

O dziwo, dziś mi się udało.

Poza tym, w skrzyni kapitana znaleźliśmy nóż. Choć może „znaleźliśmy” to nie najlepsze słowo, w końcu on od początku wiedział, że nóż się tam znajduje, a ja po prostu dostałam to do wiadomości.

Od rana ćwiczę rzut nożem.

Nie jest źle, to znaczy, jeszcze się jakoś porządnie nie okaleczyłam. Jeśli natomiast mowa o trafianiu w cel, to sprawa przedstawia się znacznie gorzej.

Cel, jak na złość, nie chce być trafiony.

Z początku rzucam wzdłuż plaży do jakiegoś przedmiotu, jednak nigdy nie trafiam. Koryguję każdy rzut zgodnie ze wskazówkami kapitana, ale wciąż mi się nie udaje. Nóż pada gdzieś w piasek, a ja mam nakaz biegać po niego i z powrotem

Jeśli uda mi się trafić, będę biegać tylko w jedną stronę.

Kiedy w końcu trafiam w deskę, jest grubo po południu, a ja dawno już powinnam była udać się po jedzenie. Ale fakt, że w końcu mi się udało sprawia, iż jestem niesamowicie szczęśliwa. Kapitana jednak to aż tak nie zachwyca.

Idę do lasu po owoce. Gdy wracam, prowizoryczna tarcza strzelnicza stoi niemal na linii drzew.

Kilka spośród owoców nadaje się do jedzenia, co cieszy mnie, bo wysiłek, jaki wkładałam w rzuty od rana sprawił, że padam z głodu.

Ale to nie koniec.

Fakt, że nóż może wpaść między drzewa ma mnie zmotywować, by nie chybić. Ale mimo to chybiam. Udaję się po zgubę, jednak noża nigdzie nie ma.

Kapitan każe mi go szukać, podczas gdy sam stoi z założonymi rękami.

Resztę dnia kluczę tam i z powrotem nie odnajdując broni. W końcu daję za wygraną i wracam do szałas, nie mogę jednak spać.

Wiercę się, ciągle myślę. Klęska nie daje o sobie zapomnieć.

Nie znalazłam noża.

Nie potrafię usnąć, więc wstaję i idę do lasu. Uprzednio upewniam się, że Crepusculum śpi i, że pochodnia, którą zrobiliśmy na wszelki wypadek zawijając na połamanej desce strzępy moich starych ubrań, będzie się palić.

Nie podoba mi się pomysł, aby iść do lasu z płonącym kawałkiem drewna, ale nie mam nic lepszego, co mogłoby mi oświetlić drogę.

Przeczesuję ten sam fragment terenu po raz... nie wiem już nawet który. Zapuszczam się głębiej, badam każdy milimetr, łudzę się, że ostrze noża zabłyszczy odbijając w sobie blask pochodni.

Słońce zaczyna wschodzić. Pokonuję ten sam odcinek kolejny raz i decyduję się na powrót, by chociażby udawać, że zmrużyłam tej nocy oczy. Nie wracam jednak do szałas. Gdy tylko się odwracam, niemal wpadam na kapitana.

– Długo tu jesteś? – pyta, marszcząc brwi.

Wygląda na rozbudzonego. Musiał zatem obserwować mnie już od dłuższej chwili. Nie widzę sensu by kłamać, więc mówię prawdę.

– Całą noc.

– I szukasz noża. Po ciemku?

To głupie, okropnie głupie. Ale nie mogłam spać, nie ze świadomością, że ten głupi nóż jest gdzieś tu, leży w trawie albo sterczy wbity w drzewo, a ja nie mogę go dostrzec.

– Nie mogłam spać. – przyznaję. – Nie mogę przestać myśleć, że mi się nie udało. To mnie dobija. Zresztą, potrzebny nam ten nóż.

– Ile zamierzasz jeszcze tu się kręcić?

– Aż znajdę. – stwierdzam.

Wtedy Crepusculum robi coś niespodziewanego - wyciąga nóż. T e n nóż. Ten, cholerny nóż.

– Skąd... – zaczynam, ale nie mogę wykrztusić z siebie reszty zdania.

– Znalazłem go. – ucina.

– Kiedy?

– Chwilę po tym, jak go zgubiłaś.

Nie odzywam się. Powoli przyswajam sobie tę informację, odbierając od niego nóż.

– Chciałem zobaczyć kiedy się poddasz. Ale ty nie chcesz się poddać.

Nie, nie chcę się poddawać. Chcę krzyżeć. Chcę pobić go do nieprzytomności, bo od czasu gdy dowiedziałam się, że wina za moje porwanie nie leży po jego stronie, jeszcze nie byłam tak na niego wściekła. Do tej pory, choć czasami doprowadzał mnie do szału, zdążyłam, jak z zaskoczeniem zauważyłam, nawet go polubić, ale teraz jedyne na co mam ochotę, to zadźgać go tym nożem.

Jestem wyczerpana i chcę, żeby w końcu zrozumiał, jak potwornie się czuję i sam poczuł się o wiele gorzej.

– To nie w porządku. – mój głos zamiast pełen siły, brzmi żałością. – To nie...

Nawet nie wiem kiedy wyciągam do niego rękę z nożem. Mam już dość. Niech zabierze to przeklęte żelastwo i idzie w cholerę, bo nie chce mi się już na niego patrzeć.

– Nic nie jest w porządku. – mówi. – Taki już jest ten świat. Za dużo na nim potworów, a ja, jak mówiłaś, jestem jednym z nich.

Nie odpowiadam. Nawet na niego nie patrzę.

– Powinienem był ci powiedzieć, ale byłem pewien, że poddasz się prędzej czy później. Nie sądziłem nawet, że nie dasz za wygraną.

– Gdybym dała, czy nie byłabym martwa już na pokładzie „Aquariususa”? – pytam. Ręka z nożem powoli mi opada, jestem zbyt zmęczona, by chociażby utrzymać ją dłużej w powietrzu.

– Nie, weź go. – mówi, a ja nie bardzo rozumiem, co ma na myśli. Marszczę brwi. – Weź nóż. – mówi.

Choć na tej wyspie nie mamy się właściwie przed kim bronić, bo pozbawiona jest ona drapieźników i nie ma tu także ludzi, jest to jednak jedyna broń, w jakiej posiadaniu jesteśmy. A teraz Crepusculum chce, żebym ją wzięła.

Zaciskam palce mocniej na trzonku. Choć przed chwilą czułam się słaba, teraz mam wrażenie, że jestem silna jak nigdy.

I przez chwilę nie wierzę, że to zasługa Jamesa Crepusculum.

– Nie boi się pan już, że pozbędę się pana, gdy tylko straci pan czujność? – pytam.

Niespodziewanie, jednym szybkim ruchem Crepusculum wytrąca mi nóż z ręki, a ten spada na ziemię i znika gdzieś w trawie.

– Myślę, że poradziłbym sobie z tobą, nawet gdybyś rzeczywiście szykowała zamach na moje życie. – stwierdza.

– Pewnie tak. – mówię powoli zwracając się w stronę plaży. Mijając kapitana uśmiecham się pod nosem i klepię go po ramieniu. – Ale tym razem to pan zgubił nóż, więc to pan go szuka.

*Miesiąc 1, tydzień 2, dzień 7
na Dali*

Chcę walczyć.

Z niesprawiedliwością tego świata, ze swoimi demonami.

Z twoimi potworami.

Jeśli możesz, daj mi siłę i wiarę.

*Nie modłę się do bogów, bo ich nie ma. Modłę się do ciebie, bo jesteś
i przemawiasz, choć wciąż nie rozróżniam słów kryjących się w szumie twoich fal.*

Właśnie tym różnisz się od bogów. Ty przynajmniej odpowiadasz.

Reyna

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

BECZKA

Od czasu do czasu fale wyrzucają na brzeg resztki ze statku. Na ogół to kawałki drewna, strzepy pokładu i masztów. Czasem jakieś przedmioty, najczęściej tak zmasakrowane, że nie nadają się już do użytku.

Brak nam cywilizacji, tak przynajmniej sobie wmawiamy. Że brakuje mi Majaru, ludzi i miejskiego życia, a kapitanowi okrętu. Ale prawda jest taka, że nie tęsknie ani do ludzi, ani do miasta. Chcę zobaczyć rodziców, to prawda, ale jeśli nie będzie mi to dane, Dala nie jest najgorszym miejscem w jakie mogłam trafić.

Mieszkamy tu trzy tygodnie i powoli popadam w rutynę. To przez oczekiwanie. Gdyby nie ono, gdybyśmy uwierzyli, że utknęliśmy tu na zawsze, może nawet jakoś dalibyśmy radę tu żyć. Tak zupełnie normalnie.

Nie przepadałam za ludźmi, a oni nie przepadali za mną. Tu nie ma ludzi. Nie ma tych wszystkich potępiających i osądających spojrzeń. Jest tylko kapitan Crepusculum, ale do niego też już przywykłam.

Moje myśli są chaotyczne i poplątane, dlatego tylko, że ze wszystkich sił staram się wyrzucić tę jedną, prawdziwą: że, gdyby statek z Majaru nie przyplłynął, nie rozpaczałabym tak bardzo.

Kapitan nauczył mnie dostatecznie dużo i, choć i tę myśl staram się wyrzucić z głowy, to wiem, że gdyby go zabrakło, pewnie rozpaczałabym znacznie bardziej. Wcale nie chcieliśmy się dogadywać. Chcieliśmy tylko się tolerować, na tyle, byśmy mogli wspólnymi siłami przetrwać. Dwie ofiary tragedii. Ale po tej historii z nożem, choć byłam na niego niesamowicie wściekła, połączyła nas nawet jakaś nić sympatii.

Może mogłabym nazwać go przyjacielem, gdyby nie był wciąż tym okrutnym kapitanem Crepusculum.

Tego dnia przypada moja kolej na rekonesans plaży. Robimy to codziennie, choć bezcelowo. Musimy czymś zabić czas, wciąż zakładając, że za niewiele ponad tydzień pojawi się po nas statek.

Plaża znów jest zaśmiecona szczątkami. Ciekawe, jak długo jeszcze fale będą zabierać resztki wraku i przypominać nam o jego upadku.

Ale dziś przyniosły coś jeszcze. Coś czego nie spodziewaliśmy się zupełnie.

Na piasku leżą dwie beczki.

Podbiegam do nich. Ledwo starczy mi tchu. Ciągłe odbudowuję kondycję, tak bardzo podupadła, gdy na „Aquariusie” siedziałam głównie w swojej kajucie.

Pierwsza beczka okazuje się być dziurawa. Wnętrze do połowy wypełnione jest morską wodą, która z wolna wycieka na piasek. Druga jednak jest w idealnym stanie.

To wydaje się być niemożliwe.

Mamy tu, co prawda strumień, ale woda często ma nieciekawy posmak mułu. Krystalicznie czystą znajdujemy u źródła, jednak jest to kawał drogi stąd. Beczka, nawet jeśli pusta, szczelna okazałaby się błogosławieństwem nieistniejących bogów.

– Kapitanie! – krzyczę.

Crepusculum unosi brew na mój widok, gdy stoję, pochylam się i opieram o kolana, łapiąc oddech po długim biegu. – Morze... morze wyrzuciło na brzeg wodę.

– Co takiego? – pyta nieco sarkastycznie, a ja muszę przyznać, że to, co właśnie powiedziałam, brzmiało jakbym była ułomna umysłowo.

– Beczki. – precyzuję. – Beczki z wodą pitną. Jedna jest co prawda pęknięta, a co za tym idzie pusta, ale druga wydaje się być nienaruszona.

– Beczki z wodą pitną? – kapitan zrywa się na równe nogi i teraz oboje biegniemy na miejsce mojego znaleziska.

– Och. – mówi tylko, gdy doprowadzam go do beczek. – Och...

– Nie przecieka, sprawdziłam. – zapewniam, widząc jego niezdecydowaną minę.

– To beczka z naszego okrętu. – wyjaśnia.

Wiem, niczego innego się nie spodziewam. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak reaguje.

– Woda raczej jest zdatna do picia. – stwierdzam.

Byłam pewna, że kapitan, podobnie jak i ja, ma już dość mdłej wody ze strumienia. On jednak wciąż patrzy na beczkę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Tak, tylko... to nie jest woda. – mówi, nie okazuje jednak przy tym dostatecznego załamania.

– Więc co? – unoszę brwi, nieco zniecierpliwiona.

– Rum.

Teraz i ja patrzę na beczkę niezdecydowanym wzrokiem.

– Cóż – Crepusculum otrząsa się jako pierwszy. – trzeba to zatargać do szałasu.

Pomagam mu, chwytając beczkę z jednej strony i wspólnymi siłami zanosimy ją na miejsce.

Nie chcę pytać ani wiedzieć, kto przemycał alkohol na pokładzie. A może i nie przemycał, może to jeden z towarów, jakie wieźliśmy do Kraterii.

– Mamy przynajmniej środek odkażający. – stwierdzam, siadając na piasku i rozmasowując dłonie.

– Odkazający? – kapitan przechyla głowę, jakby wcześniej w ogóle nie przyszło mu to do głowy. – Myślałem raczej, żeby to wypić.

Otwieram usta, by coś odpowiedzieć, ale on już otwiera beczkę.

Zgodnie z jego zapowiedzią, w środku znajduje się nie woda, a trunek.

Chwilę później kapitan wraca z szałasu z dwoma prowizorycznymi kubkami na wodę. Jeden podaje mi.

– Zdrowie. – mówi.

– Ja nie piję. – ostrzegam, nie przyjmując naczynia.

– Ten jeden raz możesz. – stwierdza. – Daj spokój, jesteśmy tu zupełnie sami. Co może się stać?

Cóż, prawda jest taka, że nie wiem. Miałam już okazję kosztować alkoholu, ale muszę przyznać, że jakoś wybitnie w nim nie posmakowałam. Nie mam też najmniejszego zamiaru się upić, choć bardzo możliwe, że Crepusculum wręcz przeciwnie, co stanowi dodatkowy argument za tym, aby zachować trzeźwość umysłu. Nie czuję się jednak na siłach radzić sobie z pijanym kapitanem, więc jeśli postanowi się utopić, raczej nie dam rady go powstrzymać.

Mimo to, nim zapada zmrok, beczka jest znacznie opróżniona, a on kompletnie pijany.

Ja oczywiście nie. Nakłonił mnie co prawda do spróbowania rumu, ale, gdy tylko się odwrócił, natychmiast wyplułam to paskudztwo.

Crepusculum jednak najwyraźniej wczuł się w rolę wielbiącego rum żeglarza, a co gorsza, zdaje się, że nie ma też trudności ze spiciem się w zatrwajająco szybkim czasie. Wiem to, bo po raz piąty opowiada mi tę samą historię.

– Nasikał mi do kufra. – mówi z autentycznym oburzeniem.

– Co takiego? – pytam, udając szok, choć nie może się on równać z tym, który pobrzmiwał w moim głosie za pierwszym razem, kapitan jednak wyraźnie nie widzi żadnej różnicy.

– Zdaje się, że był pijany. – mówi dalej, zawzięcie przy tym gestykułując. – W zasadzie to dość mocno. Jak próbowałam wejść do kajuty, wydarł się na mnie, żebym wyszedł, bo on będzie sikał.

– Doprawdy – mówię, nie ukrywając już znużenia. – fascynujące.

Może i powinnam udawać zafascynowaną, ale nie mogę. Za pierwszym razem wybuchłam autentycznym śmiechem, ale teraz nie potrafię, nawet nie chcę już udawać. Przecież i tak nie będzie niczego pamiętał.

– I co pan zrobił?

– Spytałem, czy przypadkiem nie zdurniał, że chce mi szczać po kufrach. Oburzył się i pytał, jaka to niby szafa.

– A nie kufer?

– Kufer, a o co chodzi? Zaraz... kufer? Przypomniała mi się jeszcze pewna sytuacja sprzed jakiś dwóch lat. Byłem na statku...

– I jakiś facet nasikał panu do kufra?

– Tak, skąd wiedziałaś? – kapitan unosi brwi.

– Przeczucie.

Zaczęłam się poważnie niepokoić, kiedy Crepusculum przymknął się na dłuższą chwilę. Powoli wstaję, żeby sprawdzić czy śpi, czy może zachłysnął się śliną i straciłam towarzysza niedoli, ale on jest szybszy i, z prędkością niemal niemożliwą człowiekowi tak bardzo pijanemu, wstaje na równe nogi.

– Słyszysz? – pyta.

Nie słyszę nic, prócz odgłosów nocy, brzęczenia owadów i tego, co nauczyłam się ignorować po całym tym czasie spędzonym na wyspie. Szum fal – towarzyszy nam ciągle, jest jak tykanie zegara: po dłuższym czasie zaczyna się go ignorować, choć on wcale nie znika.

– Melodia.

– Jaka melodia? – pytam, zastanawiając się, czy po prostu rum nie szumi mi w głowie.

– No wsłuchaj się. – mówi zniecierpliwiony.

Słucham, ale ciężko mi uwierzyć, że skądś naprawdę może dobiegać muzyka. Prościej to po prostu przypisać do bredni pijanego.

– I co słyszysz? – pyta.

– Noc. – mówię po prostu.

– Opisz.

– Szum fal...

– Tak! – Crepusculum klaska w dłonie. – Nie słyszysz tej melodii?

Kiedy tak to ujmuje, nie potrafię zaprzeczyć. Słyszę ją. Muzykę, kryjącą się w uderzeniu wody o piasek.

Jestem nieco zaskoczona, kiedy niemal wcale się nie zataczając rusza w moją stronę i wyciąga rękę.

– Czy, w takim razie, mogę prosić cię do tańca?

Patrzę na niego spod zmarszczonych brwi, jednak, co w tym dziwniejszego od faktu, że ja, uzdrowicielka z „Aquariususa” i niedoszły martwy kapitan, siedzimy po pijaku na plaży jednej z zachodnich wysp i czekamy na ratunek, który może nadejść, a może i nie.

Choć to głupie, uśmiecham się i wstaję. Trzyma mnie za rękę, ale robię to o własnych siłach, świadoma, że po takiej ilości alkoholu wcale mnie nie podniesie, a sam stoczy się na piasek.

Słyszemy tę muzykę i kołyszemy się jak drzewa na wietrze.

Jestem coraz bardziej pewna, że owiany sławą kapitan Crepusculum jest tylko maską. Czymś, co nakłada na twarz chłopiec, który pragnął sławy i szacunku. A najlepszy sposób na zdobycie szacunku, to sprawienie, by się go bano.

Słońce nie zaszło tak dawno, ale jestem zmordowana i śpiąca jak nigdy wcześniej. Ledwo słaniam się na nogach, podobnie jak kapitan, ale w jego przypadku to raczej wątpliwa zasługa rumu. Właściwie to już nie tańczymy. Wisimy na sobie nawzajem, chwiejąc się jak trawa na wietrze. Jakby mocniejszy podmuch mógł nas porwać gdzieś daleko, może do domu... albo do morza.

Z obawy mocniej ściskam jego rękę, ale kapitan nic sobie z tego nie robi. Zastanawiam się, czy rano będzie cokolwiek pamiętał: ten taniec, to, jak niespodziewanie blisko siebie się znaleźliśmy.

I właśnie ta myśl razi mnie jak piorun. Odsuwam się gwałtownie i odchodzę, zostawiając kapitana Crepusculum samego na plaży. Zaskoczonego.

Ja też jestem zaskoczona. Zaskoczona, jak do tego właściwie doszło.

Proszę w duchu, by rano niczego z tego nie pamiętał. Jednocześnie równie mocno proszę, bym nigdy tego nie zapomniała.

*Miesiąc 1, tydzień 3, dzień 1
na Dali*

Och, wodo.

Czemuś nas nie ostrzegła.

*To tylko kwestia czasu, nim odkryją, że tu jestem, a wtedy nic nie powstrzyma
ich przed rozszarpaniem mnie na kawałki.*

Myślałam, że mnie ocaliłaś.

Ale nie, ja jednak jestem skończona.

Nie tracę jednak nadziei.

Bo straciłam już całą.

Reyna

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

KLIF

Rankiem budzę się wcześniej niż kapitan, co jednocześnie cieszy mnie i wprawia w niepokój.

Będzie miał kaca, na pewno. Równie pewna jestem faktu, że nie będzie miał pojęcia, z jakiego powodu, a potem spojrzy na beczkę rumu i stopniowo zacznie sobie przypominać.

Ja pamiętam.

Po cichu, by go nie zbudzić, ruszam w stronę brzegu. Zdejmuję buty, podwijam nogawki spodni i staję w wodzie.

Jest ciepła. Na Dali zawsze jest ciepło.

Niespodziewanie zaczyna mi się tu podobać bardziej niż powinno.

Ale po chwili słyszę za sobą ruch i przypominam sobie, że jeśli ratunek by nie nadszedł, będę musiała spędzić kolejny rok w towarzystwie kapitana Crepusculum, i nie jestem do końca pewna, czy ta wizja mnie nie przeraża.

Kapitan coś rzezi, ale nie do końca rozumiem, co mówi. Pewnie chce wody.

Powinnam być medyczką. Powinnam kazać mu jeść i nie wymiotować wszystkiego lub wepchnąć w niego śniadanie i patrzeć jak nim rzyga na piasek, ale nie potrafię być dobrą medyczką. Nie potrafię w ogóle być medyczką.

Jestem okropna, ale zamiast mu pomóc tylko stoję i gapię się w horyzont, przypominając sobie ze szczegółami poprzednią noc.

To mnie przytłacza.

Tańczyłam z Jamesem Crepusculum i byłam cholernie szczęśliwa.

Nie wiem już, czy jestem szalona, czy to pobyt na tej wyspie sprawił, że mi odbiło.

– Proszę, powiedz, że upiłem się rumem i poszedłem spać. – słyszę głos za sobą.

– To... w sumie, to dość skrócona wersja zdarzeń. – mówię.

– To jaka jest pełna wersja?

„Opowiedziałeś mi historię z życia jakiegoś pijanego biedaka, który osikał ci kajutę, a potem poprosił do tańca. W zasadzie tyle.”

Milczę.

W patrzeniu w horyzont jest coś uspokajającego. Wciąż jest taki sam, niezmienny. Mogę na nim polegać. Wiem, że jeśli pojawiłby się na nim statek, byłby to zarówno ratunek, jak i nóż wbity w plecy. Bo horyzont się nie zmienia, a jakakolwiek skaza na tym świętym spokoju sprawiłaby, że stracę pokładane w nim zaufanie raz na zawsze.

Słyszę kroki tuż za sobą. Nie wiem jakim cudem Crepusculum przemieszcza się tak szybko, powinien ledwo stawiać kroki. Może jednak nie upił się wczoraj aż tak bardzo.

Co ja gadam. Był pijany w cholerę.

Odwracam się tylko na chwilę. Jest tuż obok, a ja nie potrafię znieść jego towarzystwa. Nim zdąży się odezwać, ruszam przed siebie.

Idę przez fale. Łagodnie oblewają mi nogi, a ja nie wierzę, że teraz i w wodzie pokładam zaufanie. W wodzie, której nienawidziłam i którą gardziłam.

Kapitanem też gardziłam, a teraz nie wiem, co mam myśleć.

Na „Aquariusie” wszystko wydawało się takie proste, czerwono-białe. Mordercy i ich ofiary. A teraz nagle to wszystko wybuchnęło tuż przede mną falą najróżniejszych odcieni, a ja nie wiem, które mam do czego dopasować.

Nienawidzę kapitana Crepusculum i lubię Jamesa. Za nic nie potrafię sobie uzmysłwić, że to jedna i ta sama osoba.

Chcę, żeby moja teoria była prawdziwa, żeby Kapitan był tylko maską, żeby to James był tym, co się pod nią kryje, ale teraz się gubię.

Nie traktuje mnie już jak na pokładzie. Chyba uświadomił sobie, że mylił się co do mnie, tak samo jak i ja myślałam się co do niego. Nie jestem już gorsza i nie wiem, czy to wyrzuty sumienia, którego przecież nie ma, czy i on zaczął mnie lubić.

Mam wrażenie, że zaraz wszystko się wyjaśni, bo słyszę chlupot wody tuż za sobą.

Pogrążyłam się w myślach za bardzo i nie wiem nawet kiedy zaszłam tak daleko w morze. Woda sięga mi już powyżej kolan, więc się zatrzymuję. Horyzont wciąż jest niezmienny, więc wciąż mu ufam.

– Coś się stało? – pyta kapitan. – Wczoraj? Coś zrobiłem?

– Nie. – mówię, bo przecież to prawda. – Nic złego pan nie zrobił, kapitanie. Ja po prostu muszę pozbierać myśli.

– To zdaje się, że nieźle się pogubiły. – stwierdza. – I... Reyno?

Zerkam na niego pytająco.

– Dawno już nie jesteśmy na pokładzie. – zauważa. – Nie musisz mówić do mnie „kapitanie”.

Zaskakuje mnie tą propozycją.

– Jak zatem mam do pana mówić? – pytam.

– James.

Przez dłuższą chwilę stoimy w milczeniu, a ja zaczynam sądzić, że to tylko moje urojenia, że nie ma żadnego Jamesa, jest tylko kapitan Crepusculum, ale wtedy z głośnym pluskiem uderza we mnie woda.

Odwracam się gwałtownie i widzę go. Z roześmianą twarzą, potarganymi włosami i rozpiętą czarną koszulą z podwiniętymi rękawami. Nogawki też ma podwinięte, ale to bez znaczenia, bo oboje stoimy zbyt głęboko w wodzie, by pozostać suchymi.

No proszę, James Crepusculum właśnie oblał mnie wodą.

Chyba wszystkie moje rozmyślania diabli morscy wzięli. I wszystkie wcześniejsze postanowienia, że zabiję go przy najbliższej okazji, gdy okaże się, że

poradzę sobie na Dali sama. James i kapitan Crepusculum wydają się być teraz dwiema odrębnymi osobami.

Zanurzam ręce w wodzie i chlustam w niego wodą.

Chwilę później oboje jesteśmy zupełnie mokrzy i zupełnie szczęśliwi.

Ale nagle James zamiera. Patrzy gdzieś przed siebie zupełnie nieobecny wzrokiem. Sama musiałam wyglądać podobnie jeszcze chwilę wcześniej, ale on nie patrzy na horyzont. Patrzy na coś za mną, a w jego oczach błyska na przemian zdumienie i strach.

Mam głupią, naiwną myśl, że to może statek, że właśnie przepływa, ale to nie wyjaśniałoby tego przerażenia. Zresztą było za wcześnie o dwa tygodnie, czy jakoś tak.

Co mogłoby przerazić słynnego kapitana Crepusculum?

Odwracam się powoli.

Widać stąd klif na wschodzie wyspy. Tej części nie zbadaliśmy, bo podejście było zbyt strome, a nie szukaliśmy obejścia przez las. Samego klifu też wcześniej nie widzieliśmy tak dokładnie, jak teraz, stojąc daleko w morzu.

Ale w tym momencie widok jest doskonały.

A na klifie są ludzie.



Jakiś czas później kucamy za głazem w cieniu drzew.

Mamy doskonały widok na obozowisko, ale oni nie mogą dostrzec nas.

Staram się jak mogę nie drgnąć nawet odrobinę, ale nogi mam już tak zdrętwiałe, że ledwo powstrzymuję się od jakiegokolwiek ruchu. Obserwujemy obóz od jakiś dwudziestu minut, ale oni wszyscy są zbyt daleko, a my boimy się podejść bliżej.

Boimy się tego, kim mogą się okazać.

Przedarliśmy się przez las, choć podejście było bardzo strome. Chcieliśmy jednak znaleźć się tu jak najszybciej i jak najszybciej przekonać się, kim są ludzie na klifie, bo za długo już byliśmy nieświadomi ich obecności. Wątpię, czy mogłabym tej nocy spać spokojnie, wiedząc, że nie jesteśmy na Dali sami.

Odległe cienie poruszają się, ludzkie sylwetki powoli zaczynają się przybliżać.

– Jedli. – szepcze mi nad uchem James, tak cicho, że nie jestem pewna, czy to aby na pewno on, czy może moje zbyt głośne myśli.

Teraz są bliżej, na tyle blisko, że mogę spokojnie stwierdzić, iż jest ich sześcioro, ale wciąż nie widzę szczegółów. Rozpraszają się, grzebią w jakiś skrzyniach.

Potem dwoje podchodzi do szałasu znacznie mniej prowizorycznego od naszego. Ten zrobiono z płótna, które do złudzenia przypomina żagiel.

A mężczyźni, którzy się do niego zbliżają, to bez wątpienia Beckwith oraz rudowłosy sternik.

– To nasi. – mówi James. Ma szeroko otwarte usta, chyba nawet nie jest tego świadom.

Łapię go za rękaw i potrząsam głową. Z początku zdaje się nie rozumieć, ale potem chyba uświadamia sobie straszną prawdę.

– Nie ma tu „naszych”. – mówię. Gdyby tylko tamci dowiedzieli się o naszej obecności, zabiliby nas bezzwłocznie. Fakt, że wciąż żyjemy świadczy o tym, iż nie mają możliwości podejścia do skraju klifu tak, aby zobaczyć nasz szałas oraz, prawdopodobnie stwierdzili, że podejście jest za strome i nie zeszli na naszą część wyspy.

Była załoga „Aquariususa” krząta się po obozie. Widzę jak wyjmują coś ze skrzyń, a potem nagle uświadamiam sobie, że to przecież kufry ze statku i mają ich tam całą masę.

– Zasrańcy mają wszystko, co ocalało ze statku! – wyrywa mi się, za co Crepusculum obdarza mnie spojrzeniem szeroko otwartych oczu, a ja nie mam pewności czy to z powodu mojego słownictwa, czy tego, że zachowałam się zbyt

głośno. Jednak cień podziwu, który w nich dostrzegam każe mi sądzić, że raczej to pierwsze.

Właściwie nie wzburza mnie fakt, że mają jedzenie ze statku. Ono jest obrzydliwe, a nasz chwilowy styl życia jest o wiele lepszy. Ale mają ubrania. Mają kufry z rzeczami, o których my nie możemy nawet pomarzyć, bo doprowadzi nas to do rozpacz. To wszystko fale wyrzuciły na i c h brzeg. A my musimy się zadowolić ubraniami Jamesa i beczką rumu.

James daje mi dyskretny znak bym się wycofała, zaraz po tym jak Beckwith wchodzi do szałas. To on tam dowodzi, to nie budzi wątpliwości.

Chcę zaprotestować, ale siedzenie tutaj nic nam nie da. Musimy się wycofać, nawet jeżeli nie będę w stanie zmrużyć oka przez następne tygodnie, aż do przyplłynięcia statku... a może i przez rok.

Wycofujemy się w kucki, aż skrywają nas drzewa. Wtedy ryzykujemy i wstajemy, dalej idziemy zgięci w pół tak blisko siebie, jak to możliwe.

Ale nagle stajemy. Zatrzymujemy się oniemieli, bo oto przed nami ktoś stoi. Podnoszę głowę, by zobaczyć coś więcej, niż czarne buty.

Tego faceta znam, choć nie z imienia, ani z pozycji. Kojarzę go z „Aquarius”, James będąc kapitanem wie pewnie więcej. Ale nie mogę przecież go zapytać, bo gardło ścięła mi panika. Panika ogarnęła także całe moje ciało, zupełnie je paraliżując.

Członek załogi „Aquarius” stoi przed nami, widzi nas, a jego zaskoczona mina szybko zmienia się w pełen zadowolenia uśmiech.

– O proszę. – mówi. – Toż to kapitan Crepusculum!

Miesiąc 1, tydzień 3, dzień 1
na Dali

Dawno, dawno temu, w zamku w odległej krainie mieszkała sobie księżniczka. Jej życie, choć nie takie jak by sobie wymarzyła, było dobre.

Ale pewnego dnia źli ludzie przyszli i porwali księżniczkę. A najgorszym ze złych ludzi był ich kapitan, bo to on był tam najokrutniejszym potworem. Wsadzili księżniczkę na statek i wywieźli w morze.

Księżniczka była sama wiele dni i wiele nocy, aż pewnego wieczoru rozpętała się burza. Fale uderzały w statek, aż ten rozbił się na skałach. Niemal cała załoga zginęła, oprócz księżniczki i potwora.

Ale potwór, jak się okazało nie był tak naprawdę zły. To on okazał się księciem w tej historii.

Księżniczka i książę trafili na wyspę, gdzie oczekiwali pomocy. Byli zupełnie sami.

Ale, nim pomoc nadeszła, okazało się, że źli ludzie tak naprawdę żyją i kryją się na tej samej wyspie. Złapali oni księżniczkę i księcia i ich zabili.

Koniec.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

OBÓZ

Beckwith wydaje się równie szczęśliwy, co ten przygłup, który nas przytargał do jego obozowiska.

To chyba ta chwila, kiedy powinnam powiedzieć coś poetyckiego, prawda? Jak na przykład, że wzięłam ze sobą ten głupi nóż od Jamesa, a teraz, gdy tak patrzę na tą wykrzywioną okrutną radością gębę pierwszego oficera, doskonale czuję chłód stali w moim bucie. Sięgam po nóż jednym, płynnym i szybkim ruchem, przechwytyję spojrzenie Crepusculum, który kiwa jedynie głową, a ja celuję w Jeffersona i bezbłędnie trafiam go nożem dokładnie między oczami. Żyjemy długo i szczęśliwie. Post scriptum? Nagle, niespodziewanie słychać okrzyki marynarzy tuż za nami, a gdy się odwracamy, widzimy statek z Majaru płynący wprost w naszą stronę.

Niestety wszystko toczy się zupełnie na odwrót.

Zacznijmy od noża. Mam go, co prawda i mam go w bucie, niestety już na tym poziomie pojawia się pierwsza komplikacja. Choć naprawdę chciałabym pozbyć się Beckwitha, jest to całkowicie niewykonalne z miejsca w którym stoję. Nie wyjmę też noża w ułamku sekundy, a poza tym ten przygłup ciągle trzyma mnie za łokieć, podobnie jak i Jamesa. Nie wymienię również z kapitanem żadnego ukradkowego spojrzenia, bo przecież nie pojmie co mam na myśli, a, co chyba najistotniejsze, nie trafię w Jeffersona w ogóle, nie mówiąc już o idealnym rzucie między oczy.

A do przyplłynięcia statku, jak stąd do nieba.

Co zatem dzieje się naprawdę?

Stoimy. Czekamy, aż pierwszy oficer „Aquarius” każe swojemu przerośniętemu baranowi rozwalić nam łby, ale to nie następuje.

– Crepusculum. – mówi, zamiast nas zabić. – Wiesz, co jest najcudowniejsze w obecnej sytuacji?

– Staram się jak mogę – odzywa się James. – ale nie widzę w tej sytuacji absolutnie żadnych pozytywów.

– Że nie jesteśmy już na statku. Że nie jesteś już ode mnie wyższy rangą, że nie słucham już twoich rozkazów. Ci ludzie służą mnie, tylko mnie, a ty nie masz tu żadnej władzy. Jesteś teraz tylko zwykłym chłopaczkiem, którego wszyscy nienawidzą. I, zapewniam cię, że chętnie zobaczą twój łeb odrąbany od całej reszty. Crepusculum, jak ja cię nie znoszę. Całe życie harowałem, żeby zostać kapitanem i jak skończyłem? Jako oficer pod jakimś gówniarzem?

– Mówiłam. – wymyka mi się, choć nie wiem jakim cudem, bo gardło mam ściśnięte ze strachu. To ta moja wrodzona arogancja, chęć udowodnienia, że zawsze mam rację. A teraz chcę udowodnić, że nie myliłam się co do Beckwitha.

Ale James doskonale o tym wie, ja z kolei niepotrzebnie zwracam na siebie uwagę niegdysiejszego pierwszego oficera.

– Wiesz, gdybym nie widział cię przed wypłynięciem w morze, w życiu nie powiedziałbym, że jesteś naszą pokładową medyczką. Czyżbyś umyła włosy?

Moje gardło na nowo odmawia posłuszeństwa, a to dla tego, że zobaczyłam coś, na co wcześniej nie zwróciłam w ogóle uwagi. Na broń zatknietą za pasek oficera. Mógłby, i na pewno to zrobi, zastrzelić nas w każdej sekundzie.

– Jak, do cholery, udało się waszej dwójce przetrwać tu tyle czasu? I to bez naszej wiedzy?

– A jak – odpowiada Crepusculum, który z pewnością już wcześniej zauważył w jak poważnych tarapatkach się znaleźliśmy. – wam udało się przetrwać tu i to bez mojej wiedzy?

Beckwith wybucha głośnym śmiechem.

– Jak widzisz, mamy tu wszystko, o czym wyście pewnie nawet nie śnili. Wszystko, co tylko ocalało z „Aqarius”. A wy? Co wyście znaleźli?

„Beczkę rumu i ciuchy kapitana” – ciśnie mi się na usta, ale wolę w milczeniu obserwować broń oficera.

Nie odzywamy się, a Beckwith macha ze znużeniem ręką.

– Zabierz ją, wiesz gdzie. – mówi do bezmózga, miażdżącego mój łokieć.

– Gdzie? – stoję tyłem, ale wyobrażam sobie, że tamten przekrzywia głowę.

– Do aresztu. – mówi zniecierpliwiony Beckwith. – Naszym dawnym kapitanem zajmę się osobiście.

Fakt, że mój wyrok zostaje chwilowo odroczonej bynajmniej nie napawa mnie radością. Przeciwnie, mam obawy, że „zajęcie się” Jamesem będzie innym określeniem zabójstwa z zimną krwią.

Choć daleko gdzieś mam wymyślonych bogów, modłę się do czego popadnie, by choć Beckwith okazał się odrobinę bogobojny. Jest prawo, mówiące, że wszelkie sądy i wyroki muszą zapadać nocą. To za sprawą Libry – bogini gwiazd i sprawiedliwości. Jest to zasada nie do złamania, gdyż gwiazdy widzą wszystko i tylko one znają prawdę. A pod rozgwieżdżonym nieboskłonem sędziowie doznają od nich wsparcia, czy, jak tam mówi religia Wielkiej Dwunastki, Libra wskazuje im, jaki wyrok mają wydać.

Jefferson to typ, którego nie będą obchodzić takie drobiazgi, wiem jednak, że wzbudza strach i dzięki niemu zapewnia sobie posłuch. Ale marynarze są zabobonni i jeśli zobaczą, że ich przywódca zabija w jasny dzień, bez sądu i wyroku, obrażając tym Librę, odejdą od niego i nie pomoże mu już żadna broń, ani żaden instrument nacisku.

Z tą myślą i tą nadzieją pozwalam zamknąć się w areszcie.

Mija ponad godzina.

Cały ten areszt to, nazywając rzeczy po imieniu, bardzo nieudana klatka. Sklecieli ją z drewnianych elementów przyniesionych przez fale, których na ich plaży było oczywiście więcej niż na naszej, jak zresztą wszystkiego. Powiązali je na szybko sznurami i zostawili.

W pierwszej chwili myślałam, że to jakiś kiepski żart, bo przecież bez trudu mogę opuścić to „więzienie”, jednak upierdliwcy zasupłali sznury tak pomyślnie, że nie jestem w stanie ich rozwiązać.

Robię wszystko, żeby powstrzymać ochotę przecięcia ich nożem i ucieczki w las. Od razu by mnie zobaczyli i złapali ponownie, a co gorsza, zabrali mój nóż.

Nieco przeraża mnie myśl, że Beckwith kazał zbudować ten areszt po to, by zamykać w nim zbuntowanych członków załogi, a wypuszczał dopiero jak im rozum przyszedł do głowy i postanowili się do niego przyłączyć, czy może raczej zgodzili się mu służyć.

Siedzę w kucki na środku klatki i czekam. Właśnie wtedy podrzucają mi do towarzystwa kapitana we własnej osobie.

Właściwie, to jestem zaskoczona, że on jeszcze żyje. I pewna, że nie potrwa to długo.

– Jesteś w stanie udawać, że zupełnie nie obchodzi cię, co się ze mną stanie? – pyta na wstępie szeptem.

– Pewnie, mam już wprawę. – pryham, przypominając sobie, jak podczas pobytu na statku nie było dnia, bym nie życzyła mu śmierci. To, że cała sytuacja przyjęła inny obrót, nie sprawiło, żebym zapomniała, jak się na niego wściekać. Wystarczy, że przypomnę sobie, jak kazał wyrzucać niewolników za burtę na przekąskę potworom.

Mam już odsunąć się na drugi koniec klatki, dając wszystkim postronnym obserwatorom znać, że nienawidzę tego typu z którym mnie zamknięto i, niech zabiorą go jak najdalej ode mnie, ale wtedy moją głowę zaprzęta niepokojąca myśl.

Bo, przecież tak naprawdę już nie nienawidzę Crepusculum i nie życzę mu śmierci. Zastanawiam się więc, po co to wszystko.

– Niech wiedzą, że nie trzymasz mojej strony. – tłumaczy. – Pozwolą ci się przyłączyć do obozu, najpewniej ocali ci to życie.

– Tak, ale... – marszczę brwi, bo, nie sędzę, żeby Beckwith za długo pozwolił mi żyć, biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo z jakim wiązało się przewiezienie mnie do Kraterii. Jeśli tamtejsza władza dowie się w jaki sposób trafiłam na

„Aquarius”, każą go ściąć, co bardzo by mnie ucieszyło, ale jemu raczej ta wizja się nie spodoba. – Ale co z tobą? – pytam w końcu.

– Ja sobie poradzę.

Sądzę, że uśmiech, który mi posłał miał mnie jakoś pocieszyć, ale sprawił jedynie, że przechodzą mnie ciarki.

Miałam rację, sądząc, że nie na długo pozwolą Jamesowi cieszyć się życiem.

Nie miałam też zbyt wielu okazji, żeby pokazać jak bardzo go nie znoszę, bo, poza tym, że widzieli, jak wbijam sobie pręty w plecy, byle by nie siedzieć w jego pobliżu, nikt łaskawie nie przeszedł obok, nie dając mi tym samym okazji do obrzucenia byłego kapitana kilkoma iście marynarskimi epitetami. Wiem jednak, że to bez sensu. Nie tylko nie byłabym w stanie zachować kamiennej twarzy, gdyby nagle zamordowali Jamesa na moich oczach, ale także i dlatego, że dla mnie nie ma nadziei na ocalenie tak długo, jak rządził tu będzie Beckwith.

Kolacji nie dostaliśmy.

Śniadanie dostaliśmy, ale gdy spałam.

Pierwsza wizyta, którą nam złożono, miała miejsce grubo po południu, jednak zanim zaczęłam wrzeszczeć, wywlekli Jamesa z klatki, wspominając coś o tygrysach. Najwyraźniej, tak jak podejrzewałam, nocą Beckwith podjął decyzję, co z nim zrobić.

Nie wiem, jak to możliwe, ale w mojej głowie niemal natychmiast pojawia się pewien plan.

Wtedy odgrywam najlepszą i największą szopkę swojego życia.

– Tygrysy?! – pytam, mając nadzieję, że moja twarz jest dostatecznie wykrzywiona grymasem szoku i strachu.

– Zabieramy go na pożarcie tygrysom. – prycha dobrze mi znany nawigator. Beckwith nadzoruje wszystko z bezpiecznej odległości. – Spokojnie, ciebie też to najpewniej czeka.

I wtedy zaczynam wrzeszczeć.

Krzyczę, właściwie nieskładnie, ale to bez znaczenia. Wręcz daje to znacznie lepszy efekt: że nie, że to bestialstwo, że błagam, nie, żeby darowali życie chociażby mi, że to okrutne, że chcę żyć, że się nie zgadzam, że nie zniosę tego, że są potworami, żeby mnie wypuścili, że nie mogę na to wszystko patrzeć, że to okrutne i nie zgadzam się na taki los.

Oni oczywiście pochłaniają moje protesty jak drapieżniki bawiące się ofiarą. Mi to zupełnie na rękę, że tak bardzo zaślepieni są własną wielkością i nie dostrzegają, jak dwoję się i troję, by wypaść na przekonującą histeryczkę. Beckwith właściwie dobrze zna mnie od tej strony, bo, gdy uprowadził mnie z mojego własnego domu, dosłownie b y ł a m wrzeszczącą histeryczką.

Dwoje marynarzy wlecze Jamesa w stronę lasu, a ten opiera się i wyrywa, ale ja widzę, że odgrywa przedstawienie równie przekonująco, co i ja. Dalej wrzeszczę, gdy Beckwith rusza za dwojgiem swoich sługusów w bezpiecznej, rzecz jasna, odległości, by jakiś zbłąkany tygrys czasem go nie napadł. Przechodząc obok straszy, że jeśli się nie przymknę to i mnie zaraz zabierze jako przystawkę dla tygrysa, zatem przestaję krzyczeć i zadowolam się niepohamowanym chlipaniem. Ciągnę to przedstawienie jeszcze chwilę po tym, jak cała czwórka znika za drzewami, tak dla pozorów, a potem siadam w kącie i ukrywam twarz w dłoniach, udając załamanie, strach, smutek i histerię.

A tak naprawdę myślę, jakim idiotą musiał być Beckwith, żeby po ukończeniu Majarskiej Akademii Morskiej nie wiedzieć, że na Dali nie żyją żadne ludożercze drapieżniki.

A potem myślę, czy czasem to ja nie jestem naiwną idiotką, wierząc na słowo Jamesowi, który twierdzi, że nie ma tu tygrysów, a tymczasem jest rozszarpywany przez jednego z nich na strzępy.

*Miesiąc 1, tydzień 3, dzień 3
na Dali*

Wodo,

Zabawne, że cały ten czas pragnęłam śmierci pewnego człowieka, a, gdy w końcu został na nią skazany, jedyne, czego chcę, to, by udało mu się ujść z życiem.

Pomyliłam się.

Winiłam nie tych, których powinnam.

I ciebie też nie powinnam winić.

Za tobą też tęsknię, wodo...

Reyna

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ARESZT

Nie muszę udawać otepiałej. Z nudów i tak na taką wyglądam.

Mogę tylko siedzieć i czekać.

Podobnie jak i wczoraj, gdy się obudziłam, jedzenie już na mnie czekało. Obrzydliwe zapasy ze statku. Walcząc z chęcią kopnięcia tego paskudztwa jak najdalej od aresztu, a napełnieniem burczącego brzucha, niemal nie zauważyłam jeszcze czegoś, co sprawiło, że w moich myślach pojawił się nowy mętnik.

Oprócz jedzenia ze statku dostałam pomarańczę.

Nic w tym dziwnego – powtarzałam sobie – na tej wyspie rosną pomarańcze. Przecież mogli mi jedną podrzucić, jeśli nie z łaski, to żeby torturować mnie faktem, że oni mogą się opychać owocami, a ja muszę jeść to świństwo.

Ale... jak wiele osób wie, że uwielbiam pomarańcze? Jak wiele osób przynosiło mi je codziennie na „Aquariusie”?

Zmuszam się, całą swoją siłą, żeby nie wybuchnąć płaczem, a potem stwierdzam, że i tak mają mnie za chorą na głowę histeryczkę, więc przestaję się hamować.

Czy to możliwe, żeby Joy żył?

A Henrick?

Ocieram oczy i wyglądam przez kraty. Była załoga naszego statku krząta się po obozowisku nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Przez chwilę myślę o tym, jak jestem głupia i naiwna, bo przecież gdyby żyli, zobaczyłabym ich już dawno, w końcu siedzę tu trzeci dzień, ale jednak...

Jednak widzę ich dopiero teraz. Oboje. Jestem pewna, bo tych sylwetek nie da się z niczym pomylić. Henrick jest ogromny, swoją tuszą zajmuje tyle miejsca, co trzech marynarzy przyklejonych do kupy, a owocowa dieta najwyraźniej nijak nie daje rady tego zmienić. Joy z kolei jest niski, w końcu to dzieciak.

Nie wiem czemu nie widziałam ich wcześniej, ale teraz widzę i wielki ciężar spada mi z serca. Henrick, wiecznie szczęśliwy i równie niebezpieczny kucharz oraz jego bratanek, jedyne osoby dzięki którym przetrwałam te tygodnie na „Aquariusie”, jednak żyją.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że kurczowo zaciskam palce na nakrętce od flakonika perfum – jedynym co się z niego ostało.

Więc nie dopadła mnie paranoja. Pomarańcza rzeczywiście była znakiem.

Pora wziąć się w garść.

– Reya. – słyszę głos, który miał zapewne być szeptem, ale jego właściciel nie ma pojęcia, co to znaczy szeptać. Ani nie rzucać się w oczy. W jego wydaniu to niemożliwe.

Jest pora obiadu, przynajmniej mojego. Myślałam, że znów przyniesie go ten rudy osiłek, nawigator i prawa ręka Beckwitha, ale spotkało mnie miłe zaskoczenie.

– Henrick! – cóż, ja też nie zachowuję się zbyt dyskretnie. To, co miło być szeptem, wyszło jak pisk. – Nie wierzę, że żyjecie, cały ten czas myślałam...

– Też myśleliśmy, że nie żyjecie, ty i kapitan. Nawet pochówek wam chcieliśmy zrobić, taki po tajemnie, ale mi Joy przypomniał, że właściwie to nie mamy czego chować. Tylko twoja skrzynia się ostała, nic więcej... Ale nic, ważne, że wszyscy żyjemy i przyszło nam się spotkać, tak?

Kiwam głową jak opętana, a po chwili spoglądam w dal. Nikt nas nie obserwuje, nikogo nie obchodzi, że kucharz właśnie zanoszą więźniowi paskudną breję.

– Jakim, na Aquariusie, cudem żeś przeżyła? – pyta.

– Nie wiem. – przyznaję. – Gdy się ocknęłam, byłam już na plaży, tam pod klifem, dlatego cały ten czas nie mieliśmy pojęcia o waszym obozie. Ale jak to się

stało, że nie widziałam dotąd ani ciebie, ani Joy'a?

– Mieliliśmy obchód wschodniej części dżungli. – wyjaśnia. – Też nas to zaskoczyło. Wracamy sobie, a tu Reya w areszcie, siedzi sobie jakby nigdy nic i ten paskudny kapitan mówi, że mam ci zanieść śniadanie.

– Zaraz... – przerywam mu potok słów. – kapitan?

– No, oficer pierwszy się tak każe tytułować, bo naszemu prawdziwemu kapitanowi się zmarło. – mówi Henrick. – To taki system utrzymania władzy.

– Ale Crepusculum żyje. – mówię cicho. Nikt nie powinien tego wiedzieć. Powinni myśleć, że rozszarpały go tygrysy, ale ja nie mam serca okłamywać jednej z nielicznych osób, które okazały mi odrobinę dobroci na pokładzie.

– Tyle to i ja sam żem wywnioskował, ale zdaje się, że go wyprowadzili na obiad do tygrysów.

Chcę powiedzieć, że tu nie ma tygrysów, ale gryzę się w język.

– Jak... jak bardzo źle tu jest?

– Szczerze? Okropnie. – mówi. – Nasze zapasy nie przetrwały, ale to nic, bo tu mamy pod dostatkiem świeżych owoców. Gorszy jest ten strach, bo nikt nie wie, co kapitanowi do głowy uderzy, a rację to ty miałaś, że z niego to jest zły typ.

Uśmiecham się, ale wypada to dość blado.

– Muszę iść, zanim połapią się, że coś nie tak z obiadem, bo ci go za długo podają. Ale przyjdę jeszcze i Joy może też. Wyciągniemy cię stąd, zobaczysz.

Zastanawiam się, czy to w ogóle możliwe.

Mija dwa dni.

Dwa dni i zupełnie nic się nie zmienia.

Wciąż jestem sama w areszcie, wciąż się boję, ale przynajmniej teraz czekam.

Posiłki dostaję zawsze od Henricka albo Joy'a. To ich obowiązek, który nawigator przejął jedynie na pewien czas, gdy tamci byli nieobecni.

Z Henrickiem rozmawiamy o wszystkim, o czym tylko się da, żeby nie zwariować, Joy jest z kolei ciekaw, jakim cudem przetrwaliśmy we dwoje tyle czasu, nie mając zapasów ani pomocy.

Odpowiadam mu cierpliwie na wszystkie pytania, nie bojąc się przy tym, że ktoś nakryje nas na rozmowie. Joy jest tak drobny, że gdy siadamy oparci o pręty po dwóch stronach klatki, zupełnie go nie widać. Czasami siedzimy tak bardzo długo.

Gorzej sprawy mają się z kucharzem. Jego wielkiej tuszy nie da się nijak ukryć, a ja boję się, co może się wydarzyć, jeśli ktoś uzna, że Henrick spędza koło więźnia zbyt wiele czasu.

– Po co właściwie ten areszt? – pytam, podczas kolejnego spotkania. – Mielicie tu jakieś przejawy buntu?

– Nie, to tak dla zastraszenia. – mówi, mieszając kijkiem w brei, którą powinien postawić i sobie pójść. – Wszystko tu jest dla zastraszenia, a my i tak jesteśmy zastraszeni jeszcze bardziej.

– Czemu?

– Pamiętasz tego Marcusa, sternika, co mu nogę naprawiałaś, jak mu coś na nią rąbnęło?

– Paskudny typ. – mówię, ale potem z pewnym niepokojem stwierdzam, że nie widziałam go w obozowisku. Myślę, że może nie przeżył sztormu, ale w porę przypominam sobie, że chyba widziałam go na szalupie ratunkowej wraz z pozostałymi przekupionymi przez pierwszego oficera członkami załogi. Gdzie zatem jest? Przebywa w szałasie, bo ze złamaną nogą nie może się na nic przydać?

– Nie żyje. – mówi Henrick. – Kapitan wziął i go ukatrupił pierwszego dnia.

Otwieram oczy bardzo, bardzo szeroko.

– Powiedział, że nam się nie przyda kaleka, jedynie będzie zapasy pochłaniał, a nic nam z kulawego sternika i wziął mu strzeł w łeb.

W pierwszej chwili nie chce mi się wierzyć, Marcus i nawigator byli najwierniejszymi pomocnikami Beckwitha, ale faktom nie da się zaprzeczać. Przecież go tu nie widziałam.

– I wziął to zrobił na naszych oczach, tak żebyśmy pojęli: pomagasz, albo giniesz.

– A Joy? Jak to przeszedł?

– Traumę dzieciak prawie dostał. A on to... no długo by gadać, ale biedny z niego dzieciak. Nie tak dawno matka mu umarła, ojca to już od dawna nie miał, bo zginął lata temu, na misji za granicą, bo wiesz, on był żołnierzem.

– To dlatego ty się nim opiekujesz. – odgadłam.

– Po za mną to ma tylko ciotkę, ale jej nie zna. Mieszka w Kraterii, w jakimś dworze, czy coś. U mnie to go przyszłość żadna nie czeka, więc go chciałem do niej zabrać, ale jak widać utknęliśmy na tej wyspie i tu zostaniemy, nie ma co.

– A statek pasażerski do Kraterii? – pytam, nie wierząc, że żaden z marynarzy na to nie wpadł.

– A co by tu robił ten statek? – dziwi się Henrick.

– Przecież przepływa koło Dali...

– Sądzisz, że ta wyspa to Dala?

– Tak, zastanawialiśmy się nad tym z kapitanem dość długo i wszystko na to wskazuje.

– Z kapitanem, hmm? – Henrick unosi brwi. – Ja to się dziwię, żeście się nie pozabijali, tak się nie znosiliście.

– Długo by mówić. – stwierdzam, wiedząc, że nie ma czasu na szczegółowe opowieści. – Kiedyś ci o wszystkim opowiem.

– Wybaczyłaś mu, że cię porwał? – nie dowierza kucharz.

– To nie był on, tylko oficer. Kapitan nie miał pojęcia. Na dodatek okazał się być... cóż, zupełnie inny, niż zakładałam.

– To znaczy?

– On chyba nawet ma serce. – śmiem stwierdzić.

Henrick uśmiecha się szeroko.

– Ależ Reya, każdy ma serce. Nawet jeśli jest maleńkie. A maleńkie serce zawsze może urosnąć.

Nasza rozmowa przeciąga się niebezpiecznie i proszę stryja Joy'a, aby już poszedł. Nikt nie powinien widzieć, że ze mną rozmawia, a teraz, gdy dowiedziałam się, że Beckwith jest w stanie zabić każdego z obecnych ot tak, mój niepokój dodatkowo się powiększa.

Henrick odchodzi, zapewniając uprzednio, że następnego dnia osobiście przyniesie mi śniadanie, a ja zostaję i myślę o Marcusie, którego szczerze nienawidziłam, któremu musiałam opatrzeć nogę i który był teraz martwy.

Nie mogę przestać myśleć, że sama tego chciałam.

Breja jest paskudna i nie nadaje się do jedzenia. Na statku jeszcze ją w siebie wmuszałam, ale teraz mam wrażenie, że smakuje sto razy gorzej, być może dlatego, że przez trzy tygodnie żywiłam się głównie owocami, a może dlatego, że po prostu się zepsuła.

Że też ze wszystkich zapasów ze statku musiała ocaleć właśnie ta breja.

Pośpiesznie obieram pomarańczę ze skórki, słuchając paplania kucharza z „Aquariusą”.

– A wiesz, że kapitan ma alergię na pomarańcze? – pyta, czym zupełnie mnie zaskakuje. Mówi rzecz jasna o Beckwithcie. Teraz to on jest kapitanem, bo Crepusculum został rozszarpany przez tygrysy. O tym z kolei dowiedziałam się wczoraj, niegdysiejszy pierwszy oficer sam mi to powiedział.

– Smutni muszą być ludzie mający alergię na pomarańcze. – zauważam i do głowy przychodzi mi absurdalna myśl, że to pewnie dlatego jest tak bezwzględny i okrutny.

Sądziłam, że trzy tygodnie z kapitanem na bezludnej wyspie doprowadzi mnie do szaleństwa, ale to dopiero teraz naprawdę zaczynam wariować.

Przełykam owoc najszybciej jak mogę, żeby zaspokoić głód i nie dać się zauważyć. Henrick papla coś o deszczu. O deszczu w Kraterii, ale ja nie mogę słuchać.

Od wczorajszego wieczoru moje myśli są gdzieś daleko. Błądzą po lesie, rosnącym gęsto za moimi plecami i szukają mężczyzny w czarnej koszuli. Proszą, by był cały i zdrow.

Proszą by miał rację, twierdząc, że w tym lesie nie ma tygrysów.

Henrick chyba o coś mnie pyta, a ja wracam do rzeczywistości.

– Co mówiłeś? – pytam, marszcząc brwi. Widzi, że jestem nieobecna i niespokojna.

– Całkiem dużo, jeśli chcesz wiedzieć. – mówi. – Ale teraz lepiej ty powiedz, co cię trapi?

– To... wszystko.

– Areszt? Wyciągniemy cię stąd, jeszcze tylko kilka dni, a jak mówisz, że tędy przepływa statek, to może nawet jesteśmy uratowani. – zauważa z entuzjazmem. Bardzo chciałabym go podzielać.

– Jeśli tylko uda mi się stąd wyjść, powinniśmy uciec, ty, ja i Joy. Ja i kapitan przetrwaliśmy trzy tygodnie, więc i nam się uda. Zaszycemy się gdzieś do przyplłynięcia statku i...

Henrick kiwa głową, uśmiecha się, ale jest coś jeszcze.

Jest jeszcze bezruch, który razi mnie jak piorun.

I tak samo jak podczas burzy grzmot pojawia się po błyskawicy, tak samo dopiero teraz słyszę huk. Wcześniej nie mogłam go zarejestrować, matka powiedziałaaby mi pewnie, że umysł, który zaprzecza czemuś, może wmówić sobie, że tego nie ma.

Nie rozumiem dlaczego w tej chwili nachodzi mnie jej wspomnienie.

I jak mogłam tego nie słyszeć, przecież huk jest ogłuszający.

Henrick osuwa się na kolana. W jego klatce piersiowej zieje rana na wylot, a krew tryska wprost na mnie.

Gdy pada na ziemię, widzę stojącą niemal tuż za nim postać i nie rozpoznaję jej, choć znam ją doskonale.

Nie rozumiem, kim jest ten siwy mężczyzna, o spalonej przez słońce twarzy.

– Mówiłem coś o nietolerowaniu zdrajców. – mówi. – Ale on najwyraźniej nie słuchał.

Teraz nie muszę udawać.

Teraz krzyczę naprawdę, uwalniając bestię, która we mnie mieszka.

*Miesiąc 1, tydzień 3, dzień 6
na Dali*

Wodo, ocaliłaś mnie już raz.

Ocal mnie i teraz, choć będąc tak daleko w głąb lądu nie powinnam cię o to prosić.

Reyna

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

TYGRYSY

Beckwith podchodzi do mnie, bezceremonialnie wymijając ciało Henricka.

Ja wciąż krzyczę, zdaje się, że też płaczę, choć nie jestem już pewna.

W mojej głowie pojawia się obraz, w kółko ten sam. Henrick uśmiecha się, kiwa głową, zamiera, przeszywa go kula i umiera. I znów, od początku.

– Więc i do ciebie nie dotarły ostrzeżenia? – mówi, a w jego głosie pobrzmiewa kpina.

Patrzę na Henricka, choć tego nie chcę. Nie potrafię oderwać wzroku.

Biedny Joy.

– Wiesz, co cię czeka, prawda? – nuta radości w głosie Beckwitha doprowadza mnie do furii. Mam ochotę rozerwać go na strzępy, ale nie mogę się ruszyć.

„To szok” – słyszę w głowie głos matki. – „Jesteś w szoku, ale to minie.”

Nie minie – mam ochotę odpowiedzieć, bo czuję, jakbym zamarła tak na zawsze, jakbym nigdy już nie miała wykonać nawet najmniejszego ruchu, pozostać tu pomnikiem z łez i krwi.

Beckwith przystawia mi lufę broni do gardła. Jest ciepła, tylko tyle stwierdzam, gdy unosi mi nią brodę i zmusza, żebym na niego spojrzała.

– Pytam, czy wiesz, co cię teraz czeka? – powtarza z irytacją.

– Zabijesz mnie? – pytam i wybucham irracjonalnym śmiechem.

Przeżyłam porwanie, kilka potworów, sztorm na morzu, katastrofę okrętu i prawie miesiąc sam na sam z największym wrogiem. A teraz zginę w klatce, jak tresowane zwierze, które przestało słuchać poleceń.

– Odstrzeliłbym ci łeb. – mówi. – Ale zdaje się, że obiecałem ci coś innego.

Tygrysy – przypominam sobie. – obiecał mi tygrysy.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że całe obozowisko zamarło. Wszyscy wpatrują się we mnie, w nas. W drapieżnika i ofiarę i martwe ciało u ich stóp.

Chwytam spojrzenie Joy'a. Ma szeroko otwarte oczy. Ktoś, nie rozpoznaję go, trzyma chłopca za ramiona, nie pozwalając mu do nas podbiec.

Przeklinam wszystkich bogów, istniejących i nie, gdy wzrok Beckwitha wędruje za moim i spoczywa na małym, jasnowłosym chłopcu.

– Fabius, przyprowadź tu proszę chłopca. – mówi.

Rudowłosy nawigator chwyta Joy'a za łokieć i nawet nie siląc się na delikatność, ciągnie go w naszą stronę.

– Twój wujek był zdrajcą, chłopcze. – mówi do Joy'a, odwracając go w stronę ciała Henricka. – Popatrz. – siłą przytrzymuje mu głowę, gdy ten próbuje się odwrócić. – Popatrz uważnie, co czeka zdrajców.

Nie mogę znieść tego okrucieństwa. Nie mogę znieść widoku cierpienia tego małego chłopca, który był mi pierwszą życzliwą osobą, gdy cały wszechświat zmówił się przeciw mnie. Chłopca, który stracił i ojca i matkę, a teraz ostatnią bliską sobie osobę.

Joy został sam.

– Powiedz mi teraz, chłopcze – ciągnie Beckwith. – czy chcesz być jak twój wujek i bratać się ze zdrajcami – tu wymownie wskazuje w moją stronę. – czy pozostaniesz wierny swojemu kapitanowi?

Joy nie płacze, co niebywale mi imponuje. Patrzy na Beckwitha wzrokiem, pod siłą którego ten już dawno powinien paść martwy.

– Ona nie jest zdrajcą. – oznajmia. – I mój s t r y j też nie był.

Beckwith unosi brew. Dopiero teraz w kącikach oczu Joy'a dostrzegam rysujące się łzy, gotowe aby wypłynąć, powstrzymywane przez niego ostatkiem sił. Broda zaczyna mu drżeć.

– Zabierz chłopca razem z tą tutaj. – rzuca Beckwith do nawigatora, a ten macha przyzywająco do jakiś swoich towarzyszy.

Areszt zostaje otwarty, a ja i Joy jesteśmy prowadzeni po śladach, które pozostawił kapitan Crepusculum.

Chcę uspokoić Joy'a, powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze, ale nie mogę, bo otacza nas zbyt wiele uszu, które nie powinny o tym wiedzieć, a na dodatek wycelowana w nas jest lufa strzelby. Milczę więc, gdy prowadzą nas przez las. Milczę, gdy każą nam usiąść pod drzewem i milczę gdy nas do niego przywiązują.

Robią to szybko, lecz precyzyjne i, gdy tylko kończą, uciekają jak najszybciej.

Odprowadzili nas dość daleko od obozowiska, pewnie w obawie, że zachęczone drapieżniki udadzą się za zapachem i ich zaatakują. Ale przynajmniej dzięki temu mam pewność, że nikt nas nie słyszy.

Siedzimy po przeciwnych stronach drzewa, jednak ręce mamy związane razem. Chcę powiedzieć cokolwiek, ale głos zamiera mi w gardle. Co można powiedzieć dwunastoletniemu chłopcu, który właśnie stracił wszystko, a jego świat rozpadł się na kawałki? Co mogę zrobić, skoro sama cała jestem ubrudzona krwią jego stryja, którego jedyną winą było to, że okazał mi odrobinę życzliwości?

Więc, zamiast mówić, po prostu ściskam jego rękę i wtedy dopiero zaczynam słyszeć, że Joy szlocha. Nie winię go za to: Henrick nie żyje, a on sam sądzi, że niebawem zostanie pożarty.

Nienawidzę się za to, że sama nie jestem już w stanie pozwolić łzom spływać po policzkach.

Muszę uspokoić Joy'a, muszę mu powiedzieć, że nie umrzemy.

Ale właśnie, gdy mam to zrobić, coś przykuwa moją uwagę.

Pod sąsiednim drzewem leży sznur – taki sam, jak ten, którym nas związano. On także jest związany z jednej strony, z drugiej natomiast przerwany.

Nie przerwany, r o z e r w a n y. I poplamiony zaschniętą krwią.

Biorę głęboki oddech, bo mam wrażenie, że zaraz się uduszę.

James Crepusculum się mylił. W tym lesie żyją tygrysy.

– Joy. Joy, posłuchaj. – mówię półgłosem, bo nie chcę, by dosłyszał kłębiącą się w nim panikę. – Musimy się stąd uwolnić. Nie damy rady sami tego rozwiązać. – dla pewności przez chwilę mocuję się z węzłem. – Mam w bucie nóż... – ciągnę i gwałtownie milknę, uświadomiwszy sobie, że przecież to prawda i czemu wcześniej o tym nie pomyślałam.

Bez słowa sięgam po broń.

– Dlaczego nie użyłaś go wcześniej? – pyta, gdy zaciskam palce na rękojeści.

– Nie mogłam. – tłumaczę. – Beckwith miał broń palną, a moja wymaga krótkiego dystansu. Mogłabym, co prawda, w niego rzucić, ale wówczas pozostałabym bezbronna na pastwę całego obozu.

Pomijam fakt, że niewątpliwie bym chybiła.

– Racja. – przyznaje.

Przystępuję do rozcinania sznura. Idzie mi to zaskakująco mozolnie, jednak w końcu więzy puszczają, a my jesteśmy wolni. Zrywam się na równe nogi. Joy okrąża drzewo i staje tuż przy mnie.

– Przyszliśmy stąd. – wskazuję na gąszcz drzew.

– Raczej stąd. – Joy łapie mnie za łokieć i przesuwa moją rękę nieco bardziej na zachód.

– Rzeczywiście. – stwierdzam, nie chcę przyznawać się do tego, jak beznadziejny jest mój zmysł orientacji.

Joy wciąż kurczowo się mnie trzyma. Zdaje się, że nie przeszkadza mu ani fakt, że jestem cała we krwi, ani to, że sama z całych sił zaciskam palce na rękojeści noża. Jestem świadoma przez co przeszedł, przez co sama przeszłam i nagle padam na kolana. Przyciskam Joy'a do siebie, obejmuję go, bo oboje jesteśmy tak zmęczeni i rozbici, że gdybyśmy się nie trzymali, już dawno byśmy się rozpadli.

– Rey. – odzywa się w końcu Joy, a mi łzy stają w oczach, gdy uświadamiam sobie, jak bardzo tęskniłam za tym przezwiskiem. – Popatrz.

Wpuszczam go z objęć i odwracam się we wskazanym kierunku. Chłopiec pokazuje mi rozerwaną linę, którą sama spostrzegłam już wcześniej.

– Czy... czy kapitan Crepusculum też nie żyje? – pyta.

– Nie wiem. – przyznaję, boleśnie świadoma tego, że to prawda. – Nie wiem, ale wiem, że my musimy się stąd zabierać i to jak najszybciej.

Jak na zawołanie, tuż przed nami poruszają się liście. Ktoś nas obserwuje, ktoś idzie w naszą stronę. Patrzą na Joy'a z czystym przerażeniem w oczach, a on jest moim lustrzanym odbiciem.

Łapiemy się za ręce i ruszamy biegiem przed siebie, byle dalej od obozowiska.

*Miesiąc 1, tydzień 3, dzień 6
na Dali*

Wodo,

A co jeśli się mylę? Co jeśli myliłam się od samego początku? Jeśli lepszą opcją było zginąć w paszczy bestii, przynajmniej szybko, a nie pławić się w nadziei na ocalenie, tylko po to, by odkryć, że otaczają nas potwory gorsze i okrutniejsze niż te, zamieszkujące twoje głębiny? Nazywają się ludzie...

Reyna

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ZBYT WIELE KRWI

Biegniemy na oślep. Czasem zwalniam ja, czasem Joy, ale wówczas zawsze to drugie wciąż uporczywie prze do przodu.

Ocieram się wciąż o kolejne gałęzie, drą mi ręce i ubranie, ale to nie ważne.

Ważne jest to, że ktoś za nami podąża, a my nie chcemy wracać do obozu z którego właśnie cudem się uwolniliśmy.

Teraz nie możemy liczyć na żaden, najmniejszy nawet łut szczęścia, bo jeśli tylko staniemy przed obliczem Beckwitha, ten zabije nas bez ostrzeżenia.

Nie wiem czy biegliśmy pięć minut, czy godzin, czy przebiegliśmy metry, czy całą wyspę wokół, bo czas i przestrzeń dawno straciły znaczenie. Nie mam nawet pewności co do tego, czy ten ktoś nadal jest tuż za nami, czy dawno już go zgubiliśmy.

Ledwo mogę złapać oddech, ale strach napędza mnie i zmusza do nadludzkiego wysiłku, biegnę więc nadal.

W pewnej chwili Joy ślizga się na wilgotnej trawie i pada na nią jak długi, ciągnąc mnie za sobą.

Ląduję twarzą w wilgotnej ziemi, ręka chłopca wysuwa się z mojej, gdy ten próbuje się podnieść. Ja nie daję rady, zbyt wycieńczona biegiem, choć wiem że powinnam. Część mnie woła, że nie jesteśmy bezpieczni, że muszę wstać i biec dalej, druga każe sobie odpuścić, zostać tak jak jestem i pozwolić napastnikom się odnaleźć.

Zmuszam się ze wszystkich sił, aby unieść głowę i zobaczyć, czy Joy'owi nic się nie stało. Widzę czyjeś ciemne buty tuż przed sobą.

Znaleźli nas. To koniec. Tylko czemu jeszcze nie pociągnęli za spust?

Nie chcę unosić głowy jeszcze wyżej, ale to robię. To chore pragnienie poznania tożsamości swojego zabójcy.

Ale to nie człowiek Beckwitha stoi przede mną. To nie on wyciąga do mnie rękę.

To już się stało – uświadamiam sobie. – uderzyłam się w głowę? Może naprawdę czeka mnie śmierć, czy to nie wtedy życie przelatuje człowiekowi przed oczami?

Ale ręka jest prawdziwa, materialna i żywa, wiem, bo gdy ją chwytam, łagodnie podciąga mnie na nogi.

– Kapitan Crepusculum! – wyrywa się oniemiałemu Joy’owi. – Wiedziałem, że nie jest pan martwy, nie mógłby pan być!

James Crepusculum nie wygląda tak, jak wtedy, gdy widziałam go ostatnio. Jego ubrania pobrudzone są trawą i błotem, choć pewnie nie tak bardzo jak moje. Na twarzy widnieje niemal tygodniowy zarost, a na ręce idealnie prosta, pozioma rana.

Przez chwilę wciąż nie dowierzam w to, co widzę: że on żyje i nas znalazł. A zaraz potem uświadamiam sobie, że choć istnieje tysiące odcieni smutku, jest tylko jeden odcień radości.

Nie wiem czy najpierw rzucam mu się na szyję, czy zaczynam płakać, ale już chwilę później tulę się do niego jak dziecko, a łzy płyną po mojej upačkanej błotem i krwią twarzy.

Crepusculum klepie mnie po plecach i delikatnie od siebie odsuwa. Przygląda mi się uważnie, badawczo.

No tak, jestem cała we krwi i błocie.

Nie protestuję, kiedy odwraca moje ręce uważnie oglądając każde zadrapanie. Najdłużej przypatruje się jednak mojej poplamionej koszuli.

– Jesteś ranna. – mówi w końcu.

– Nie. – zapewniam, choć mój głos nie brzmi tak pewnie, jakbym chciała. – To nie moja krew.

– To mojego stryja. – mówi Joy. – Oni... zabili mi stryja...

Chłopiec, choć stara się z całych sił, nie potrafi już powstrzymać łez.

– Jesteś ranna. – powtarza Crepusculum. – Reyna, popatrz. – unosi moją rękę i mi ją pokazuje.

Wiedziałam, że są pełne zadrapań, czułam, jak ocierają się o nie wszystkie mijane gałęzie, ale nie sądziłam, że jest tak źle. A ja jeszcze wylądowałam w ziemi.

– Jak nas znalazłeś? – pytam, wyrywając rękę.

– Przebywałem w pobliżu miejsca w którym przywiązali mnie do drzewa. Znalazłem tam wąż, do którego żaden z nich się nie zapuszcza. Podejrzywałem, że z tobą zrobią to samo, co i ze mną, poza tym chciałem się upewnić, że uznali mnie za martwego.

– Uznali. Sama miałam wątpliwości, gdy zobaczyłam pogryziony i zakrwawiony sznur.

– Rozciąłem go, potem rozciąłem sobie rękę, by nieco popłamić go krwią. A potem się ukryłem. – wyjaśnia. – Gdy uciekliście, powtórzyłem to samo, zatem wszyscy jesteśmy w ich oczach martwi.

– Nie wróciłeś do szałasu?

– Nie, to zbyt niebezpieczne. – mówi.

Dopiero teraz uświadamiam sobie głupi fakt, że James musiał mieć w kufrze brzytwę. Wcześniej nie zwróciłam nawet uwagi, że nie ma zarostu, choć spędziliśmy na wyspie trzy tygodnie. Musiał golić się każdego ranka. Niepokoi mnie jednak jeszcze jedna rzecz.

– Czym rozciąłeś linę?

James marszczy brwi.

– Nożem. – mówi.

– Mówiłeś, że nóż, który mi dajesz to jedyna broń, jaką posiadamy. – przypominam. – Skąd, do cholery, miałeś nóż?

– Ukradłem Jeffersonowi, gdy zabrali mnie ze sobą do namiotu. – mówi, tak po prostu. – Nie nazwałbym go bronią, naprawdę. Ale do przecinania liny się nadaje

Łapię się za głowę, a moje ręce natrafiają na masę zbitego brudu.

– Czy jest tu jakiś strumień? – pytam, bo zdaję sobie sprawę z tego, jak beznadziejnie muszę wyglądać.

– Tak i zamierzam was tam od razu zabrać. – mówi Crepusculum, zerkając niepewnie na chlipiącego Joy'a. – Twoja ręka...

– Daj już spokój z moją ręką. – prychem.

– Jesteś córką medyka. Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że nieciekawie to wygląda?

– Jakie to ma znaczenie, skoro z pewnością dopadną nas ludzie Beckwitha? Przecież nie damy rady się tu ukrywać przez rok. W końcu nas znajdą. – mówię, nie dbając już o to, że Joy to słyszy, w końcu przyznaję prawdę.

– Siedzieliśmy im pod nosem przez prawie miesiąc i nie mieli o niczym pojęcia. – zauważa James. – A teraz uważają nas za martwych. Czemu miałyby się nie udać?

– A jak wyobrażasz sobie odpłynąć stąd, kiedy oni również zobaczą nadpływający statek? Na pokład wsiądziemy albo my, albo oni, ale to oni mają broń.

– Co tam się stało, Reyno? – pyta. – Co się stało, że straciłaś zupełnie wolę walki i przetrwania?

– Oni zabili mi stryja. – powtarza Joy, ocierając oczy. – Dlatego, że chcieliśmy jej pomóc uciec. Zabili go, bo z nią rozmawiał. Tuż obok, na jej oczach.

James patrz znów na plamy krwi na szarej koszuli, którą kiedyś mi ofiarował. Wie, że widziałam już śmierć, sam niemal mi ją pokazał na pokładzie „Aqariususa”, ale teraz zginął mój przyjaciel. I to tylko i wyłącznie przeze mnie.

Crepusculum zdaje się rozumieć.

Chwyta Joy'a za ramię, przyciąga do siebie i obejmuje. Drugą ręką robi to samo ze mną. Stoimy tak we troje, obejmując się i płacząc... oprócz kapitana oczywiście, on nie płacze.

– W porządku. – mówię w końcu. – Chodźmy naprawić moją rękę.

*Miesiąc 1, tydzień 3, dzień 6
na Dali*

Wodo,

Coś ty uczyniła?

Chcesz nas ocalić, czy skazać na śmierć?

Bo jeśli doprowadzisz do naszego końca, okażesz się okrutniejsza, niż dotąd sądziłam. Okażesz się bardziej bezwzględna od zamieszkujących cię bestii.

Ale jeśli chcesz nas ocalić... wiedz, że dla nas nie ma już ratunku.

Jeśli chcesz nas ocalić, doprowadź tamtych do upadku.

Reyna

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

PŁOMIENIE NADZIEI

Joy kuca nieopodal strumienia i co chwilę ociera oczy, przyglądając się jak Crepusculum obmywa moją ranę.

Szczerze, nie mam pojęcia w którym momencie biegu aż tak rozorałam sobie rękę. Nawet nie poczułam bólu.

– Zdaje się, że nic ci nie będzie. – oznajmia kapitan, wstając. – Ale to ty tutaj robisz za medyka.

Przewracam oczami.

Silę się na spokój, udaję, że wszystko jest w porządku, podobnie jak Joy, jemu jednak nie udaje się powstrzymać łez wypływających co chwilę na jego policzki i utwierdzających nas w myśli, że nawet jeśli będziemy udawać, że nic się nie stało, to tak naprawdę nigdy nie będzie prawdą.

– Dlaczego ludzie płaczą? – pyta niespodziewanie Joy, spoglądając w moją stronę. James oddziera równe pasy swojej koszuli, a ja przyglądam się temu ze zmarszczonymi brwiami i przekrzywioną głową.

– Chodzi o napięcie nerwowe. – mówię. – Łzy je rozładowują.

– Nie czuję się rozładowany.

– Wiem, mi też to nigdy nie pomaga.

Crepusculum kuca i owija moją rękę w strzępy czarnego materiału. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam czarnych bandaży.

– Co teraz zrobimy? – pytam. Ton mojego głosu nie wyraża żadnych emocji.

– Podejrzewam, że oczekujecie dobrych wiadomości – mówi James, nieco zbyt mocno ściskając opatrunkiem moją rękę.

– Kiepski byłby z ciebie medyk. – mówię.

– Przeszedłem przeszkolenie medyczne. – oznajmia z uporem.

– Wracając do dobrych wieści, jakie masz nam przekazać...

– ... to ich nie ma. – mówi bez przeciągania. – Nie możemy wrócić na plażę, nie mamy niczego, oprócz tego, co przy sobie i nie będziemy wiedzieć, jeśli w ogóle przyplynie statek z Majaru.

– Przecież spędziliśmy tam prawie miesiąc niezauważeni. Na pewno nie możemy wrócić? – pytam, marszcząc brwi.

– Wówczas nie wiedzieli, że mają nas szukać. Teraz mogą przetrząsać wyspę w poszukiwaniu podobnych niespodzianek, tak na wszelki wypadek.

– Znajdą nasz szałas. – zauważam. Nie wiem dlaczego mnie to niepokoi, to tylko sterta drewna i kawałek żagla. Nawet nie prawdziwy dom.

– To właśnie mnie martwi. – oznajmia Crepusculum, ku mojemu zdziwieniu. – Jak na razie nie zeszli z klifu. Obserwowałem ich przez ten czas, gdy cię przetrzymywali.

– Co z tego, że znajdą wasz szałas, skoro i tak nie możemy tam wrócić? – pyta Joy.

– Morze wyrzuciło skrzynię z moimi rzeczami osobistymi. – wyjaśnia pospiesznie James. – Wolę, żeby nie dostała się w ich ręce.

– Ukrywasz tam coś ważnego? – pytam poirytowanym głosem.

– Nie, ale spory zwój liny i apteczkę, która by ci się przydała. Nie mówiąc już o ubraniach, które przydałyby się każdemu z nas. – wymownie patrzy na moją szarą koszulę, teraz bardziej w odcieniach brązów i zieleni, a ja równie wymownie patrzę na jego, do połowy podartą.

– Musimy wrócić na plażę jak najszybciej. – oznajmiam i gwałtownie wstaję.

– Zobaczą nas.

– Nie, jeśli zrobimy to szybko i już tam nie wrócimy. – rzucam za siebie i ruszam przez las.

– Reyna! – słyszę za sobą poirytowany krzyk, a potem serię przekleństw. Chwilę później obaj mnie doganiają.

– Nie możesz tam tak po prostu bezmyślnie pójść. – mówi James.

– Ale ja wcale nie idę bezmyślnie. Całkiem sprytnie przemyślałam, żeby tam wpaść, wziąć, co nam potrzebne i niezauważenie wrócić.

– Reyno. – mówi, ale ja się nie zatrzymuję. – Reyno! – łapie mnie za zdrową rękę i odwraca w swoją stronę. Chcąc nie chcąc muszę się zatrzymać i posłuchać, co ma mi do powiedzenia. – Po pierwsze, noc zapewni lepszą osłonę.

– Więc ruszajmy, wieczorem akurat będziemy na miejscu...

– Nie, na miejscu będziemy po północy, a nie możemy ryzykować i błędzić po dżungli w ciemno. Po drugie, to ja tam pójde.

– Nie. Zauważą cię. Ja jestem drobniejsza i jeszcze nie uznali mnie za martwą... to tak na wszelki wypadek.

– Ja mogę iść. – oferuje Joy.

– Nie wiesz nawet gdzie i czego szukać. Zajmie ci to więcej czasu.

– Poradzę sobie. – upieram się. Robię to dlatego, że chcę się w końcu na coś przydać i czymś się zająć.

Crepusculum patrzy na mnie dłuższą chwilę. Zastanawia się. Analizuje. Ocenia moje szanse.

– W porządku. – ustępuje w końcu. – Ale pójdiesz w nocy i weźmiesz czarną koszulę, zlejesz się lepiej z otoczeniem.

Kiwam głową.

– I weź coś jeszcze ze skrzyni. – mówi.

– Co takiego?

James uśmiecha się krzywo.

– Brzytwę.



Zapada zmrok.

Następuje to szybciej, niż przypuszczałam, jak się okazuje przebiegliśmy z Joy'em znacznie większą trasę, niż mi się wydawało. James zaprowadził nas do swojej kryjówki. Nie na plaży, choć przebyliśmy spory kawałek wyspy, ale w jej okolicy. Po południowo-wschodniej stronie znajduje się wiele obniżień terenu. Nasze schronienie znajduje się w wąwozie, tak porośniętym drzewami, że gdyby Crepusculum nam go nie pokazał, nie mielibyśmy pojęcia o jego istnieniu. Mimo to staję na warcie, a ja nie mam mu tego za złe, bo zdecydowanie nie chcę się obudzić na odgłos strzału, wymierzonego w moją głowę, szczególnie, że jestem aż nazbyt świadoma bliskości obozu wroga.

Ja i Joy układamy się do snu nieopodal siebie. Jednak, choć jestem zmęczona, błoga nieświadomość nie nadchodzi.

– Śpisz? – szepcze Joy. Już nie płacze, ale jego głos nie brzmi wcale pewniej.

– Nie. – odpowiadam.

Chłopiec przez chwilę milczy.

– Ale nie znajdą nas, prawda? – pyta w końcu.

– Myślę, że jest szansa na to, że przeżyjemy. – mówię, bo w istocie tak sędzę. – Wyspa nie jest taka mała, jak ci się wydaje. Możemy się na niej ukrywać przez wieczność.

– Ale... co ze statkiem? Tym pasażerskim, o którym mówiłaś? Przecież nie zacumuje niepostrzeżenie. Ani my nie dostaniemy się niezauważeni na pokład.

Tymi słowami Joy potwierdza wszelkie moje obawy.

Bo, nawet jeśli statek już tu zmierza, a my będziemy się ukrywać przez następny tydzień, to Beckwith i jego ludzie wsiądą na pokład. Albo my, albo oni.

– Jeśli statek przybędzie – mówię, kładąc nacisk na słowo „jeśli”, bo, niezależnie od naszych nadziei, nie mamy pewności czy wyruszył tym razem. – to tamci wsiądą na pokład i odpłyną. My nie będziemy już się musieli ukrywać, tylko czekać na kolejny.

– A kiedy przybędzie kolejny?

– Za rok. – mówię. – Albo za dwa.

Nie chcę go martwić, że jeśli tym razem odwołano rejs pasażerski, będziemy musieli pozostać w ukryciu przez dwanaście miesięcy, a potem czekać może i kolejne do następnego, bo zdarzały się przypadki, że statek nie wypływał przez cały rok. Sama nie chcę o tym myśleć.

Joy nie odzywa się już więcej, a po chwili słyszę, że jego oddech jest równy, a więc zasnął.

Sama nie mogę spać niemal całą noc, otwierając szeroko oczy po usłyszeniu choćby najcichszego szelestu. Gdy już zasypiam, śni mi się Beckwith, który przystawia lufę strzelby najpierw do głowy Joy'a, potem Jamesa i pyta kogo ma zabić najpierw. A potem strzela raz za razem, a oni obaj padają martwi w mieszających się ze sobą kałużach krwi.



Poznaję okolicę, w której w końcu się znaleźliśmy.

James prowadzi mnie na około, żeby nie natrafić czasem na patrol wysłany do lasu przez Beckwitha. Po dłuższym marszu docieramy w pobliże obozowiska, omijamy je jednak bardzo szerokim łukiem i zmierzamy w stronę naszej plaży od zachodu.

Po długich namowach Joy zgadza się poczekać w głębi lasu, podczas gdy ja i Crepusculum zbliżamy się do plaży. Powoli zapada zmrok.

James daje mi umówiony znak ręką – ustaliliśmy, że bezpieczniej będzie, jeśli nie będziemy się do siebie odzywać, a i system gestów, jakim mieliśmy się porozumiewać, był dość ograniczony, aby nagły ruch nie wzbudził podejrzeń, jeśli ta część plaży i lasu była obserwowana przez ludzi Beckwitha.

Wynurzam się z lasu, podczas gdy Crepusculum pozostaje przyczajony na jego skraju, obserwując i samemu nie będąc przy tym zauważonym. Jeśli coś pójdzie nie tak, zawróci, znajdzie Joy'a i razem się ukryją. Mam ogromną nadzieję, że nie będzie to konieczne.

Noc już zapadła, a ja niemal się z nią zlewam. Przed wyruszeniem zamieniliśmy się z Jamesem koszulami. Czarna była na mnie tym razem niemal dobra, głównie przez to, że jej dolna część została oderwana i służyła mi za bandaż. Crepusculum z kolei wyglądał jak żebrak znacznie bardziej, niż dzień wcześniej, nie mając jedynie podartych ubrań, ale również poplamione błotem i zaschniętą krwią.

Mam ochotę rzucić się biegiem w stronę szałas, ale powstrzymuję się ze wszystkich sił, żeby nie zwrócić na siebie niechcianej uwagi. Przemieszczam się powoli, co niemal doprowadza mnie do szału. Gdy w końcu udaje mi się dostać do szałas, wypuszczam z płuc od dłuższej chwili wstrzymywane powietrze.

Ludzi Beckwitha jeszcze tu nie było, bo wszystko jest dokładnie tak, jak pozostawiliśmy. Pospiesznie kucam na piasku i otwieram skrzynię.

W środku znajduje się znacznie więcej, niż tylko ubrania. Z tego, co mi wiadomo, James miał jeszcze jakieś skrzynie z rzeczami, ale to w tej znajdowało się to, czego było nam potrzeba. Wyjmuję pospiesznie jego płaszcz, upchany na samą górę i układam na nim wszystko, co kazał mi zabrać. Choć przetrząsam kufer i ze wszystkich stron szukam ukrytych skrytek, okazuje się, że Crepusculum mówił prawdę i nie miał przy sobie więcej broni. Szablę i pistolet musiał trzymać w jakiejś innej skrzyni. Jaka szkoda.

Owijam zabrane przedmioty w kilka koszul, spodni i brunatnoczerwony płaszcz. Właściwie sędzę, że lepiej byłoby zabrać całą skrzynię, jednak sama jej nie uniosę, a przychodząc tu z Jamesem ryzykowalibyśmy zauważenie. Pozostawiam więc resztę rzeczy poukładanych w idealnym porządku, tak, jakbyśmy naprawdę byli martwi, a to były pozostałości po życiu jakie wiedliśmy tu przez blisko miesiąc.

Mam już się zabierać, ale przypominam sobie o swojej kurtce. Nieużywana od dawna z powodu panujących na Dali upałów, leży zwinięta w kącie. Wcześniej służyła mi za poduszkę.

Zabieram ją pospiesznie i wychodzę.

Minie wiele czasu, nim tu wrócimy. Tęsknym spojrzeniem obrzucam morze, które było mi równocześnie pociechą i przekleństwem w ostatnim czasie.

I wtedy omal nie upuszczam trzymanego tobołka. W oddali widzę kształt, jakiś ciemny, niewyraźny. Maleńki.

Ale z każdą chwilą, gdy wyteżam wzrok, dostrzegam go coraz wyraźniej. Zarys masztów i żagli.

Na horyzoncie widać statek.

Idę bardzo powoli, choć całe moje ciało aż rwie się do biegu. W końcu otaczają mnie drzewa, a ja czuję się odrobinę bezpieczniej, choć wiem, że wcale tak nie jest.

Crepusculum czeka na mnie. Daje mi znak, żebym ruszała, a sam już się odwraca.

Łapię go za rękaw i trzymam. Mocno.

Odwraca się i patrzy na mnie zaskoczonym wzrokiem.

Wskazuję palcem na plażę, na morze, choć z miejsca w którym stoimy nie może zobaczyć statku. James jedynie marszczy brwi, nie rozumiejąc.

Opuszczam rękę zrezygnowana. Chce mu powiedzieć, ale nie mogę się odezwać. James rozgląda się uważnie, szuka jakiegokolwiek śladu ruchu, po czym przysuwa się do mnie i pochyla.

– O co chodzi? – szepcze mi wprost do ucha, tak cicho, że z trudem rozróżniam słowa. – Musimy iść.

– Statek. – mówię równie cicho.

Crepusculum patrzy na mnie, jakby zastanawiał się czy aby na pewno dobrze usłyszał.

– Statek tu płynie. – powtarzam. Muszę stać na palcach, żeby do niego sięgnąć i niespodziewanie przypominają mi się wydarzenia sprzed kilku dni, kiedy tańczyliśmy na piasku. Kręcę głową, próbując pozbyć się nagłych wspomnień.

James myśli zaskakująco jasno, jak na kogoś, kto powinien był właśnie przeżyć szok.

– Trzeba rozpalić ognisko. – mówi.

– Zobaczą nas.

– Musimy... do cholery. – mam wrażenie, że zaraz zaczniesz wrzeszczeć z frustracji.

– Nie możemy nic zrobić. Albo rozpalimy ognisko, statek nas zobaczy, ale ludzie Beckwitha również, albo nic nie zrobimy i będziemy się ukrywać nie wiadomo jak długo.

– Podłożymy ogień i uciekniemy. – mówi James. – Będą wiedzieć, że któreś z nas żyje, ale to bez znaczenia...

Nie kończy, bo znów ciągnę go za rękaw. Wskazuję palcem na coś za nim, czego nie może dostrzec, odwrócony tyłem.

Crepusculum odwraca się i widzi to, co ja.

Dawna załoga „Aquarius” również zauważyła nadpływający statek. Oni także wiedzieli, że powinni rozpalić ogień i zrobili to, wyręczając nas i oszczędzając trudności.

Choć powinniśmy uciekać, stoimy dłuższą chwilę tuż obok siebie i patrzymy jak płomienie tańczą i skaczą w stronę nieba w niemej obietnicy wolności.

*Miesiąc 1, tydzień 4, dzień 1
na Dali*

Czy można mieć zbyt wiele szczęścia w nieszczęściu? Czy mając więcej szczęścia, niż się na to zasługuje, można prosić o jeszcze więcej?

Może po prostu to twój cel, może ty chcesz mnie ocalić. Może to wcale nie szczęście, może coś większego.

Może masz wobec mnie jakiś plan. Do czegoś jestem ci potrzebna.

Czy to w ogóle możliwe... wodo?

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Z ZASKOCZENIA

– Znaleźli nasz szałas. – oznajmia Crepusculum, niespodziewanie wyłaniając się zza drzew.

Jest gładko ogolony i ma na sobie swój kapitański płaszcz. W niczym już nie przypomina obdartego żebraka. Znów jest sobą.

– I tak długo im to zajęło. – stwierdzam, choć czuję ukłucie żalu. Besztam się za to głupie przywiązanie do sterty połamanych kawałków pokładu i podartego żagla, z których zrobiliśmy schronienie, służące nam niemal miesiąc. – Zabrali coś?

– Znaleźli skrzynię. Przetrzęsnęli ją, ale zdaje się, że nie znaleźli nic interesującego. Strasznie przy tym klęli.

– Zostały tam właściwie same ubrania. Nie uważasz, że mogą to uznać za podejrzane?

– Nie. – stwierdza Crepusculum z namysłem. – raczej uznają, że jestem jednym z tych bogatych snobistycznych kapitanów, który ma osobną skrzynię na ubrania, osobną na buty, na kapelusz i na każdą inną zbyteczną rzecz.

– Buty też były w tamtej skrzyni.

– Ale nie było kapelusza.

– Skąd wiedzą, że to na pewno pana skrzynia? – pyta Joy.

– Bo była podpisana. – mówi Crepusculum, a ja przypominam sobie wyryte na wieku eleganckie litery, na które w pierwszej chwili nie zwróciłam nawet uwagi. Zresztą, na statku mógł być ktoś jeszcze z takimi samymi inicjałami. – Wiedzą, że ją znaleźliśmy i nie jest pełna, bo niektóre rzeczy podarły się lub zniszczyły.

– Czyli nic nie zabrali?

– Zabrali, oczywiście. – ciągnął kapitan. – Beczkę z rumem.

– Beczkę z rumem? – otwieram szeroko oczy.

– Skąd wzięli beczkę z rumem? – wtrąca Joy.

– Z naszego obozu. Więcej nie musisz widzieć. – wyjaśniam pospiesznie, bo w głowie formuje mi się już pewien chory zarys pomysłu.

– Poza tym – kontynuuje James. – wiedzą już, że nie żyjecie. Poszli to sprawdzić z samego rana i zareagowali nad wyraz entuzjastycznie na widok poprzecinanego sznurka i kilku kropel krwi. Jak tym ludziom niewiele trzeba do szczęścia. – stwierdza i siada obok nas na ziemi.

– Czy to nie jest dla nas idealna okazja? – pytam.

– Na co?

– Żeby się ich stamtąd pozbyć. – mówię niecierpliwie. – Statek przypłynie tu za niedługo. Jeśli to oni na niego wsiądą, będziemy tu uwięzieni przez kolejny rok.

– Reyno, nas jest troje... jeśli nie liczyć Jonathana to dwoje. A ciebie, nie obraż się, ale zabiją od razu. Sam nie utłukę... ilu? Czternastu?

– Teraz to już chyba jedenastu. – wtrąca Joy.

– To i tak za dużo. Zresztą oni mają broń.

– Myślisz, że nie poradzimy sobie z jedenastką pijanych marynarzy? – pytam, przekrzywiając głowę.

– Pijanych? – James dziwi się, ale już po chwili zdaje się, że rozumie, o czym myślę.

– Mówisz, że znaleźli rum. I, że sądzą, że wszyscy nie żyjemy. Nie będą chcieli tego oblać?

– Oczywiście, że tak, to przecież prości ludzie, udający zahartowanych żeglarzy, którzy są na tyle zdesperowani, żeby wypływać na te wody w pogoni za odrobiną bogactwa. Nie zdziwiłbym się, gdyby po powrocie do domów schlali się w trupa. Nie zdziwię się również, jeśli już się uchlali.

– Możemy ich wziąć z zaskoczenia. Jesteśmy ostatnim, czego mogliby się spodziewać. I co z tego, że mają broń. Pijani chybią, ja postaram się trafić.

Entuzjazm Jamesa gwałtownie ostyga.

– Jefferson się nie upije. Cokolwiek by się nie działo, będzie chciał zachować trzeźwość umysłu. – zauważa.

– Ale z jednym chyba sobie poradzimy... prawda?

Kapitan zdaje się poważnie analizować nasze możliwości.

– To może się udać. – mówi Crepusculum. – Przyda nam się twoja nowa umiejętność, jeśli chodzi o rzucanie nożem. Choć wolę, żebyś tego nie robiła. Spróbujesz rzucać czymkolwiek innym, nóż może ci się przydać do obrony, jeśli cię dopadną.

James mówi poważnie, ale ja sama nie jestem pewna, czy chybienie za każdym razem można uznać za nową umiejętność. Mimo tego kiwam z entuzjazmem głową. Joy też wydaje się być podekscytowany.

– Weźmiemy ich z zaskoczenia. – ciągnie. – Ale ty, Jonathan, nie pójdziesz z nami.

Szeroki uśmiech Joy'a niemal od razu znika z jego twarzy.

Podekscytowanie szybko zamienia się w strach, kiedy stoję w cieniu drzew zupełnie sama i czekam aż James wróci z informacjami. Nóż przypięłam do pasa, świadoma, że mogę nie mieć okazji sięgnąć po niego do buta. Niepokoi mnie jednak fakt, że Crepusculum jest uzbrojony jedynie w nóż, który, jak sam zauważył, nie nadaje się do samoobrony.

– W porządku. – odzywa się za mną, a ja podskakuję ze strachu.

Prowadzi mnie przez las. Ciężko stawiać mi kroki, kiedy kieszenie mam do pełna wyładowane kamieniami. Jeśli nie mogłam rzucać nożem, trzeba było znaleźć coś innego i najlepiej ogólnodostępnego, a kamieni mieliśmy pod dostatkiem. Nie mogłam nimi wyrządzić nikomu jakiejś drastycznej krzywdy, ale liczyłam, że w obozie uda mi się znaleźć jakąś lepszą broń.

– Większość śpi. Jefferson jest w namiocie. – informuje kapitan. – Kiloro jeszcze siedzi przy ognisku, ale wyglądają na zupełnie zalanych.

– A co, kiwają się?

– Nie, śpiewają o tańczącym Jeffersonie. I chyba coś o jeździe na tygrysach.

Parskam cicho śmiechem, szybko jednak się opanowuję. Nie powinniśmy się odzywać, nie powinniśmy wydawać nawet najcichszych odgłosów, za blisko jesteśmy obozowiska.

– Zajmę się najpierw nimi. Istnieje jednak ryzyko, że podniosą alarm.

– Odwrócę ich uwagę. – mówię, przekładając między palcami większe kamyki. Łudzę się, że może, jeśli bardzo się postaram, zrobię komuś jakąś poważniejszą krzywdę.

Właściwie to proponowałam żeby rzucać kokosami, jako że mogą one zabić dorosłego mężczyznę, ale szansa, że rzucę w kogoś z siłą równą spadającemu z palmy kokosowi, była nikła. A prawdopodobieństwo, że inny kokos rozłupie mi czaszkę, gdy za długo będę stać pod drzewem, niepokojąco wysokie.

Mamy się już rozdzielić, ale jest jeszcze jedno pytanie, które chcę zadać. Łapię go więc pospiesznie za ramię.

– Widziałeś statek? – pytam.

– Tak. Płynie tutaj.

Nie potrafię nie zastanawiać się, jak to możliwe. Czy byłam nieprzytomna dłużej niż mi się zdaje? Czy źle wyliczyliśmy, kiedy ma wypłynąć? Tak, czy inaczej, już zmierzał na Dale, tydzień wcześniej, niż wynikało to z naszych obliczeń.

Część niepokoju ulatnia się. Możemy być uratowani, jeśli tylko nasz plan się powiedzie.

Odwracam się. Moim zadaniem jest wspiąć się na drzewo i obserwować. Przynajmniej na samym początku. Ale jakoś nie mogę.

– James? – odzywam się raz jeszcze.

Crepusculum kieruje na mnie pytający wzrok.

– Cieszę się, że to ciebie uratowałam. – mówię, uświadamiając sobie nagle, jak głupio to brzmi.

Kącik ust Jamesa wykrzywia się w półśmiechu.

– Ja też się cieszę, że to akurat z tobą przyszło mi tu utknąć. – zapewnia.

Nie jestem pewna czy mogę mu wierzyć, choć świadomość, że możemy nie przeżyć najbliższych kilku minut sprawia, że jestem bardziej skłonna mu zaufać.

Jak dotąd byłam pewna, że wszelkie przejawy uprzejmości z jego strony są kierowane faktem, iż nie miał bladego pojęcia o tym, w jaki sposób znalazłam się na „Aquariusie”, a gdy już się dowiedział, czuł się odpowiedzialny za mnie i za to, żebym cała i zdrowa wróciła do Majaru. Przez myśl mi nawet nie przeszło, że mógłby mnie lubić. Szczególnie wówczas, gdy przed oczami stawały mi wydarzenia ze statku.

Ale przecież tyle się zmieniło. Tyle czasu spędziliśmy na tej wyspie. Musieliśmy nauczyć się wzajemnie tolerować i nauczyć się sobie ufać.

Właściwie, ja sama polubiłam Jamesa. Uświadomiłam sobie to chyba wtedy, gdy staliśmy w wodzie i wzajemnie się nią ochlapywaliśmy... a może jeszcze wcześniej. Może to było wtedy, gdy tańczyliśmy na piasku.

Potrząsnęłam głową. Miałam się wspiąć na drzewo i obserwować, nie rozpraszać.

– Jeszcze możemy się wycofać. – proponuje James, a ja ze zdziwieniem odnotowuję, że wciąż stoi w tym samym miejscu.

– A chcemy? Chcemy spędzić tu czas do następnego rejsu, czekając, niepewni, czy kolejny statek w ogóle przypłynie? Czy może zamieszkamy tu na stałe i zostaniemy pierwszymi w historii Dalijczykami?

– Wyobraź to sobie. Trzydzieści lat później jakiś statek trafia na Dalę i spotyka trzyosobowe plemię rdzennych mieszkańców, którzy nie dość, że mówią po majarsku, to jeszcze są przedstawicielami trzech odrębnych kultur.

Tym razem muszę zatkać usta dłonią w obawie, że roześmieję się zbyt głośno i zostaniemy odkryci. Ale czy, gdyby mieli nas odkryć i usłyszeć, nie zrobili by już tego? Od dłuższej chwili stoimy tu i rozmawiamy, jakbyśmy wcale nie byli na skraju obozowiska wroga. Oni naprawdę muszą być pijani.

– Idź już. – ponaglęłam, aby nie przeciągać tego w nieskończoność.

– Zatem do dzieła. – mówi Crepusculum i rusza przed siebie. Ja natomiast zręcznie wspinam się na drzewo. Mam z niego doskonały widok na obóz. Widzę

dokładnie to, co opisał kapitan: kilkoro marynarzy leży koło ogniska, jak worki ziemniaków. Dwoje jeszcze siedzi, o ile można to tak ująć, trzyma się za ramiona i coś bełkocze.

Zza linii drzew wychodzi Crepusculum. Stara się poruszać nie wydając najmniejszego odgłosu. Jest już niemal w połowie drogi dzielącej go od ogniska, gdy jeden z byłych załogantów „Aquarius”, zapewne wiedziony instynktem, nagle się odwraca.

Jego twarz zastyga w wyrazie całkowitego przerażenia.

*Miesiąc 1, tydzień 4, dzień 1
na Dali*

Jeśli to woda jest moją siłą, czy mogę liczyć na siłę z dala od wody?

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

RZECZY IDĄ ŹLE

Pamiętając, jak bardzo zabobonni byli żeglarze na „Aquariusie” i jak bardzo bali się mnie tylko dlatego, że próbowałam uleczyć jednego z nich ziołową maścią, uzupełniłam nasz plan w kilka dodatkowych szczegółów.

Odczuwam ogromną satysfakcję na myśl, że większa część owego planu jest mojego autorstwa. Niepokoję się jednak, że coś może pójść nie tak, bo jak niby mielibyśmy pozbyć się jedenastu facetów, choćby nie wiem jak bardzo pijani byli?

Choć tamci się odwrócili, Crepusculum wciąż idzie przed siebie. Namówiłam go, żeby założył swój płaszcz i świeże ubrania, aby prezentował się równie doskonale jak na statku. Obawiam się również, że powiedziałam to na głos.

Crepusculum zmarszczył brwi, a następnie, ku naszemu ogromnemu zdziwieniu, szeroko się uśmiechnął.

– Zatem uważasz, że na „Aquariusie” prezentowałam się idealnie? – spytał, nie przestając się śmiać.

– Na pewno lepiej niż teraz. – parsknęłam, wciąż nie dowierzając, że to powiedziałam.

Przez resztę czasu, gdy dopracowywaliśmy cały plan, Crepusculum siedział i czyścił swoje buty na perfekcyjny połysk, wciąż uśmiechając się pod nosem.

Gdy teraz idzie w stronę siedzących i wytrzeszczających z przerażenia oczy marynarzy, wygląda dokładnie tak samo, jak wtedy na statku. Włosy rozwiewa mu wiatr, który potrząsa również połami czerwonego płaszcza. Oni myślą, że ich byłego kapitana pożarły tygrysy. Myślą, że widzą ducha.

Szczególnie, że James zdaje się nimi nie przejmować. Po prostu idzie przed siebie. Staje tuż nad jedynymi przytomnymi obozowiczami, a ci zadzierają głowy w górę, bo Crepusculum jest niesamowicie wysoki, szczególnie dla siedzących na ziemi żeglarzy. Łapie jednego z nich za kołnierz i podnosi do pionu, a potem zdziela go w twarz tak mocno, że nie mam wątpliwości, iż tamten zobaczył gwiazdki.

Drugi patrzy na Jamesa oniemiały, ale jest o wiele bardziej przytomny od swojego towarzysza. Zaczyna budzić pozostałych. Nim Crepusculum rąbie go w głowę rękojeścią noża, który rzekomo nie nadaje się do obrony, tamten wydaje z siebie opętańczy krzyk.

James poradziłyby sobie bez problemu. Związałyby całe to towarzystwo i zaatakował Jeffersona z zaskoczenia. Ja nie musiałabym się nawet wychylać. Ale ten krzyk sprawił, że jest zaledwie w połowie pracy, gdy z namiotu Beckwitha wybiega jak najbardziej trzeźwy Fabius – nawigator i jego osobisty ochroniarz.

Przez chwilę patrzy na kapitana Crepusculum z niedowierzaniem.

– Co, do gniewnego Aquariususa... – udaje mi się usłyszeć, ale zaraz potem z namiotu wybiega sam Beckwith i jeszcze jakiś marynarz.

Oni są całkowicie świadomi tego, co się dzieje. Jak mogliśmy tak się pomylić? Jak mogliśmy nie przeliczyć dokładnie ilu z nich siedzi przy ognisku?

To bez znaczenia, bo Beckwith wraca na moment po strzelbę, a Fabius już rusza w stronę kapitana.

Choć coś ściska mnie w gardle ze strachu, zeskakuję z drzewa i najdyskretniej jak tylko potrafię, zakradam się na tył namiotu. Nie mam wątpliwości, że James mnie zobaczył, teraz jednak nie patrzy w moją stronę, by nie ujawnić tamtym mojej obecności.

Analizuję szybko, co mogę zrobić. Mogłabym rzucić w Fabiusa, bo wiem, że jest silny i, jeśli dorwie Jamesa, to szanse na pewno nie będą równe. Z drugiej jednak strony, jeśli ruszy w moją stronę, mogę nie dać rady uciec.

Celuję więc w tego drugiego. Żeglarz wydaje z siebie okrzyk zaskoczenia, gdy kamień, wcale nie lekko, uderza go idealnie w tył głowy.

– Co się dzieje? – warczy Fabius.

– Nie wiem... on we mnie czymś uderzył.

– Jakim cudem, skoro stoi kilka metrów od ciebie, idioto?

– Przecież to duch – w jego oczach czai się autentyczny strach. – może poruszać przedmiotami siłą umysłu!

To dobrze – myślę. – Kolejny zabobonny żeglarz. Idealnie.

Rzucam w niego ponownie.

Tym razem się odwraca, a mnie zalewa fala strachu.

Co ja robię? Czy ten cały idiotyczny plan to naprawdę był mój pomysł?

– To ta wiedźma! – mówi. – Powstała ze zmarłych i wskrzesiła tego cholernego Crepusculum!

– To ją zabij raz jeszcze. – warczy Fabius i rusza w stronę Jamesa.

Powinnam rzucać się do ucieczki, ale jakoś tak nagle nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

Marynarz dopada mnie w ułamku sekundy i zaciska rękę na gardle. Czuję jak osuwa mi się ziemia spod nóg... nie, tak naprawdę to ja nagle znajduję się w powietrzu.

Część mnie chce walczyć, wierzgać i kopać, ale druga jest sparaliżowana ze strachu. Zaraz mnie udusi.

– I co zamierzałaś zrobić, wiedźmo? – pyta. – Zabić mnie kamykiem?

Choć panika zaćmiewa mój umysł, w porę przypominam sobie o nożu. Waham się jednak. Miałabym go zabić? Miałabym zabić kogokolwiek? Myśl, że on zaraz zabije mnie i to bez najmniejszych wyrzutów sumienia nie sprawia, abym zmieniła zdanie. Życzenie komuś śmierci, a zadanie jej, okazują się być dwiema zupełnie odmiennymi rzeczami.

Nagle wpadam na najgłupszy, albo i najmądrzejszy pomysł, jaki mógłby mi przyjść do głowy w zaistniałej sytuacji. Wierzgam i z rozmachu kopię go dokładnie między nogi.

Słyszę zduszony wrzask, a ręka na moim gardle nagle puszcza.

Ląduję na ziemi z łoskotem.

Podnoszę się szybko i zauważam, że napastnik klęczy na piasku z wyrazem autentycznego bólu na twarzy. Sięgam po nóż, żeby za przykładem Jamesa rąbnąć go w głowę i wykluczyć z gry, jednak aby to zrobić, musiałabym podejść. A to nie wydaje mi się specjalnie bezpieczne. Nie mogę też rzucić w niego ostrzem, w obawie, że stracę w ten sposób swoją jedyną naprawdę skuteczną broń.

Ryzykuję i patrzę jak radzi sobie James.

Choć Fabius jest groźnym przeciwnikiem, zawdzięcza to głównie mięśniom i brutalnej sile. James jest zwinny i sprytny. Gdy byłam zajęta drugim z marynarzy, zdjął płaszcz, który nieco ograniczał mu zakres ruchów. Udaje mu się z łatwością unikać najbardziej bolesnych ciosów. Mimo to widzę, że z rozciętej wargi cieknie mu krew, musiał zatem oberwać w twarz i to dość mocno.

Fabius właśnie usiłuje go kopnąć, jednak Crepusculum w porę chwyta go za nogę. Choć jego przeciwnik prędko wyszarpuje ją z uścisku, but zostaje w rękach Jamesa.

– Ohyda. – mówi kapitan i rzuca but, zdaje się na oślep, jednak to niemożliwe, bo trafia mojego przeciwnika w głowę. Ten natomiast znów rzezi z bólu i, najprawdopodobniej, obrzydzenia.

Nie sądzę, by stanowił problem, więc ruszam w stronę okrążających się kawałek dalej kapitana i nawigatora. Zamieram jednak w pół kroku.

Nagle dociera do mnie kilka rzeczy naraz.

Po pierwsze: Crepusculum leży na piasku.

Po drugie: Fabius kopie go z całych sił w żebra.

Po trzecie: między nami, niemal dokładnie na środku, stoi Beckwith.

I po czwarte: trzyma wycelowaną w nich strzelbę.

– Fabiusie, postaw proszę pana Crepusculum do pionu. – mówi, a mnie coś mrozi na dźwięk tego głosu.

– On nie jest duchem. – oznajmia Fabius, podnosząc Jamesa brutalnie do pionu.

– Oczywiście, że nie jest, ale zaraz będzie trupem. – oznajmia były pierwszy oficer. – Zastanawiam się tylko czy zabić najpierw jego, czy jego dziewczynę.

– Wiedźmę. – charczy gdzieś za mną mój przeciwnik.

– Niech będzie.

Nie jestem w stanie się poruszyć. Przez moją głowę przebiega setka myśli. Dotyczą one noża, który zaciskam w dłoni z całych sił i który mogłabym rzucić, ale po co? Beckwith może wystrzelić w każdej chwili. A szansa, że trafię pod taką presją... nie było szansy, musiałabym mieć niesamowite szczęście. Łudzę się, że James jakoś wyswobodzi się z uścisku Fabiusa, może rzuci się na swojego dawnego zastępcę, ale to wydaje się niemożliwe. W tej chwili nawet go nie widzę.

Beckwith unosi strzelbę i namierza cel.

Uchylę się? To możliwe? Czy mógłby chybić? Nie, jestem za blisko.

Oddycham głęboko. Niespodziewanie czuję radość, że skoro wszystko szlag trafił, to przynajmniej ja zginę pierwsza. Nie będę patrzeć, jak zabija kapitana. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczę w życiu nie będzie Crepusculum wykrwawiający się na śmierć.

Beckwith wydaje z siebie okrzyk zaskoczenia, a strzelba wylatuje mu z rąk.

Nie wiem jakim cudem mi się to udaje, ale rzucam się w stronę broni i zaciskam na niej ręce, po czym znów odskakuję. Oficer jest przez chwilę w szoku, zarówno z powodu tego, że coś wytrąciło mu broń z rąk, jak i tego, że teraz to ja ją trzymam.

Ale ja sama wiem już co się stało, bo w lesie za Beckwithem widzę kształt. Cień ludzkiej sylwetki. Dwunastoletniego chłopca, który miał się trzymać z daleka. Pod nogami pierwszego oficera „Aquarius” leży orzech kokosowy.

Mam ochotę krzyknąć, że od początku mówiłam, że to muszą być kokosy.

Waham się, nie wiedząc do końca, co ma się teraz stać. Po mojej prawej mój niedawny przeciwnik podnosi się z ziemi z wyrazem wściekłości na twarzy. Przedemną stoi Beckwith, zaczyna się zbliżać wolnymi krokami. W końcu widzę też Jamesa, trzymanego przez nawigatora w żelaznym uścisku, który wrywa się, jak opętany.

Chciałabym móc sprawić, że się uwolni i oddać mu broń. Oddać mu całą odpowiedzialność. Ale nie mogę, tak samo, jak nie mogę wmawiać sobie, że

możemy wyjść z tego żywi w jakikolwiek inny sposób.

Podnoszę strzelbę i, choć nie mam bladego pojęcia o broni, wiem, że muszę nacisnąć spust. I wiem też, że z tak bliskiej odległości nie mogę chybić.

– Dziecko, oddaj mi broń. – mówi spokojnie Beckwith, wyciągając do mnie rękę, ale w jego oczach dostrzegam przebłysk paniki. – Tylko zrobisz sobie krzywdę.

Biorę wdech. Mój palec wędruje po spuście.

– Pomyśl tylko, jakby było niefortunnie, gdybyś chybiła i przez przypadek trafiła swojego wspaniałego kapitana, prawda? Nie chcesz tego.

Chybię. Jestem tego pewna. Chybiałam za każdym razem rzucając nożem, chybię więc też strzelając.

Ale te dwie rzeczy różnią się od siebie zupełnie, więc strzelam z idiotyczną pewnością, że wiem, co robię.

I chybiam.

Celowałam, jak mi się zdawało, w serce, ale, cóż, trzymałam broń palną po raz pierwszy w życiu. Zamiast w tors, trafiłam w głowę.

Bryzga fontanna krwi i Beckwith pada na piasek, by już nigdy więcej się nie podnieść.

Właśnie zabiłam człowieka. Jeszcze chwilę temu nie chciałam tego zrobić z jego ochroniarzem, a teraz... zostałam morderczynią. Powinam czuć wyrzuty sumienia, zgrozę, obrzydzenie do samej siebie, strach, niechęć, cokolwiek. Ale jedyne uczucie jakie mnie wypełnia, to wolność.

Podnoszę wzrok na Jamesa. Ten szarpie się w uścisku swojego napastnika bardziej niż wcześniej. Drugi z pozostałych marynarzy rusza w moja stronę.

Co z tego, że jego przywódca nie żyje. Rozzłościłam go. Zabije mnie.

Ale tym razem to ja mam przewagę. Odwracam się do niego i celuję, a przynajmniej staram się sprawiać takie wrażenie. Działa, bo tamten nagle zamiera.

Ja też nieruchomieję, gdy widzę, że Fabius ściska w rękę nóż Jamesa. Nim zdążę zrobić cokolwiek, ten dźga go na oślep i trafia w ramię. James wrzeszczy,

gdy nawigator wyciąga ostrze i celuje ponownie, tym razem w serce. Niespodziewanie James robi dokładnie to, co ja chwilę temu. Z rozmachu kopie Fabiusa między nogi, jednak jego podbite buty sprawiają, że uzyskuje znacznie lepszy efekt.

Udaje mu się bez trudu wyswobodzić i nie wiem, skąd bierze siły, by wstać i do mnie podejść. Niemal bezwiednie wciskam mu w rękę strzelbę.

– W porządku? – pyta.

– To ciebie powinnam o to spytać. – stwierdzam, bo rękaw koszuli bardzo szybko przesiąka krwią.

Fabius wyje z bólu, a jego towarzysz wciąż stoi i patrzy na nas niepewnie.

– Dasz się związać, czy mam jej oddać broń i pozwolić do ciebie strzelić? – pyta Crepusculum, a w oczach żeglarza dostrzegam autentyczny strach.

James prowadzi go do pozostałych i skutecznie unieruchamia. Joy podbiega do nas i pomaga mu w pracy.

– Zdaje się, że miałeś się trzymać z daleka. – mówi James.

– Ale... chyba dobrze, że jednak nie posłuchałem, prawda? – pyta chłopiec, spoglądając na mnie.

– Co mogę powiedzieć, skoro uratowałeś mi życie? – pytam, a Joy uśmiecha się do mnie i obejmuje w pasie.

Crepusculum z trudem targa Fabiusa do pozostałych marynarzy i wiąże, jak tamtych. Gdy tylko kończy, dołącza do nas i siada na piasku.

Niepokoi mnie jego rana. Rękaw jest cały przesiąknięty krwią, a on zdaje się nie przywiązywać do tego większej wagi.

Marszczę brwi, a kapitan wędruje za moim spojrzeniem.

– Reyno, wiem, że nie jesteś tak naprawdę medyczką, ale... może mogłabyś mnie pozszywać?

*Miesiąc 1, tydzień 4, dzień 1
na Dali*

*Zdaje się, że czekaliśmy na to. Zdaje się, że jesteśmy ocaleni.
Ale czemu odejście boli aż tak bardzo?*

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

OSTATNIE CHWILE NA DALI

Joy niemal od razu popędził do naszego tymczasowego obozowiska w lesie, gdzie zostawiliśmy wszystko, co tylko udało mi się wydostać ze skrzyni Jamesa.

Oczekując na apteczkę, przyciskam do jego rany zwiniętą koszulę.

– Jeśli chodzi o Jonathana – odzywa się niespodziewanie Crepusculum. – co z nim będzie, gdy już wrócimy? Ma jakąś rodzinę?

– Nie... to znaczy – zaczynam, przypominając sobie, jak rozmawiałam o tym z Henrickiem. – jego rodzice nie żyją, kucharz był jego stryjem i miał go zawieść do ciotki, do Kraterii. Zdaje się, że teraz to jedyna jego krewna, ale on nie wie nawet jak wygląda. W życiu się nie spotkali.

– Może zna choćby nazwisko. Musimy go do niej zabrać. – stwierdza. – Jesteśmy za chłopaka odpowiedzialni.

– Jeśli ten statek nas zabierze, popłyniemy wprost do Kraterii, prawda? – pytam i marszczę brwi z niepokojem, bo pozwijana koszula zbyt szybko przesiąka krwią.

– Bierzesz pod uwagę fakt, że mogliby nas tu zostawić? – Crepusculum unosi brew.

– Po tym, co nas spotkało, biorę pod uwagę każdą możliwość.

Prócz jednej, jednak nie mówię tego na głos w obawie, że uczynię ją realną. Bo, jedyna możliwość, o jakiej nie mogę nawet myśleć to ta, że kapitan wykrwawi się zaraz na moich oczach. A ja nie będę w stanie mu pomóc, choć teoretycznie spoczywa na mnie odpowiedzialność okrętowego medyka.

Gdy Joy wróci... czy nie będzie już za późno?

– Trzymaj. – mówię, wciskając Jamesowi do ręki przesiąkniętą krwią szmatę i pospiesznie wstaję.

– A ty dokąd? – pyta, przyciskając ją na powrót do rany.

– Poszukać apteczki. – rzucam, nawet się nie odwracając. Nie chcę patrzeć na krew, która powinna płynąć w jego żyłach, a nie barwić szkarłatem piasek pod naszymi nogami.

Wpadam jak burza do namiotu dowódcy. Nie dziwi mnie, że Beckwith urządził się tam najbardziej luksusowo, jak tylko było to możliwe, mając do dyspozycji jedynie przyniesione przez morze pozostałości z „Aqariususa”. Nie zwracam jednak uwagi na nic, rzucając się od razu do kilku skrzyń, ustawionych pod ścianą i otwieram jedną z takim rozmachem, że wieko uderza o drewno z okropnym rumorem.

Przetrząsam ją pospiesznie i niemal krzyczę z frustracji, widząc jedynie stertę ubrań. Otwieram kolejną.

Tam znajduję kilka oprawionych w skórę tomiszczy, może dzienników, nie mam czasu sprawdzać, jednak gdy odnajduje ukrytą w niej szablę i rewolwer pospiesznie przechodzę do następnej, świadoma, że to zaginiona skrzynia Jamesa, a nie sądzę, aby miał dwie apteczki. Nieświadomie uśmiecham się na widok kolejnej. To moja skrzynia i wiem, że wewnątrz znajduje się podręczny zestaw medyczny. Przynajmniej o tyle zadbali – aby sprawić pozory, że naprawdę jestem medyczką. A może musieli mnie w nie wyposażyc na bezpośredni rozkaz króla? Nieważne, myślę, porywam niewielką torbę w rękę i wybiegam na zewnątrz. Joy’a nadal nigdzie nie widać.

James niemal leży na piasku. Musi być z nim naprawdę źle, bo, gdy go zostawiałam, jeszcze jakoś trzymał się w pionie. Ale jest przytomny i wciąż patrzy na mnie wyczekująco. Zdaje się, że w ułamku sekundy pokonuję dzielącą nas odległość i rzucam teczkę na piasek, gorączkowo w niej grzebiąc.

Nie ma tam żadnego środka dezynfekującego.

Na chwilę moje myśli opanowuje blady strach, jednak zaraz potem przypominam sobie, jak cieszyłam się ze znalezienia przez nas beczki rumu, bo

wówczas mielibyśmy jakąś substancję odkażającą. Nie śniło mi się wówczas nawet, że rzeczywiście będziemy zmuszeni do użycia go w ten sposób, a już na pewno nie w takich okolicznościach.

Biegnę do beczki z rumem, prosząc w duchu, aby coś jeszcze w niej zostało. Pospiesznie przelewam trochę trunku do manierki i wracam do Jamesa.

– Będzie bolało. – mówię, zabierając się do pracy.

– Jestem tego świadom. – stwierdza James bez emocji.

– Mam na myśli – ciągnę, przykładając do rany bawełniany opatrunek z rumem. James, nieustraszony kapitan Crepusculum, wrzeszczy z bólu. – że będzie cholernie bolało. – kończę.

– Mogłaś dać mi to do wypicia, a nie mnie tym torturować. – mówi mrukiwym głosem, a ja nie mam pojęcia, czy żartuje, czy zaczyna majaczyć.

Gdy nawlekam igłę, ręce drżą mi tak bardzo, że nie wiem czy do rana w ogóle trafię w niewielki otwór.

Za sobą słyszę odgłos stóp biegnących po piasku. Joy klęka koło mnie, zdyszany po szybkim biegu i upuszcza apteczkę.

– Skąd to masz? – wskazuje przybownik medyka.

– Z namiotu Beckwitha. – mówię dziwnym głosem.

W końcu udaje mi się nawlec igłę.

Zaledwie kilka razy obserwowałam, jak mój ojciec zszywa pacjentów. Nie przykładałam wówczas zbyt wielkiej wagi do patrzenia i uczenia się, jak to się robi. Miałam wówczas inne plany, co do swojej przyszłości. Nadal mam inne.

Ale teraz moje marzenia znów dały mi w twarz, bo oto ja, która nigdy nie chciała być medykiem, muszę uratować kapitana.

Zabieram się za szycie.



Gdy wychodzę z dawnego namiotu Beckwitha, zastaję Joy'a siedzącego dokładnie w tym samym miejscu, gdzie go pożegnałam. Zaoferował, że posiedzi na czatach, żebym mogła odpocząć po tym wszystkim, co przeszłam tego dnia. Choć z początku niepokoiła mnie świadomość, że martwe ciało pierwszego oficera „Aquariususa” leży zaledwie kilkanaście metrów od nas w towarzystwie związanej zgrai jego dawnych popleczników, zaskakująco szybko usnęłam.

James zemdlął niedługo po tym, gdy zaczęłam zszywać jego ranę. Brak mi chirurgicznej precyzji, jaką mógłby się pochwalić mój ojciec, zatem, gdy rana się zablizni, będzie wyglądać okropnie. Nie mogłam jednak zrobić nic więcej.

Później, wraz z Joy'em, przenieśliśmy kapitana bliżej namiotu.

Siedząc na piasku, nie mogłam przestać nerwowo zerkać w stronę zwłok, będących wówczas jedynie czarną plamą na tle lasu. Dlatego właśnie Joy zaproponował, że to on będzie czuwał, a mi zasugerował przeniesienie się do namiotu. To jednak niewiele zmieniło, bo obrazy wciąż napływały od mojej podświadomości.

Strzelba wycelowana wprost we mnie.

Chwila szaleństwa.

Broń w mojej dłoni.

Strzał.

I fontanna krwi, gdy strzeliłam.

Czy ja w ogóle kiedykolwiek to zapomnę?

Na chwilę zasnęłam.

Teraz prościej jest mi odwracać wzrok od naszych przeciwników, związanych i pokonanych, oraz ich martwego przywódcy, który zginął z mojej ręki.

James wciąż śpi, Joy jednak zapewnia mnie, że wszystko jest w porządku, gdyż, tak jak prosiłam, wciąż sprawdzał czy kapitan w ogóle oddycha.

– Rey! – krzyczy nagle. – Popatrz!

Odwracam głowę od nieprzytomnego kapitana w stronę morza i widzę już, co tak ożywiło chłopca. Ze statku spuszczone dwie łodzie, które płyną teraz w kierunku brzegu.

– Musimy zejść na dół. – mówię, ruszając prędko po nasze rzeczy, upchane pospiesznie do niewielkiej torby, po czym przypominam sobie, że James wciąż leży nieprzytomny, a zanieśenie go na plażę graniczy z niemożliwym.

– Pobiegnę na dół. – oferuje się Joy. – A ty obudź kapitana.

– Jeśli śpi. – zauważam pod nosem. – Jeśli jest nieprzytomny, może nie być tak prosto.

– Nie masz w apteczce jakiś soli trzeźwiących? – pyta Joy, marszcząc brwi i zarzucając na plecy kamizelkę.

– Nie sprawdzałam.

– Zawsze możesz podłożyć mu pod nos buta tamtego bandziora. Myślę, że ten aromat obudziłby nawet oficera Beckwitha. – rzuca wesoło i zbiega w dół klifu na spotkanie naszym wybawcom.

Podchodzę do leżącego Jamesa i nie wiem, co robić. W końcu potrząsam nim lekko za ramiona.

Ku mojemu zaskoczeniu i uldze, Crepusculum otwiera oczy.

– W porządku? – pytam.

James marszczy brwi, starając się pozbyć resztek sennego otępienia, po czym chyba przypomina sobie o rewelacjach dzisiejszego dnia.

– Chyba tak, ale byłoby lepiej, gdybyś nie ścisnęła mnie za to ramię. – mówi w końcu i spogląda na ranę. Wtedy marszczy brwi jeszcze bardziej.

– Mówiłam, nie jestem medykiem... – odzywam się, wiedząc, że szwy są krzywe i całkowicie amatorsko założone.

– Nie, w porządku. – mówi.

– Płyną do nas dwie łodzie. – informuję, zmieniając pospiesznie temat. – Joy wybiegł im na spotkanie. Dasz radę zejść z klifu?

– Tak. – mówi, choć wciąż siedzi na piasku i pewnie sam nie ma pojęcia czy znajdzie na to siłę.

– To w drogę. – rzucam, zabierając torbę i ruszając w ślad za Joy'em.

*Miesiąc 1, tydzień 4, dzień 2
(ostatni) na Dali*

Nic nas tu już nie trzyma, prócz garści wspomnień, którymi będę karmić się każdego dnia, bo chwile wolności, chwile, kiedy nie czułam żadnych uprzedzeń czy nierówności już minęły. Pora wrócić do świata, który na mnie nie czeka, a do którego należę, bo tak trzeba. Pora wrócić do bycia córką wiedźmy i medyka, popadłego w niełaskę. Bez nazwiska, bez celu, by w ogóle być na tym okręcie.

Czy nie prościej im byłoby mnie zostawić na tej wyspie?

Czy nie prościej byłoby wówczas mnie?

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

„ROSAMUNDA”

Na ląd schodzi czwórka osób: z każdej łodzi po dwie. Jedna z nich, ku memu zaskoczeniu, to kasztanowłosa kobieta.

Patrzą na nas z dystansem, nie wiedząc czego mogą się spodziewać po trojgu ludzi, czekających na nich na plaży. Nie umyka mojej uwadze, że wszyscy oni są uzbrojeni.

Jamesowi jakoś udało się zejść, choć przez niemal całą drogę wspierał się na moim ramieniu. Teraz, zapewne dla zachowania godności, stanął obok całkowicie wyprostowany pozwalając, by łagodny nadmorski wiatr trącał połamami jego płaszcz.

– Kim jesteście? – pyta wreszcie jeden z przybyłych. To wysoki blondyn o włosach przewiązanych na karku wstążką. Zdaje się być nieco starszy od Jamesa, może dwa, trzy lata. Jego proste ubranie nie zdradza, jaką funkcję mógłby pełnić na pokładzie.

– Kapitan James Crepusculum. – James robi krok w stronę przybyłych i wyciąga rękę w stronę blondyna, zaskakująco pewnie, jak na kogoś, kto ledwo zszedł na tą plażę o własnych siłach.

– Obiło mi się o uszy pańskie nazwisko. – stwierdza tamten, ściskając wyciągniętą rękę. – Jak znalazł się pan na tej wyspie? – pyta, unosząc brwi.

– Nasz statek rozbił się o Czerwone Skały. Rozpętał się sztorm i akurat wtedy, mój pierwszy oficer zdecydował się wszcząć bunt na pokładzie. Doprowadził do tego, że skierowano statek ku Złudzie Żeglarza. Reszty może się pan domyślić.

Jego rozmówca kiwa głową w zamyśleniu. Pozostali wciąż spoglądają na nas nieufnie, gotowi odbezpieczyć broń.

– Z całej załogi przetrwaliście tylko wy? – pyta w końcu.

– Nie tylko. Część zbuntowanych żeglarzy również. Mieliśmy z nimi nieco problemów... siedzą obecnie związani na tamtym klifie. – James wskazuje ręką. – Prosimy was o pomoc i transport do najbliższego portu. – dodaje.

– Oczywiście. Nie mógłbym odmówić rozbitkom pomocy. – zapewnia tamten, a jego towarzysze nieco się rozluźniają. – Nie chcieliśmy przyplýwać do wyspy nocą, od razu, gdy tylko zobaczyliśmy ognisko, bo nie byliśmy pewni, co ani kogo zastaniemy na miejscu... a tak przy okazji, kim są pańscy towarzysze?

Czekam, aż usłyszę: nic niewarta medyczka, albo cokolwiek takiego, coś co zaboli, ale odda moją rolę na „Aquariusie”. Ale James całkowicie mnie zaskakuje.

– To Reyna, moja asystentka. I Jonathan, były pomocnik kucharza.

Blondyn obdarza nas ciepłym uśmiechem.

– Daniel Moondrowner. – oznajmia, uściskając dłoń najpierw mnie, a potem Joy’owi. – Kapitan tego wspaniałego statku, który przybył wam z pomocą.

– Pan wybrał sobie to nazwisko, prawda? – wymyka mi się.

Obaj kapitanowie patrzą wprost na mnie. Daniel w taki sposób, że nie mogę odgadnąć, o czy myśli, James z kolei tak, jakby chciał mi przekazać: nie mogłaś zaczekać z takimi pytaniami, aż będziemy na pokładzie i, niezależnie co palniesz, będą musieli nas dowieść bezpiecznie od portu?

Ale niespodziewanie blondyn wybuchu śmiechem.

– Tak. – przyznaje. – Ale niezłe, prawda? Cóż, nie każdy ma takie szczęście do nazwiska, jak pani kapitan. Niektórzy z kolei nie mają go w ogóle...

Rozumiem wtedy doskonale, co ma na myśli. On, tak jak ja, urodził się nikim. Ale ukończył akademię morską. Został kapitanem i przyjął nazwisko. Teraz jest kimś. Ale wciąż pamięta, jak to było nic nie znaczyć.

– To co, zabieracie się z nami? – pyta, wskazując na oczekujące na nas łodzie. Jego załoga już rusza w tamtą stronę.

– Oczywiście. – potakuje Crepusculum, jednak nagle się waha. – Zabierzecie także naszych więźniów?

– Jeśli chcecie. Jednak, skoro to buntownicy i dopuścili się tego, co pan twierdzi, chętnie zostawiłbym ich tu, by zdechli z głodu, albo czegoś innego.

– Szkoda tak pięknej wyspy, aby musiała znosić ich obecność. – stwierdza James. – Chcę żeby stanęli przed sądem.

Daniel kiwa głową.

Gdy jego załoga rusza w górę klifu, ja i Joy pomagamy kapitanowi dojść do łodzi.

– Pan jest ranny. – zauważa Moondrowner.

– Cóż, problemy o których wspominałem, ze zbuntowanymi żeglarzami...

– Mamy na pokładzie medyka. – oznajmia pospiesznie jasnowłosa. – Zajmie się panem, gdy tylko znajdziemy się na „Rosamundzie”.

– „Rosamundzie”? – wymyka mi się, na co James przewraca oczami.

– Nie mój pomysł. – Daniel unosi rękę. – To król wybiera nazwy swoich flagowych okrętów. Ja bym w życiu tak statku nie skrzywdził. Rosamunda to była moja cioteczna babka... ale nie ważne, to całkiem dobra łajba.

Dopiero, gdy dopływamy do okrętu, jestem w stanie dostrzec, jak bardzo jest niesamowity. O wiele większy niż statki transportowe. Niemal cały jego kadłub zdobią misternie wykonane róże. Wpatruję się w nie z zachwytem, na chwilę tracąc kontakt z rzeczywistością.

– Piękne, prawda? – pyta Daniel. – Ale, cóż się dziwić, to statek pasażerski, nie takie dno, jak te obskurne okręty towarowe. A wy z jakiego statku właściwie jesteście?

– My – odzywa się James. – jesteśmy z obskurnego statku towarowego.

– Aha. No cóż... spójrzcie, dopłynęliśmy!

Chwilę później wspinamy się już po spuszczonej drabince na pokład naszego wybawienia.

To dziwne, ale gdy tylko moje stopy dotykają drewnianych desek statku, ogarnia mnie dziwaczne, przytłaczające, klaustrofobiczne uczucie. Niemal...

Niemal, jakbym tonęła.

Nie miałam wcześniej choroby morskiej. Przeżyłam bez niej całą podróż na „Aquariusie”, ale teraz mój żołądek niebezpiecznie się wykręca.

To strach, paniczny strach, sprawia, że mam ochotę zwymiotować.

Oglądam się za siebie tylko na chwilę, patrzę, jak Daniel pomaga Jamesowi wejść na pokład i woła po medyka. Odchodzę i stoję przodem do nadburcia. Zdaje mi się, że stoję na czymś niestałym, jakby cały mój świat naraz zaczął się kołysać. I boję się potwornie, choć powinnam czuć się bezpieczna teraz, gdy Crepusculum jest po mojej stronie. Ale wspomnienia z „Aquariususa” zalewają mnie jak fala. Ostatni dzień na pokładzie. Dzień kiedy niemal utonęłam.

Tego jest dla mnie za dużo.

Wymiotuję za burtę.

Nie wiem jak długo tak stoję: minutę, może pół godziny. Nie sędzę, bym miała coś jeszcze w żołądku, ale potworne uczucie pozostaje. Niespodziewanie ktoś łapie mnie za ramię.

– Pańska asystentka cierpi na chorobę morską? – to Daniel. Ogląda się na Jamesa, siedzącego na pokładowych deskach, dogładanego przez okrętowego medyka. W jego spojrzeniu dostrzegam niedowierzanie.

– Nie. – stwierdza James i skrzywia się, gdy medyk zakłada mu świeży opatrunek.

– Wszystko z panią w porządku? – pyta mnie.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Tak? Nie? Co z tego jest prawdą?

Kapitan dostrzega moje wahanie i odpuszcza. Prosi jeszcze medyka, by zajął się mną, gdy skończy z Jamesem i odchodzi.

Medyk jest starszym mężczyzną o siwiejących, czekoladowych włosach. Sprawdza mi gorączkę i język, podaje coś do wypicia i odchodzi, nie potrafiąc odnaleźć przyczyny mojego złego samopoczucia.

– Reyna? – James spogląda na mnie pytająco.

Ocieram rękawem usta i klękam obok niego na deskach.

– Wszystko dobrze? – pytam, nieco zachrypłym głosem.

– Ze mną tak, ale co z tobą?

– To wszystko. – wykonuję gest ręką, ujmując w swoich słowach statek na którym się znaleźliśmy i bezkres wód, które na nas czekały. – Jedyne wspomnienia jakie mam, związane ze statkiem, to strach i śmierć. Jedyne, o czym mogę teraz myśleć, to potwory i fale, gotowe nas zatopić.

– Boisz się? Że znów będziesz się topić?

– To moje najmniejsze zmartwienie.

Crepusculum nagle jakby rozumie. Pamięta, kim byłam na „Aquariusie” i jak wyglądała ta podróż z mojej perspektywy. Zdaje się, że wreszcie rozumie, co musiałam poczuć, ponownie znajdując się na pokładzie. Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Teraz będzie inaczej. – zapewnia. – Jesteś bezpieczna.

W tej samej chwili na pokład wkracza reszta załogi Moondrownera, wraz z więźniami. Gdy tylko wciągają ostatnią szalupę na pokład, kapitan każe podnieść kotwicę.

W chwili, gdy odpływamy, rzucam ostatnie spojrzenie w stronę plaży. Nie sądziłam, że będę tęsknić za Dalą w ogóle, a już na pewno nie tak bardzo.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 5
na „Rosamundzie”*

Fale strachu, wzbudzone przez ciebie są przeszłością.

Jak mogłabym dłużej bać się czegoś, co przyciąga mnie tak bardzo? Sprawia, że kreuje coraz nowsze wyobrażenia własnej przyszłości, byle by cię w nich nie zabrakło.

Wszystkie takie realne, a jednocześnie tak fantastyczne.

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

PODRÓŻ DO KRATERII

Mijające dni pozwalają mi coraz bardziej na zapomnienie o tragicznych wydarzeniach z „Aquariusa”, choć początek rejsu spędzam na otępiłym snuciu się po statku. „Rosamunda” jest od niego inna pod każdym względem. Począwszy od tego, że to okręt pasażerski.

Ludzie kręcą się po nim ciągle, a mnie wciąż zaskakuje to i dziwi. Przywykłam do żeglarzy uwijających się na pokładzie, których choćby najkrótsze spojrzenia wywoływały u mnie fale lęku. Na „Rosamundzie” jest inaczej. Różnice te sprawiają, że panika, która ogarnęła mnie po postawieniu stóp na pokładzie, w końcu zupełnie zniknęła.

Statek jest wypełniony do granic możliwości. Musimy dzielić kajuty z innymi członkami załogi, gdyż kapitan obawiał się czy pasażerom przypadną do gustu współlokatorzy–rozbitkowie, którzy spędzili miesiąc na dzikiej wyspie. Mi wypadło dzielenie kajuty z ową kasztanowłosą kobietą – Maricą. Pełni ona rolę artylerzystki, a okazjonalnie nawet okrętowego cieśli. Nie przeszkadza mi jej towarzystwo, a i ona zdaje się nie mieć nic przeciwko mojemu.

Wciąż nie potrafię się przyzwyczaić do tego, jak mnie tu traktują: pasażerowie – jak członka załogi, a marynarze – jak pasażerkę. Nie jak znienawidzoną medyczkę. Nie jak więźnia. Jestem wolna, a ograniczają mnie jedynie burty pokładu.

Joy pomaga w kuchni.

Nie spodziewałam się, że tak ochoczo zgodzi się na to, gdy usłyszała propozycję kapitana. Sądziłam, że praca z kucharzem będzie pogłębiała jego ból,

wyostrzała jego stratę, stale przywoływała piękne wspomnienia, tylko po to, by uświadomić mu, że nie są one już niczym więcej jak przeszłością, która wciąż będzie tylko ranić. Ale on naprawdę ucieszył się z tej propozycji, jak nie potrafił tego robić od śmierci swego stryja. Zdaje się, że praca w kuchni ożywiła go, zamiast wprowadzić w głęboką rozpacz.

Nie wiem, czym tak naprawdę zajmuje się Crepusculum. Nie wiem nawet, gdzie go ulokowali, bo jak dotąd nie spotkałam go jeszcze pod pokładem. Widujemy się tylko na zewnątrz, ale to wystarcza. Spędzamy całe wieczory oparci o burzę, rozmawiając albo milcząc. Cieszy mnie jego towarzystwo. Jemu zdaje się nie przeszkadzać moje.

Czas płynie szybko, gdy nie boję się o każdą sekundę swego życia. Wczoraj dopłynęliśmy do Charybdy.

Nie wiedziałabym o tym, gdyby nie James. Choć cały zeszły dzień pasażerowie zdawali się być bardziej cisi, niż zazwyczaj, a załoga wydała się bardziej nerwowa, byłam zbyt upojona spokojem i bezpieczeństwem, aby pamiętać jakie monstra żerują w tych wodach.

Byłam wciąż w swojej kajucie, gdy zapukał Crepusculum. Czasem ciągle nazywam go kapitanem, choć na tym okręcie nie przysługuje mu już ten tytuł. Należy się na wyłączność Danielowi Moondrownerowi, ale ja nie mogę się wyzbyć starego przyzwyczajenia.

– Dziś miniemy Charybdę. – oznajmił, gdy pozwoliłam mu wejść.

Rana już mu nie dokucza. Nie wiem czy, gdy się zblizni, będzie wyglądać okropnie, czy raczej zostanie po niej jedynie nieduża skaza, bo teraz zajmuje się nim jedynie okrętowy medyk. Cóż, ja i tak nigdy nie byłam dobra w sztuce leczenia.

James czekał, aż dotrze do mnie ta wiadomość, co nastąpiło zaskakująco szybko i odbiło się na mojej twarzy szokiem i lękiem.

Zdaje się, że zbladłam. Chyba nawet przestałam na moment oddychać.

– Nie musisz wychodzić na górę. – powiedział. – Możesz tu zostać. Wielu pasażerów decyduje się pozostać w kajutach, nie każdego z nich bawi widok krwi.

– Ale ty pójdziesz?

– Tak.

Musiałam wyglądać na naprawdę zde gustowaną, bo westchnął.

– Rzuca na pożarcie Jeffersona. – wyjaśnił. – Muszę przy tym być.

Nie wiem, co wtedy poczułam. Ulgę? Że nie poświęcą nikogo, że potwór zadowoli się trupem mężczyzny, który chciał nas zabić? Czy obrzydzenie do wszystkiego, co związane było z bestiami panującymi na tych wodach?

– Mówisz, że są pasażerowie, którzy chcą na to patrzeć? – spytałam, gdy pomagał mi szczelnie zasłonić bulaj kawałkiem tkaniny.

– Są ludzie tacy jak Jefferson, jak wielu marynarzy z „Aquarius”, którzy czerpią swego rodzaju przyjemność z patrzenia, jak te potwory rozszarpują niewolników. Wiesz o tym doskonale.

Skinęłam głową, choć nie było to pytanie. Niedobrze robiło mi się na myśl, że podczas gdy ja będę skręcać się w kącie kajuty i zalewać łzami, tamci ludzie będą wpatrywać się z otwartymi ustami, jak charybda pożera swoją ofiarę.

– Jestem zbyt słaba, prawda? – mruknęłam, patrząc na kawałek niebieskiej tkaniny rozciągniętej na bulaju. – Nie znoszę widoku śmierci, nie znoszę widoku krwi. Nie potrafiłam zabić z zimną krwią... wciąż dręczą mnie koszmary. – przyznałam.

Crepusculum przez chwilę milczał.

– Świat jest pełen niewyobrażalnego zła i okrucieństwa. – powiedział w końcu. – Ty po prostu zostałeś rzucona w sam środek horroru i zmuszona na patrzenie na niego szeroko otwartymi oczami. Nic w tym złego, że szukasz sposobu, by zamknąć oczy. I nic złego w tym, że wolałabyś w ogóle zapomnieć o istnieniu okrucieństwa. Ale są ludzie dla których ten terror to codzienność, którzy żyją pośród niego i czerpią z niego siłę. A są też tacy, którzy musieli się w nim znaleźć i to zaakceptować. Nauczyć się żyć z otaczającym ich mrokiem i krwią na rękach. Skażeni przez okrucieństwa tego świata. Potwory takie jak ja.

– Albo jesteś okropnie dobrym aktorem – stwierdziłam. – albo się mylisz. Na Dali miałam okazję poznać cię naprawdę i mogę zapewnić, że nie ma w tobie ani

krzty z potwora. Może jesteśmy podobni. Może oboje zostaliśmy rzućeni w środek mroku, z którego nie możemy się uwolnić.

– Nie. – oznajmił, stojąc przy wyjściu tyłem do mnie. – Ja znalazłem się w środku tego wszystkiego i pozwoliłem ponieść się tym falom. Zaakceptowałem to, kim mnie uczynili. Nie protestowałem. A ty walczyłaś, wyrywałaś się, jak tylko mogłaś, choć wiedziałaś, że nie możesz nic zrobić. I które z nas jest tak naprawdę słabe?

Pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi jeszcze długo po tym jak Crepusculum wyszedł i udał się na pokład.



Doskonale wiedziałam, w którym momencie znaleźliśmy się tuż obok Charybdy. Fale kotłowały się i pieniały, zawzięcie uderzając o burtę. W głowie wyryte mam mapy, wszystkie, jakie kiedykolwiek obejrzałam w pałacowym archiwum, także i tych wód. Pamiętam potwora, a raczej jego paszczę wypełnioną gigantycznymi zębiskami, wodny wir, który tworzy wokół siebie, ciągnąc ofiary wprost do rozwartych szczęk i pożerając okręty w całości.

Czy coś takiego będzie w stanie zadowolić się ledwo trupem jednego mężczyzny? Szczęki potwora zamykały się, gdy tylko wyczuwał, że coś w nie wpada, a wówczas statek korzystał z okazji aby przepłynąć, ale wciąż trudno mi było w to uwierzyć.

Nie byłam w stanie zatkać uszu na wrzaski dobiegające z pokładu. Część z nich, to przerażeni pasażerowie, ciekawscy, ale złęknieni, obserwujący z daleka i uciekający, gdy statek przybliżał się do potwora. Pozostałe natomiast pełne były fascynacji.

Tych ludzi nie obchodziło, że za przepłynięcie tą drogą ponosi się opłatę, nie obchodziło ich, że to opłata w ludzkiej krwi.

Nie wiem czemu nie płakałam. Tylko bałam się tak panicznie, że musiałam z całych sił objąć rękami kolana, by przestały drżeć. Nie zarejestrowałam nawet, kiedy w kajucie pojawił się Joy.

– Nie zostajesz w kuchni? – spytałam, gdy chłopiec usiadł na koi obok mnie.

– Nie mogę. Kucharz mnie wyrzucił. Sam poszedł oglądać potwora i bał się, że coś ukradnę... tak mi się wydaje.

Cóż, na „Aquariusie” kuchnia była terytorium Henricka i Joy zawsze był w niej mile widziany. Pewnie czuli się tam bardziej u siebie, niż we własnej kajucie. Tutaj jednak jesteśmy obcy. Nie dziwię się, że niektórzy traktują podejrzliwie troje rozbitków z bezludnej wyspy.

Myślę, że towarzystwo było dokładnie tym, czego potrzebowałam za każdym razem, gdy mijaliśmy potwory. Pamiętam doskonale, jak beztrosko czułam się wtedy w kuchni, pochłaniając obiad z Joy’em i jego stryjem i niemal zapomniałam jakie niebezpieczeństwo czyha zaledwie kilka metrów od nas, oddzielone jedynie deskami statku, aż do chwili gdy bestia uderzyła w „Aquarius”, niebezpiecznie go przechylając.

Tym razem było podobnie, choć nie potrafiłam do końca wyprzeć z głowy faktu, że charybda zaraz pochłonie jakiś nieszczęśników, niezadowolona ze zwłok ani podnieconych krzyków dobiegających z góry. Ale Joy też się bał. Wiedział już doskonale na czym polega przeprawa przez Bestialskie Morze.

Fale wciąż zaciekle uderzały o statek, gdy w progu stanął Crepusculum. Włosy miał całkowicie potargane od wiatru, ubranie przemoczone.

Na usta cisnęło mi się idiotyczne pytanie, czy czasem ktoś nie jest ranny, w porę jednak ugryzłam się w język. Nie pełniłam już funkcji medyka. I tak na niewiele bym się przydała.

James uniósł brew, zaskoczony faktem, że zamiast zwijać się ze strachu czy rozpaczy po prostu siedzę i rozmawiam z Joy’em. To był chyba ostatni widok, jakiego mógł się spodziewać.

– Już po wszystkim? – spytałam zaskoczona. Krzyki na pokładzie nie ucichły nawet odrobinę.

– Wyrzucili już Jeffersona za burtę, jeśli o to pytasz. – oznajmił. – charybda zamknęła paszczę. Zaraz przepłyniemy.

– Więc... czemu nie jesteś na pokładzie? – zdziwiłam się.

– To nie ja tu jestem kapitanem. – rzucił krótko.

– Tak, ale... nie przydasz się tam na coś? To znaczy... mam na myśli... nie potrzebują tam twojej pomocy? – zastanawiałam się, pamiętając z jakim zapałem współpracował nocami z załogą „Rosamundy”.

Crepusculum uważnie zlustrował nasze, choć nieco spokojniejsze, to nadal przepełnione skrywanym lękiem twarze.

– Sądzę, że tu przydam się bardziej. – oznajmił, siadając obok nas.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 7
na „Rosamundzie”*

Choć całe życie marzyłam o podróżach, były dla mnie tak odległe, jak sny myszy, która chciałaby latać. Nie sądziłam, że dane mi będzie ujrzeć Kraterię, nawet, gdy trafiłam na „Aquarius”. Szanse, że przeżyję tę podróż były znikome, a jednak wolno mi stąpać po tych brzegach. Jakie jeszcze nierealne sny pozwolisz mi spełnić?

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

MIASTO PORTOWE

– Jutro dopłyniemy do portu. – odzywa się niespodziewanie kapitan Moondrowner.

Tak długo wpatrywałam się w linię brzegu, oparta o nadburcie, że nie zarejestrowałam nawet, kiedy podszedł.

– Cieszę się. – oznajmiam z lekkim uśmiechem. – Nie mogę się doczekać, aż postawię stopy z powrotem na czymś stabilnym.

Wciąż nie mogę przywyknąć do hierarchii na „Rosamundzie”, czy może raczej, do wzajemnych relacji między załogą. Traktują się nawzajem jak rodzina, choć każdy zna dokładnie swoje miejsce i zadania. Zupełnie inaczej niż na „Aquariusie”, gdzie z nabożnym szacunkiem należało traktować każdego wyższego rangą. „Aquarius” jednak był typowym okrętem przemierzającym te wody, którego załoga albo przyłączyła się z desperacji, albo, jak Crepusculum czy Beckwith, została przydzielona przez ludzi z urzędu marynistycznego, działających pod rozkazami króla. Załoga „Rosamundy” natomiast, choć sam statek należy do króla, składa się z ludzi Moondrownera, którzy zapewne wypływają z nim w morze za każdym razem w tym samym składzie. Nie posiadałam się ze zdumienia, gdy pewnego dnia kapitan Moondrowner poprosił bym zwracała się do niego po prostu po imieniu. Ale od tego czasu, bardziej przyzwyczajona do panujących na statku zasad, coraz mniej dziwiłam się naszymi pogawędkami, które kapitan zwykł był odbywać w najróżniejszych chwilach. Jakbym nie była pasażerką. Jakbym był członkiem tej wielkiej rodziny.

Przez chwilę próbuję sobie wyobrazić Jamesa, zagadującego tak przypadkowego członka załogi. Niemal parskam śmiechem.

– Zastanawiałem się... właściwie od początku nie daje mi to spokoju. – odzywa się kapitan. – Kim ty właściwie jesteś?

– Ja? – zaskakuje mnie to pytanie. Marszczę brwi, niepewna, co ma na myśli. – Reyna. Z Majaru.

– Tak, tak, wiem. – macha ręką z tym swoim krzywym uśmiechem. – Mam na myśli, kim byłaś na „Aquariusie”?

– Asystentką kapitana... – mówię, pamiętając doskonale, jakie kłamstwo wymyślił Crepusculum.

– Daj spokój. Przecież wiem, że nie istnieje taka funkcja. – mówi.

Choć odnoszę wrażenie, że mogę mu ufać, mam opory przed wyjawieniem prawdy. Wolałabym najpierw przeanalizować to z Jamesem, ale stoję tu sama i sama muszę podjąć decyzję. Crepusculum najpewniej wymyśliłby jakieś kłamstwo i wplątał je tak gładko między półprawdy, że nie dałoby się go odróżnić od faktów. Jednak Daniel Moondrowner przez ostatni tydzień stał się dla mnie kimś w rodzaju przyjaciela, co sprawia, że powoli przestaję się wahać.

– A co, gdybym jednak była asystentką kapitana Crepusculum?

– Wykluczam tę możliwość z kilku powodów. – Daniel uśmiecha się szeroko. – Po pierwsze, nie masz nazwiska. – otwieram już usta, aby zaprzeczyć, ale nie daje mi dojść do słowa. – Przedstawiłabyś się, albo on by cię przedstawił, tymczasem oboje zgodnie twierdzicie, że nazywasz się Reyna, nic poza tym.

– W czym to przeszkadza?

– W tym, że po ukończeniu Akademii Morskiej, każdy odpowiednio wysoki rangą, ma nazwisko. Jeśli się z nim nie urodził, to je sobie wybiera. – kapitan wskazuje na siebie wymownie.

– Jestem ledwo asystentką. I nie ukończyłam jeszcze Akademii Morskiej.

Zastanawiam się, czy to w ogóle możliwe. Wiem, że uczniowie akademii odbywają rejsy w ramach szkolenia, ale raczej niezbyt dalekie. O Bestialskim Morzu z pewnością nawet nie myślą.

– Ależ oczywiście, tylko po co kapitan brałby cię na rejs akurat po Bestialskim Morzu? To kiepskie miejsce na nabycie żeglarskiego doświadczenia.

– Może nie płynęłam w celu nabycia doświadczenia. – ciągnę.

– A w jakim? Jesteś jego sekretarką? – Moondrowner przewraca oczami, a ja wiem już, że nie ma sensu ciągnąć dłużej tego kłamstwa. Przejrzał mnie. Gorzej, przejrzał Jamesa.

– Prawda. Nie jestem jego asystentką. Co zrobisz, nie wiedząc kim tak naprawdę jestem? Zabierzesz mnie do majarskiej ambasady, gdzie wydadzą na mnie wyrok, tak jak na tych żeglarzy, których wiesz z Dali?

– Ależ skąd. – oznajmia szczerze. – Nigdy bym nie zrobił niczego podobnego. Nie jesteś przecież niczemu winna... czy jesteś? – pyta, unosząc brwi, jednak w jego głosie nie słyszę ostrzeżenia, bardziej rozbawienie. To kolejny z powodów, dla których go polubiłam. Daniel zawsze roztaczał wokół siebie aurę szczęścia, a ja jak dotąd nie sądziłam, że ktokolwiek płynący po tych wodach mógłby być szczęśliwy. – Nie musisz mi oczywiście nic mówić, ale wówczas będę snuł sobie własne, nedorzeczne domysły. Mam ich już całkiem sporo.

– Och, a cóż to za domysły? – unoszę brew. – Chętnie posłucham niestworzonych teorii na swój temat.

Nie wiem czemu, czuję się nieco pewniej. Mam przeczucie, że Daniel naprawdę nie wyda mnie majarskim władzom, wydaje się być zbyt szczerzy. Zbyt prawdziwy.

– Zakładam – mówi, wciąż z szerokim uśmiechem. – a jest to moja absolutnie ulubiona teoria, że na waszym statku byłaś niewolnicą. Cudem ocalałaś i wylądowałaś na Dali. Tam poznałaś kapitana Crepusculum.

– Czemu miałyby mnie wówczas nie zabić?

– Bo się w tobie zakochał.

– To naprawdę nedorzeczne domysły. – pry cham i cieszę się w duchu, że brzmi to prawdziwie.

– Inna teoria mówi, że jesteś jego siostrą, kuzynką, narzeczoną, czy kimkolwiek w tym stylu, ale jest jeszcze bardziej nieprawdopodobna.

– Bo nie mam nazwiska?

– To też, ale nikt nie zabrałby ze sobą osoby na której mu zależy na Bestialskie Morze.

– Cóż, racja, to też nie jest prawda.

– Więc jaka jest prawda?

Myślę gorączkowo jak wybrnąć z tej sytuacji, ale prawda, którą chce poznać kapitan, jest tylko niewiele bardziej pogmatwana od tego, co sam wymyślił. Właściwie, to byłam niemal niewolnicą. Może mogłabym mu o tym opowiedzieć. A może pogroziłabym wówczas i siebie i swojego kapitana.

– Byłam uzdrowicielką. – mówię w końcu ostrożnie. – Podczas sztormu statek się rozbił i zrzędzeniem losu wylądowaliśmy z kapitanem Crepusculum dokładnie na tej samej plaży.

– Jakim cudem pozostali wylądowali zupełnie gdzie indziej? – nie dowierza Daniel. Widzę, że nie do końca wierzy w to, co mówię, ale nie mam mu tego za złe. Ta półprawda brzmi przynajmniej bardziej prawdziwie, od zupełnie nieistniejącej funkcji na statku.

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę z tego, że Daniel z pewnością wie, że coś kręcę. Nawet jeśli nie widział tragicznie zsytej rany Jamesa, to wiedział o niej przecież doskonale jego uzdrowiciel, który zajmował się teraz moim kapitanem i z pewnością przekazywał wszystko swojemu. Jako medyk z „Aquariususa” powinnam była zająć się jego raną profesjonalnie, jeszcze nim przypłynęli na wyspę. Zresztą, na pewno zastanawia go, dlaczego mielibyśmy w ogóle ukrywać fakt, iż byłam medyczką. Ale, że szczęśliwie dla mnie rozmowa przeszła na temat sztormu, który spowodował tragedię „Aquariususa”, pospiesznie go podejmuję, licząc na to, że Daniel nie będzie znów dociekał, co tak naprawdę robiłam na tamtym okręcie.

– Pozostali płynęli w szalupach. My nie zdążyliśmy.

Kapitan kiwa głową. W to chyba mi wierzy, a ja jedynie delikatnie naginam prawdę.

– A co z wątkiem romantycznym? – pyta.

– Ta historia takiego nie ma.

– Ależ ma. – Daniel mruga w moją stronę. – Pytam tylko, czy Crepusculum jest tego świadom.

Przez chwilę się nie odzywam, analizuję każdy błąd jaki mogłam popełnić, każde spojrzenie, każde słowo, którego nie powinnam była wypowiadać, ale nie potrafię zrozumieć, jak Daniel rozgryzł moje uczucia, nim jeszcze sama do końca je zrozumiałam.

– Wiesz, że w Kraterii obowiązuje zupełnie inne prawo? – pyta znienacka.

– Tak. To oczywiste. – mówię, nieco zbita z tropu, szczęśliwa jednak, że tak szybko zmienił temat.

– Otóż prawo to nie nakazuje kobietom poślubienia mężczyzny co najwyżej trzy lata starszego ani należącego to tej samej klasy społecznej. – ciągnie. – Ty i twój kapitan moglibyście tam sobie zostać. I być szczęśliwi.

Ach, zatem jednak nie zmienił tematu. Oczywiście.

Kręcę głową, myśląc nad niedorzecznością tego pomysłu, jednocześnie dławiąc iskierkę nadziei, która każe mi wierzyć, że to mogłoby być możliwe.

– Zastanów się. To nie takie abstrakcyjne, jak ci się wydaje. A teraz może zostawię was samych. – mówi niespodziewanie Moondrowner, odwracając się do mnie plecami. – Ale pomyśl nad tym, o czym ci mówiłem.

Rozglądam się i widzę, że James podszedł do nas niepostrzeżenie. Gorączkowo zastanawiam się, kiedy to zrobił i jak wiele udało mu się usłyszeć. A także dlaczego Daniel nie ostrzegł mnie choćby ukradkowym spojrzeniem. Bawiło go to? Był bardziej okrutny, niż się wydawał? Każdy kapitan na tych wodach jest skrycie w duchu sadystą?

– Coś się stało? – pyta James, dostrzegając moją niewyraźną minę.

– Kapitan wie, że nie ma takiej funkcji jak asystent kapitana. – mówię, starając się jednocześnie wybadać, ile z naszej rozmowy udało mu się usłyszeć. I nie wyglądać na zmieszaną. Ani trochę.

– Bo nie jest głupi. Co mu powiedziałaś?

– Prawdę... poniekąd. Bardziej półprawdę. Nieznaczone nagięcie faktów. Bajkę opartą na tym, co się wydarzyło.

James marszczy brwi.

– Że byłam medyczką. – precyzuję. – A podczas sztormu wypadliśmy za burzę i cudem znaleźliśmy się w tej samej części wyspy. Może nie cudem. Może przez prądy morskie, czy coś takiego.

James wyraźnie się uspokaja.

– Musiałeś palnąć akurat taką funkcję, która nie istnieje? – pytam.

– Było za mało czasu. Wymyśliłabyś coś lepszego na poczekaniu, do tego z ręką bolącą jak diabli?

Kręcę głową. Gdybym wymyśliła coś lepszego, nie mówiłabym Danielowi, że na „Aquariusie” byłam medyczką.

– Nie wspomniałaś mu zatem o okolicznościach jakie sprawiły, że nie poszedłem na dno?

– Nie, ale przecież to nie twoja wina, że przeżyłeś. – zauważam. – Bez sensu są te wasze kapitańskie zwyczaje.

James kiwa głową, uśmiechając się pod nosem. Wygląda na spokojniejszego.

– Coś jeszcze mu powiedziałaś? – pyta.

Zamieram.

– O „Aquariusie”. – precyzuje, widząc moje wahanie. – Mówiłaś mu coś jeszcze?

– Nie. – odzywam się wreszcie. – Nie.

James spogląda na coś za mną, daleko na horyzoncie.

– Odwróć się. – mówi. – Widać już Kraterię. Jutro dobijemy do brzegu.

Choć już ją widziałam, spoglądam za siebie. Po tygodniu na statku marzę o tym, by wreszcie znaleźć się na lądzie. Jednocześnie niepokoi mnie to, jak daleko od domu jestem. I to, że, być może nigdy do niego nie wrócę, bo dzielić nas będzie morze pełne krwi i potworów.



Następnego ranka, zgodnie z zapowiedzią, „Rosamunda” cumuje w Port-Krateria.

Nigdy nie byłam w Kraterii. Tak naprawdę nigdy nie byłam poza Majarem, a przeczytane książki i obejrzone atlasy nie zastąpią oglądania tego na żywo.

Mieli jednak rację – w Kraterii nieustannie pada deszcz.

Ulice wydają się być zupełnie różne od majarskich. Może to przez ludzi, ubranych bardziej kolorowo, bardziej cieszących się życiem, jakby swoją postawą chcieli udowodnić, że, co z tego, że z nieba wciąż leje deszcz, przecież nie zabroni im to być szczęśliwymi.

Cieźszy klimat, łagodniejsze prawo. Tak wyglądała zasadnicza różnica między Kraterią, a Majarem.

Zeszliśmy na ląd niemal jako ostatni, po tym, jak Daniel pożegnał wszystkich pasażerów. On i część załogi pozostali na statku, znosząc na ląd bagaże, a ja i James rozglądamy się już po porcie.

– Nigdy nie byłeś w Kraterii, prawda? – pytam, a on kiwa głową. Cóż, przynajmniej odwiedzamy jedno z tych nielicznych miejsc, w których jeszcze nie było legendarnego kapitana Crepusculum.

– Ale wiesz, jak trafić do urzędu? – dociekam, marszcząc brwi.

– W każdym porcie jest usytuowany tak samo albo bardzo podobnie. – wyjaśnia i rusza przed siebie.

Irytuje mnie, że wciąż nie potrafię złapać równowagi na stałym lądzie i niebezpiecznie się chwieję. James przytrzymuje mnie przez całą drogę, przez co wyglądam trochę jak pijaczka, ale mijanych ludzi wcale to nie dziwi.

W Majarze już poszłabym siedzieć, choć nie mam we krwi ani kropli alkoholu.

Joy niemal biegnie przed nami, ledwo za nim nadążamy. Jestem nazbyt dotkliwie świadoma, że jeszcze tego lub następnego dnia odprowadzimy go do domu jego ciotki i pożegnamy. Najprawdopodobniej na zawsze.

– Poczekaj. – staję, zatrzymując Jamesa. – Nie wejdziemy tak do biura marynistycznego.

Zaskoczyło mnie, gdy Crepusculum oznajmił, że udajemy się tam wszyscy troje. Na ogół to kapitan osobiście załatwia tam formalności związane z zakotwiczeniem statku w danym porcie. Czasem towarzyszą mu oficerowie, ale nigdy okrętowi medycy.

– Czemu nie? – pyta.

– Bo wyglądam na pijaną. – tłumaczę powoli, nie rozumiejąc dlaczego nie jest to dla niego oczywiste.

– Pijani żeglarze to zupełnie naturalny widok. – stwierdza James. – Szczególnie w Kraterii.

Prycham, ale on mimo wszystko prowadzi nas okrężnymi ulicami, by na powrót przyzwyczaić mnie do stałego lądu.

Jestem zaskoczona wyglądem miasta. Wszystkie budynki wydają się być umiejscowione w zupełnie przypadkowych miejscach: domy sąsiadują z urzędami i rezydencjami. Wille i rudery umieszczone w sąsiedztwie, naprzeciw uczelni. To wszystko jest tak różne od ułożonego na planie idealnego schematu miasta Majaru, gdzie bogacze budują swoje rezydencje w samym sercu miasta, oddzieleni od pospólstwa urzędami, biurami i sklepami.

Krateria zaskakuje mnie na każdym kroku.

– To tam. – James wskazuje wysoki budynek na końcu uliczki. Chwilę temu minęliśmy bar, skąd nadal dobiegają nas dźwięki pijackiej piosenki. Deszcz, który chwilowo ustał, właśnie na nowo zaczął padać. Sięgam po kaptur kurtki, ponieważ jednak uświadamiam sobie, że to nie moja kurtka. Tamta była zbyt zniszczona, by udać się w niej na spacer po mieście, miałam więc na sobie jedno z ubrań, które dostałam na „Rosamundzie” od Mariki. Ta nie ma kaptura i tylko odrobinę chroni przed deszczem i wiatrem. Nim dojdziemy do biura, będę przemoknięta do suchej nitki.

James, widząc moje wahanie, zdejmuje płaszcz i rozpościera go nad nami jak parasol.

W środku czeka już na nas Joy, otrzepując włosy jak pies, bryzgając w naszą stronę wodą.

– Chodźcie! – rzuca niecierpliwie i wbiega po schodach.

Na górze, w sektorze obsługi kapitanów Krateriańskiego Wydziału Biura Marynistycznego, oczekuje nas niski, łysiejący człowieczek w wielkich, okrągłych okularach, niemal niewidoczny zza wielkiej sterty teczek i dokumentów ułożonych przed sobą.

– Nazwisko. – rzuca monotonnym głosem.

– Kapitan James Crepusculum.

Na te słowa człowieczek na chwilę unosi wzrok.

– Spóźnił się pan. – mówi w końcu, nadal nie okazując najmniejszego śladu jakichkolwiek emocji.

– Tak, jakieś kilka miesięcy. – mruczy pod nosem James, choć nieco wyolbrzymia tą ilość czasu.

– Proszę poczekać. – mówi tamten, jakby zupełnie nie słysząc sarkastycznego tonu kapitana. Dłuższą chwilę grzebie w szafce z prawej strony biurka, aż wreszcie wyciąga z niej niewielką teczkę. Na oprawie wielkimi literami napisano „Aquarius”

– Będzie musiał pan usprawiedliwić tak ogromne spóźnienie. – mów pracownik biura. – I lepiej, żeby miał pan dobry powód, gdyż wielu klientów z niecierpliwością oczekuje zapasów z Majaru.

– Zatonięcie statku to chyba dobry powód. – wtrąca Crepusculum, unosząc brew.

– O ile zapasy przetrwały, nic mnie to nie obchodzi. – oznajmia okularnik.

– Obawiam się, że poszły na dno razem ze statkiem. – prycha kapitan.

Człowieczek po raz drugi zaszczyca nas swoim spojrzeniem, wydaje się być znudzony.

– Stawia mnie pan w obowiązku wypełniania ogromnej ilości formularzy. Zdaje sobie pan sprawę z ogromu papierkowej roboty, po zatonięciu statku? – pyta, nieco zirytowany.

– Och, doprawdy nie pomyślałem o tym, gdy statek szedł na dno, jedynie przyglądałem się temu z bezpiecznej odległości, beztrosko pogwizdując. – wyrzuca z siebie James.

Człowieczek nawet nie odpowiada, tylko podsuwa mu kilka kartek.

– Pan podpisze tutaj – wskazuje miejsce piórem. – i tutaj. – przewraca kilka kartek. – A tutaj wpisze pan powód opóźnienia.

Potem mężczyzna grzebie jeszcze chwile w leżącym obok niego stosie dokumentów, wreszcie bierze jeden z nich i wypełnia danymi naszego statku.

– Tutaj wpisze pan przyczynę niedostarczenia zamówionych produktów. – dodaje jeszcze, podsuwając Jamesowi kolejny dokument. – A tutaj – tym razem podaje mu świeżo wypełniony formularz. – wypisze pan, co przetrwało. I ile osób.

James pospiesznie wypełnia wszystkie otrzymane dokumenty. Nie ma zresztą tego zbyt wiele. Mówił mi wcześniej, że w biurze załatwia się jedynie formalności związane z przybyciem statku oraz ładunkiem. Sprawą Beckwitha zajmą się dopiero w majarskiej ambasadzie, a odszkodowanie kapitan otrzyma już od króla Majaru.

– To tyle, dziękuję. – mówi okularnik, odbierając od Jamesa plik papierów.

– Co w kwestii zakwaterowania? – pyta Crepusculum.

– Otrzymałibyście je, gdybyście przyплыnęli w wyznaczonym terminie. – mówi pracownik, podirytowanym głosem. – Obecnie wasze pokoje zajmują marynarze z innych okrętów, zgodnie z harmonogramem.

Widzę, jak James zaciska dłonie w pięści, jego twarz pozostaje jednak idealnie opanowana. Powstrzymuję chęć złapania go za rękę w obawie, że rozwścieczy go to jeszcze bardziej.

– Co w tej sytuacji mamy zrobić? – pyta kapitan, zaskakująco spokojnym tonem. Jego kostki bieleją, tak mocno zaciska pięści.

– Możecie zapytać trzy pokoje na lewo, ale nie sądzę, aby mogli cokolwiek dla was zrobić. Do widzenia.

James nie odpowiada, tylko odwraca się na pięcie i rusza do drzwi szybkim krokiem. Ja i Joy udajemy się za nim.

– To okropne, co wam się przydarzyło. – mówi pracownik biura, do którego nas skierowano, gdy tylko kapitan wyrzuca z siebie po co do niego przyszlismy.

Jest ciemnowłosy i wysoki, ale i tak ciężko go zobaczyć zza sterty dokumentów, które trzyma w dłoniach. Z rozmachem ciska wszystko na biurko.

– Obawiam się, że nie za dużo możemy zrobić. – mówi, wyglądając jednocześnie na autentycznie zmartwionego. Od razu przypada mi do gustu o wiele bardziej od tamtego otyłego okularnika. – Przydzielone wam kwatery są zajęte, ale może... – zastanawia się chwilę, po czym wyciąga czystą kartkę, pisze na niej kilka linijek i zamasyżuje stawia pieczęć biura. – Proszę. – mówi, podając kartkę Jamesowi. – W „Błękitnej kotwicy” powinni mieć wolne pokoje. Jest stosunkowo droga, ale cóż... w drodze wyjątku mogą udzielić wam gościny za darmo. Może nie z dobrego serca, ale z musu. – wskazuje brodą na wypisaną przez siebie kartkę. Nie mam pojęcia, co na niej napisał, Crepusculum jednak wygląda na usatysfakcjonowanego.

Dopiero gdy wychodzimy przed budynek, zdaję sobie sprawę, że przez cały ten czas zaciskał pięści, teraz na jego dłoniach widnieją wyraźne półksiężycy od wbitych paznokci.

– Wiesz dokąd mamy iść? – pytam, uświadamiając sobie, że pracownik biura nie podał nam adresu.

Crepusculum kiwa zdawkowo głową.

– Widziałem ją, gdy szliśmy w tą stronę. – wyjaśnia i milknie.

Posyłam mu pytające spojrzenie, którego nie jest w stanie wiecznie ignorować.

– Jeszcze chwila i rąbnąłbym go w twarz. – mówi w końcu.

– Może przydałoby mu się, gdyby ktoś wreszcie to zrobił. – parskam.

James uśmiecha się pod nosem.

– Zawiesiliby mnie w funkcji kapitana. – mówi. – A na to nie mogę sobie pozwolić.

– Cóż, ja nadal jestem zdania, że temu facetowi przydałoby się porządnie przyłożyć.

– Uważaj, bo jeszcze zawrócę. – mówi. – Tam skręcamy. – wskazuje na lewo za najbliższym budynkiem.

Jeśli mam być szczerą, zupełnie nie tego się spodziewałam. Widywałam już karczmy, w jakich przebywają marynarze – głośnie miejsca, z których wylewają się pijani i spoceni otyli faceci, miejsca, które omija się szerokim łukiem, nawet te, cieszące się powszechnie opinią najmniej niebezpiecznych, do których za dnia zagląдают także i zwyczajni mieszkańcy. Ale to... lokal nie wygląda na miejsce, do którego zagląдают marynarze tacy jak Fabius czy Marcus. Podejrzewam, że wszyscy klienci „Błękitnej kotwicy” to ludzie pokroju kapitana Crepusculum. To nie miejsce do którego wpada każdy żeglarz, który właśnie zszedł z okrętu. Tak właściwie nie wiem nawet, co tu robimy.

– Mamy dostać tu pokoje. Za darmo. – mówi Crepusculum, gdy wyrażam swoje wątpliwości na głos i macha mi przed nosem kartką. Joy patrzy na budynek zafascynowany, z niemal otwartymi ustami. Staram się nie myśleć o tym, że już niedługo nie będzie go z nami. Jesteśmy w Kraterii, to tu miał się udać i tu jego podróż się kończy. Do teraz nie miałam pojęcia, jak bardzo będzie mi brakować tego naiwnego, odważnego niemal do granicy głupoty chłopca.

Crepusculum otwiera przed nami drzwi „Błękitnej Kotwicy”.

– W czym mogę pomóc? – pyta odźwierny, nim jeszcze zdążymy wejść.

James podaje mu kartkę otrzymaną w biurze marynistycznym. Mężczyzna przez dłuższą chwilę wpatruje się w nią, marszcząc brwi. Nagle wyraz jego twarzy całkowicie się zmienia.

– Ach, oczywiście. – mówi. – W czymś wam pomóc? Czegoś wam potrzeba?

Nie wiem, co napisał na kartce tamten pracownik biura, ale zdaje się, że miał dobre znajomości.

– Chcielibyśmy odpocząć, jeśli to nie problem, czy może nas pan zaprowadzić do naszych pokoi?

Odźwierny kiwa głową i prowadzi nas w górę schodów.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo zmęczona jestem, do czasu, gdy zatrzasnęły się za mną drzwi mojego pokoju, a ja sama padłam na łóżko, niemal od

razu zasypiając.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
w krateriańskim mieście portowym*

Wodo, nie bądź tym, za co niegdyś cię miałam. Nie bądź tak potworna, jak bestie żyjące w twoich otchłaniach. Nie odbieraj mi jedyne go powodu, dla którego mogę tu zostać, ale, jeżeli musisz, przynajmniej mnie też ze sobą zabierz...

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

NOCNE ULICE

Nie wiem, jak długo spałam, ale budzi mnie odgłos pukania do drzwi. Na zewnątrz wciąż jest jasno, widzę to przez okno, bo zasnęłam niemal od razu, nie zdążając zaciągnąć zasłon, nie mówiąc już nawet o przebraniu. Moje ubrania są całkowicie wymięte, a wszystkie rzeczy na zmianę pozostały w skrzyni na „Rosamundzie”, której jeszcze nie odebrałam. Podchodząc do drzwi, staram się, jak tylko mogę, doprowadzić do porządku, ale nie ma możliwości żebym wpasowała się w standardy tego miejsca.

Całe szczęście to James.

– Spałaś. – mówi. Pyta. Nie jestem pewna. Obejmuje wzrokiem moje pomięte ubranie i zapewne bardzo rozczochrane włosy, o których zupełnie zapomniałam i staram się je teraz pospiesznie przygładzić.

– Tak. – odpowiadam.

– Chcesz coś zjeść?

– Tak, jestem cholernie głodna. – przyznaję. Kapitan przywykły do języka, jaki podłapałam u marynarzy, choć na samym początku patrzył na mnie z zaskoczeniem, wyraźnie nieprzywykły do kobiet klnących jak żeglarze. Ciekawe, co powiedzieliby ludzie, którzy znali mnie w Majarze, gdybym kiedyś jednak tam wróciła i odezwała się w ten sposób.

Nie mam przy sobie nic więcej, prócz kurtki pożyczonej od Mariki, zarzucam ją więc pospiesznie, by ukryć wymiętą bluzkę. Schodzimy na dół i zajmujemy miejsce przy jednym ze stojących przy oknie stolików. Deszcz nie pada najwyraźniej już od jakiegoś czasu, bo ulice są suche. Zdaje się, że skończyło lać,

gdy weszliśmy do urzędu marynistycznego, ale to bez znaczenia. W Kraterii pada przez trzysta dni w roku.

– Byłem w ambasadzie. – oznajmia James, gdy dostajemy talerze parującego posiłku. Zaskakuje mnie, że nie płaci za nie, a kelner wcale tego nie oczekuje. Podejrzewam, że to zasługa listu, który dostaliśmy w urzędzie, a tamtejszy pracownik jest cudotwórcą.

– Spałam tak długo?

– Jest już wieczór. – wyjaśnia James, a ja spoglądam ponownie przez okno, uświadamiając sobie, że słońce rzeczywiście chyli się już ku zachodowi. – Wracając do tego, co zacząłem... zajmą się sprawą Jeffersona i jego wspólników, których dostarczył im już kapitan Moondrowner. Odszkodowanie jednak otrzymam dopiero po powrocie do Majaru. Urząd wie już, że nie ma co oczekiwać przybycia „Aquarius”, zatem krateriański rząd wypuści własny statek z towarami na sprzedaż. Mianują mnie tam oficerem. Będzie gotów za kilka tygodni, dwa, może trzy, muszą skompletować załogę.

Widelec niemal wypada mi z ręki.

– Wracasz do Majaru? Za dwa, trzy tygodnie?

– Nie, nie, wracam do Majaru za jakieś półtora miesiąca. Podróż trwa około czterech tygodni...

– Zostawiasz mnie tutaj? – wyrzucam z siebie z niedowierzaniem.

Nagle czuję się pusta. Samotna i pusta. Porzucona. Jakby ktoś właśnie podpalił wszystkie moje sny i marzenia.

Od samego początku wiedziałam, że przywiązanie się do Jamesa jest błędem, ale jak dotąd wciąż towarzyszyły mi złudzenia: że na Dale nie przybędzie statek, że James nie będzie miał jak wrócić z Kraterii, że, nawet jeśli będzie mógł, to do Majaru wrócimy razem, ale każde z nich kończy się zawodem. Bo czemu by nie miało, jestem głupia, że w ogóle pozwoliłam sobie poczuć cokolwiek, że zaakceptowałam zamianę nienawiści w uczucie, którego sama do końca nie rozumiem, podczas gdy powinnam go tylko tolerować, a teraz pożegnać uprzejmym skinieniem głowy i uściskiem ręki.

Ale już za późno. Przepadłam. Zrozumiałam dokładnie, czym jest to uczucie i jak się kończy. Pustką. Jakbym straciła nagle wszystko na co się składałam i została mi tylko forma, którą muszę kontrolować.

– Spokojnie – mówi James, bo pewnie nie wyglądam na spokojną, ale nie jestem pewna, bo nie czuję już niczego, prócz przytłaczającej samotności. – nim odpłynę, zwiedzimy miasto. Znajdziemy ci jakieś mieszkanie i pracę. I, jest jeszcze jedna rzecz, którą musimy się zająć.

Boli mnie z jaką obojętnością to mówi. Jakby te wszystkie dni, które spędziłam w swoim towarzystwie nie znaczyły dla niego tyle, co dla mnie, bo pewnie właśnie tak jest. Jestem tylko przypadkową osobą, z którą utknął na wyspie i którą teraz musi się zająć, bo każą mu to wyrzuty sumienia.

– Chodzi o Joy'a. – ciągnie.

– Gdzie on jest? – pytam, tylko odrobinę ożywiona, nagle zdając sobie sprawę z nieobecności chłopca.

– Śpi. – wyjaśnia Crepusculum.

Biorę kolejny kęs jedzenia. Nie wiem czemu jeszcze chwilę temu tak bardzo mi smakowało. Teraz wszystko smakuje jak papier.

– Mówiłaś, że stryj zabierał go tu do ciotki. – przypomina. – Pytałem o nią Joy'a. Twierdzi, że mieszka w tym mieście, zna nawet adres. Gdyby nie to, musiałyby się nim zająć ambasada. Powinniśmy odprowadzić go do ciotki najszybciej, jak się da. Najlepiej jutro.

Kiwam głową. Jest w tym coś pocieszającego, pozostanie mi towarzystwo Joy'a, ale czy nie będzie mi boleśnie przypominać o tym, co właśnie tracę?

Kończę posiłek i stwierdzam, że nie chcę tak żyć. Nie chcę cierpieć i tęsknić. Jeśli pozostały mi tylko dwa tygodnie w towarzystwie Jamesa, niech to będą najlepsze dwa tygodnie, jakie mogłabym sobie wymarzyć, lepsze nawet niż cały ten czas spędzony na Dali. Chyba wyglądam na nieco bardziej ożywioną, bo Crepusculum unosi brwi.

– Jesteś zmęczony? – pytam.

– Nie, a czemu pytasz?

– Wspominałeś coś o zwiedzaniu miasta. – spoglądam przez okno. Słońce właśnie zachodzi, malując niebo wszystkimi możliwymi odcieniami różu. – Moglibyśmy zacząć już dziś. Zresztą i tak dopiero co się obudziłam.

James uśmiecha się pod nosem i ruszamy w stronę wyjścia.



Port-Krateria nocą jest zupełnie inne niż miasto, w którym się urodziłam i do którego przywykłam, gdzie ruch panuje tylko na nabrzeżu i sąsiadujących z nim uliczkach, reszta miasta natomiast jest niemal wymarła. Kilkukrotnie zdarzało mi się iść nocą wraz z rodzicami do pacjentów, nie spotykając po drodze żywej duszy. Tutaj jest zupełnie inaczej.

Miasto tętni życiem, choć zapada już zmrok. Wszędzie widać ludzi ubranych tak różnorodnie, że mój wymięty strój nie przykuwa niczyjej uwagi. Choć przed wyjściem doprowadziłam włosy do porządku, nadmorski wiatr sprawia, że rozwiewają się na wszystkie strony tworząc jeszcze większy zamęt, niż miałam na głowie po obudzeniu.

Jestem pod wrażeniem piękna miasta nocą. Chaotycznie rozmieszczone budynki zdają się mieć jednak jakiś cel, jakiś urok, wyłaniający się z tego nieładu, jakby to właśnie ich bezskładne rozmieszczenie sprawiało, że to wszystko jest takie niesamowite.

Może po prostu nigdy wcześniej nie widziałam niczego podobnego. Nie widziałam rozstawionych kramów, oświetlonych blaskiem ulicznych latarni, nie widziałam nocnego życia miasta, bo moje jedyne wspomnienia powiązane z ulicami po zmroku to pustka i bezruch.

James nie wydaje się być zaskoczony. Nie powinno mnie to dziwić, jest kapitanem już parę lat, pewnie widział niejedno. Opowiadał mi o niektórych swoich podróżach, ale bardziej przypominało to zdawanie raportu.

Zdaje się, że gdy spałam, rozejrzał się nieco po okolicy, bo teraz co chwilę pokazuje mi jakieś budynki i punkty orientacyjne. Staram się nadażyć i zapamiętać wszystko, o czym mówi, świadoma, że mogę nie mieć zbyt wiele okazji na zwiedzanie miasta w jego towarzystwie, szczególnie, gdy będzie zmuszony załatwiać kolejne sprawy powiązane ze swoją zbliżającą się podróżą powrotną.

W pewnej chwili James kupuje dwa kubki napoju – jakiegoś miejscowego specjału od sprzedawcy przy pobliskim straganie. Zastanawiam się skąd ma pieniądze. Zapewne dostał je w ambasadzie, co na nowo uświadamia mi, jak mało istotna jestem. Jako uzdrowicielka ze statku towarowego przepływającego przez Bestialskie Morze otrzymałabym pieniądze, ale Beckwith zorganizował wszystko tak, by nie należała mi się ani jedna lazurowa jednostka. To po to mnie porwał, aby całe moje wynagrodzenie przypadło jemu.

Nawet nie dziwi mnie, gdy kosztując łyk napoju, wyczuwam w nim alkohol. Dziwi mnie natomiast, jak szybko kapitan opróżnia swój kubek.

– Będziesz to kończyć? – pyta kilka ulic dalej, wskazując na moją porcję. Nie wypięłam nawet połowy, bo, choć jest w niej posmak jakiś egzotycznych owoców, to nigdy nie byłam miłośniczką trunków.

Kręcę głową, a James wypija resztę za mnie.

– Zamierzasz się upić? – pytam, marszcząc brwi.

– Raczej nie. – stwierdza. – Choć nie ukrywam, że mogę zrobić to niezamierzenie.

Mimowolnie przypominam sobie, co działo się ostatnim razem, gdy siedziałam na Dali w towarzystwie pijanego kapitana i co później z tego wynikło. Właściwie nie mam nic przeciw temu, by upił się ponownie.

– Tylko nie opowiadaj mi o tym, jak ktoś nasikał ci do kufra, dobrze? – uprzedzam.

– A ty skąd znasz tę historię? – pyta, wrzucając kubki do pobliskiego śmietnika.

– Opowiedziałeś mi ją kilkanaście razy, gdy ostatnio byłeś pijany. – przypominam, świadoma, że on sam nie ma o niczym pojęcia.

– Ach, no tak, tamta pamiętna noc, pełna rumu i nie wiem czego jeszcze, bo nie chcesz mi tego powiedzieć. – prycha, ale nie potrafi ukryć uśmiechu. – No dalej, co takiego zrobiłem? Coś niewyobrażalnie głupiego, prawda? Całkowicie się skompromitowałem, a ty masz na tyle dobre serce, że nie chcesz, żebym o tym wiedział?

– Oczywiście, że się skompromitowałeś. – teraz i ja się śmieję. Nie z powodu wypitego alkoholu. Ja po prostu... jestem szczęśliwa. – Ale przecież właśnie mówię ci, co zrobiłeś. – ciągnę, choć to tylko drobny fragment prawdy. – Opowiadałeś mi tę historię w kółko i za każdym razem nie pamiętałeś, że mówiłeś to już ledwo chwilę temu.

– I kazesz mi teraz żyć z tą świadomością? – James gestykułuje żywo, ale te gesty są zbyt przesadzone, zbyt teatralne, zresztą nadal się śmieje.

– Daj spokój, przecież nikt tego nie widział. No oprócz mnie, ale to nie ważne.

– Zapamiętam, że bezludne wyspy to najlepsze miejsce, żeby trochę się upić. – oznajmia.

– Trochę się upić? – pry cham. – Teraz się trochę upiłeś. Wtedy byłeś zalany w trupa.

– Nie mogło być tak źle... chyba nie wypilem aż tyle...

– Schlałeś się tym rumem! I nic z tego nie pamiętasz! – teraz śmieję się już na cały głos, James zresztą też.

Za następnym zakrętem mija nas ciemnowłosa dziewczyna. Łapie mnie za łokieć i mówi do mnie dyskretnym szeptem.

– Twój facet jest całkowicie pijany.

– Wiem. – odpowiadam mrukliwie, ale ona już znika w tłumie.

– O co chodziło? – pyta James, lekko się zataczając i niemal wpadając na budynek po swojej lewej.

– Nic takiego, mówiła tylko, że jesteś pijany.

– A, to mi przypomina pewną ciekawą historię... Płynęliśmy do Perenu, to był statek pasażerski, byłem już kapitanem i pewnego dnia musiałem udzielić ślubu dwójce ludzi, ale to nie istotne...

– Myślę, że, gdybyś zapytał ich o zdanie, wcale nie uznaliby tego faktu za nieistotny. – wtrącam.

– To nieistotne, bo zmierzam do tego, że połowa mojej załogi uznała, że to świetna okazja, by się upić. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że nigdzie nie ma mojego nawigatora. Znalazłem go dopiero w mojej kajucie i, nie uwierzysz, ale...

– Stop! – krzyczę, świadoma, że jest to ta sama historia, którą znam już na pamięć.

– Ale daj mi dokończyć...

– Nie. – protestuję, uderzając go w ramię i James o dziwo nie kończy, śmieje się tylko, a ja wiem już, że mnie wrabia.

– No przecież żartuję. – szczyrzy się.

– Ty wcale nie jesteś pijany. – parskam.

– Może trochę jestem. – stwierdza i to chyba prawda, bo trzeźwy człowiek, przyzwyczajony do ciągłego chybotania okrętu, nie idzie aż tak krzywo. – Nie chcę być sobą jutro rano. – stwierdza, potrząsając głową, jakby starał się odgonić mgłę, która pewnie zaczyna przysłaniać mu zdrowy rozsądek.

– To były tylko dwa drinki. – zauważam. – W dodatku nie całe.

– Ale to były mocne, nie całe dwa drinki. – stwierdza i się zatrzymuje. Już otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nie daję mu dojść do słowa.

– Nie, jeżeli jeszcze raz usłyszę coś na temat sikania do kufra...

– Nie, spokojnie, nie tym razem. – James się uśmiecha. – Przecież żartowałem. I zapamiętam, żeby nigdy więcej nie przytaczać tej historii w twojej obecności.

– Chyba, że znów będziesz pijany i nawet o tym, że masz jej więcej nie wspominać, zapomnisz. – stwierdzam. – Wiesz, jak na marynarza, masz okropnie słabą głowę.

Kapitan milknie na chwilę. Wciąż się uśmiecha, ale po chwili poważnieje.

– Będziesz tęsknić? – pyta niespodziewanie.

Marszczę brwi, nie do końca rozumiejąc, co ma na myśli.

– Gdy już odpłynę – precyzuje. – Będziesz tęsknić chociaż odrobinę?

Zaskakuje mnie to pytanie. Właściwie tak bardzo, że nie wiem, co powiedzieć.

– Wiem, że mnie nienawidziłaś, ale mam wrażenie, że to już za nami, prawda? Czy dalej winisz mnie za to co zrobił mój oficer?

– Oczywiście, że cię za to nie winię. Nie nienawidzę cię, James, właściwie to nawet udało mi się cię polubić. – przyznaję. – I jeśli mam być szczerą, to wolałabym, żebyś nigdzie nie odpływał. Boję się, że sama sobie tu nie poradzę...

– Muszę wracać. Nie mam wyjścia, to moja praca. Pobyt na Dali był jak niezapowiedziane wakacje, dłuższe niż kiedykolwiek miałem. Choć nie ukrywam, że wolałbym, by przeciągnęły się jeszcze troszkę. Podoba mi się Krateria, jest inna niż jakiegokolwiek miejsce, które w życiu odwiedziłem.

– Zawsze możesz wrócić do biura marynistycznego i przetrzepać buźkę pewnemu urzędnikowi... wspominałeś coś, że zawieszą cię wtedy w wykonywaniu pracy.

James tylko śmieje się pod nosem. Ja również próbuję się uśmiechnąć, ale tym razem wychodzi to dość sztucznie.

Mam wrażenie, że pomyliłam się na całej linii, że jednak nie jestem tylko obowiązkiem, wynikającym z wyrzutów sumienia oszukanego kapitana. Może chodzi o to, że jest pijany, a może naprawdę czerpie przyjemność z mojego towarzystwa i nie może spać spokojnie myśląc, że wciąż nienawidzę go i winię za wszystko, co spotkało mnie ze strony Beckwitha. Ale on nie jest niczemu winien, a mimo to odpokutował swoje nieistniejące winy i wynagrodził mi wszystkie cierpienia o wiele bardziej niż było to konieczne.

Gdy ostatnim razem się upił, tańczyliśmy na plaży do szumu fal, a on nic z tego nie pamięta. Czy jutro też nie będzie wiedział, że przeprowadziliśmy tę rozmowę?

Tym razem boję się, że zapomni.

Chyba pod wpływem tego wszystkiego nie myślę do końca racjonalnie. Nie przejmując się, że stoimy na środku ulicy, mocno go obejmuję i opieram głowę o jego ramię.

Nie powinnam tego robić, nie ważne jak bardzo był pijany.

– Nie winię cię. – mówię. Chcę raz na zawsze zakończyć tę kwestię. Przestałam go obwiniać już dawno. – I Dziękuję. – dodaję szeptem, ale na pewno mnie słyszy. – Za wszystko, za to, że mi pomogłeś, że nadal mi pomagasz, że nie zostawiłeś mnie na lodzie, gdy tylko stanęliśmy na brzegu, że tam na Dali nie pozostawiłeś mnie na pastwę losu... I za to, że nie traktujesz mnie jak uciążliwy obowiązek.

Kapitan też mnie obejmuje, jednak jego uścisk jest zaskakująco mocny. Mimowolnie staje mi przed oczami tamten dzień, gdy leczyłam sternikowi złamaną nogę, a Crepusculum szukał mnie pod pokładem. Pamiętam, jak niemal wyrwał mi rękę ze stawu, ciągnąc za sobą na górę. Miałam wówczas wrażenie, że nie zrobił tego celowo, ale teraz mam już pewność. On nigdy nie chciał mnie skrzywdzić. Po prostu nie był świadom swojej siły, ani tego, że robi komuś krzywdę. Kiedyś powiedział mi, że uciekł od rodziców, potem wstąpił do akademii i rozpoczął służbę u króla, nie miał zatem przy sobie zbyt wielu ludzi, którzy nauczyliby go, jak się z nimi normalnie obchodzić.

– Nie jesteś uciążliwa. – zauważa. – Czasem trochę zrzędliva, ale nie do przesady. Może czasami przydałby mi się ktoś, kto wyleje mi na głowę wiadro zimnej wody.

Jak na zawołanie na moim policzku pojawia się kropla wody. Ja nie płacę, jestem tego całkowicie pewna, a myśl, że to kapitan mógłby płakać jest po prostu zbyt abstrakcyjna, przeczy zresztą temu ton jego głosu. Kolejna kropla spada na moją rękę. Następna również.

Sekundę później deszcz leje już na poważnie.

Zrywamy się do biegu i zatrzymujemy dopiero pod „Błękitną Kotwicą”, tylko po to, żeby uświadomić sobie, że dawno już jest zamknięta.

Obchodzimy budynek dookoła, szukając tylnego wejścia dla gości, jednak i to jest zamknięte, a my nie zabraliśmy ze sobą klucza.

Jedyne, co nam pozostaje, to usiąść na schodach, ukrywając się przed deszczem i czekać, aż rano właściciel otworzy drzwi dla klientów.

Dziwię się, że Crepusculum nie zasypia, może jednak rzeczywiście nie jest aż tak pijany, jak ostatnio. Siedzimy na schodach do rana, a powieki zdają mu się w ogóle nie ciążyć. Mi zresztą też, ale to dlatego, że zajmujemy się nawzajem rozmową. James opowiada historie ze swoich podróży, opisuje miejsca, które widział, a o których ja jedynie czytałam. Miejsca, które kiedyś tak bardzo chciałam zwiedzić, nim Bestialskie Morze zaczęło wpajać mi nienawiść do świata i wody. Ale te opowieści na nowo budzą tamte dawne marzenia, na nowo chcę uciec od tego wszystkiego, co znam i zobaczyć świat, miejsca lepsze niż Majar i mniej potworne, niż Bestialskie Morze.

I jestem pewna, że tak samo jak nie nienawidzę kapitana, nie nienawidzę również i wody.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 2
w krateriańskim mieście portowym*

To przykre, gdy po kolei tracisz każdego, na kim ci zależało i każdego komu zależało na tobie. Wierzę, że na końcu zostanę zupełnie sama, bez nikogo bliskiego, ale ty pozostaniesz jedynym wiecznym i jedynym stałym.

Ty mnie nie opuścisz.

Wodo...

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

LADY GODIVA

Mając w pamięci słowa Jamesa o wylewaniu mu na głowę zimnej wody, gdy tylko czuję się dostatecznie rozbudzona, pospiesznie doprowadzam się do porządku i udaję w stronę zajmowanego przez niego pokoju. Z całych sił, jakie w sobie znajduję, walę pięścią w drzwi.

Jest jakoś po południu, nie mam pewności, ale słońce wciąż jest wysoko na niebie. Nie spałam zbyt długo, odkąd z samego rana dostaliśmy się do, dopiero co otwartej, karczmy i zmęczeni wspięliśmy się na schody, bardziej sunąc, aniżeli idąc. Pewnie wzięli nas za pijanych.

Pewnie mieli rację.

Kapitan nie pojawił się na śniadaniu ani na obiedzie, więc pospiesznie zawróciłam zobaczyć czy żyje. Jestem pewna, że odsypia wczorajsze dwa drinki.

Czekam dość długo, nim James wreszcie raczy otworzyć drzwi. Jest zupełnie rozczochrany, ubrany dokładnie w to samo, co kilka godzin temu, tyle, że teraz tak wymięte, iż nikt, widząc go w takim stanie, nawet przez ułamek sekundy nie pomyślałby, że może mieć do czynienia ze słynnym kapitanem Crepusculum.

– Nic nie mów. – uprzedza, podnosząc rękę. – Wyglądam tak samo, jak ty wczoraj.

– Nie, chyba nie wyglądałam aż tak źle...

– Nie mówię, że wyglądam źle. – zauważa. – Ja zawsze wyglądam dobrze. Mówię tylko, że padłem spać w ubraniu, a ty właśnie mnie obudziłaś, więc jestem wymięty i rozczochrany.

– Ale bardziej niż ja. – mruczę pod nosem, a kapitan podnosi brew.

– Nie patrzyłem jeszcze w lustro. Ale nie zdarzyło się jeszcze, abym nie był zadowolony ze swojego wyglądu, więc równie dobrze możemy zejść coś zjeść.

– Może jednak doprowadź się najpierw do porządku, ja i tak już jadłam. – proponuję, nazbyt świadoma, że przynajmniej odrobinę ubodzie to jego ego.

James wzdycha, po czym, ku mojemu zaskoczeniu, odsuwa się i gestem zaprasza mnie do środka.

– Wspominałeś, że odstawiamy dziś Joy’a. – przypomniałam, siadając na łóżku, podczas gdy James podchodzi do lustra z grzebieniem w dłoni i stara się ujarzmić ciemnobrązowe gniazdo na swojej głowie.

– Musimy się tym zająć, a im szybciej, tym lepiej. – mówi, wkładając grzebień między zęby i przyglądając włosy dłońmi. – Powinniśmy być tu już dawno, pewnie jego ciotka zamartwia się na śmierć. – dodaje i, choć jego słowa są lekko zdeformowane, bo wciąż trzyma w ustach grzebień, jestem w stanie zrozumieć, co ma na myśli.

– Więc faktycznie, im szybciej, tym lepiej.

Jestem trochę zdezorientowana gdy Crepusculum grzebie chwilę w swoim kufrze, szukając koszuli na zmianę, a potem po prostu przebiera się, nie prosząc mnie o wyjście.

– Może przyjdź po mnie, jak już przebierzesz spodnie. – sugeruję, wstając.

James marszczy brwi, po czym kiwa głową.

– W porządku, idź po Joy’a. Zgarnę coś do jedzenia i odprowadzimy go do domu.

Nie wiem jak mam mu to powiedzieć. Przywiązałam się do Joy’a jeszcze na „Aquariusie” i, choć przez niemal miesiąc przebywałam jedynie w towarzystwie kapitana Crepusculum sądząc, że chłopiec nie żyje, to po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, nie mogę uwierzyć, że nasza trójka się rozpada. Dziś odejdzie Joy, za tydzień James. Pozostaje mi tylko wierzyć, że będziemy się widywać i, że nie będę jednak w Kraterii sama jak palec.

Nie muszę się wysilać, Joy jest gotowy. Domyśla się, co chcę powiedzieć, jeszcze zanim w ogóle otwieram usta.

– Zabierzecie mnie do ciotki? – pyta, gdy tylko wspominam, że wychodzimy, wszyscy troje.

– „Aquarius” powinien był przybić do brzegu już dawno. Twoja ciotka pewnie niepokoi się, co się z tobą dzieje.

Joy kiwa głową z ponurą miną.

– Nie znam jej. – mówi nagle. – W ogóle. Nigdy nawet jej nie widziałem. A co, jak to jakaś stara jędza?

– Może nie będzie aż tak źle. – uśmiecham się. – W razie czego ja wciąż pozostaję w Kraterii, zawsze możesz się do mnie wymknąć.

– Jak to? A kapitan Crepusculum nie zostaje? – dziwi się chłopiec.

– Nie. – kręcę głową i, choć bardzo się staram, mój głos żałośnie się przy tym łamie. – Musi wrócić do Majaru. Jest na służbie tamtejszego króla, pamiętasz?

Joy spuszcza głowę z posępną miną.

– Wolałbym zostać z wami. – mówi wreszcie. – Z tobą i kapitanem. Tak jak w dżungli. I na „Rosamundzie”. Było miło, szkoda tylko, że stryjka z nami nie było. – mówi, a w jego oczach szklą się łzy.

Obejmuję go i mierzwię jego złotą czuprynę.

– Też tak uważam. Ale nic nie jest na zawsze, Joy. Nie ważne jak wspaniałe były chwile, które spędziliśmy razem, to już koniec.

– Ale będziemy się widywać? – pyta z nadzieją.

– Kiedy tylko zechcesz. – obiecuję.

Wtedy właśnie rozlega się pukanie do drzwi i do pokoju wchodzi James. Wygląda jak zwykle, nieskazitelnie, gdybym nie widziała tego na własne oczy, w życiu nie powiedziałabym, że jeszcze chwilę temu był zupełnie zaspany i skacowany.

Choć może skacowany jest nadal, bo gdy tylko przekracza próg, łapie się za głowę, wykrzywiając twarz w grymasie bólu.

– Chyba odpuszczę sobie dzisiaj śniadanie. – mówi.

– Teraz to raczej podwieczorek. – prychnam, chwytam w rękę torbę Joy’a i wraz z nim ruszam w stronę wyjścia.

Na dole zgarniamy pospiesznie po jabłku i wychodzimy, licząc na to, że James wie, dokąd właściwie mamy się udać.

– To po drugiej stronie miasta. – mówi kapitan. – Czeka nas długi spacer.

Chyba żadne z nas nie ma nic przeciwko temu. Cieszymy się ostatnimi spędzanymi wspólnie chwilami i, im będą one dłuższe, tym lepiej.

Gdy mijamy kilka ulicznych straganów, Joy gwałtownie odwraca się w naszą stronę.

– Nigdy tego nie pijcie. – uprzedza, wskazując na stragan, przy którym sprzedają drinki, te same, które piliśmy zeszłej nocy. – To znaczy, podobno są dobre, jak jakiś orzeźwiający sok z domieszką alkoholu, ale nie chcecie wiedzieć co tam dolewają, żeby było tego więcej, jednocześnie używając oszczędniej składniki. Stryjek mówił, że widział na własne oczy, jak jeden z handlarzy przygotowuje taki koktajl i do niego sika, stąd ten żółtawy kolor.

Nagle robi mi się niedobrze. Nie wierzę, że miałam to w ustach. I nie wierzę, że James wypił aż dwie porcje.

– Co ci jest? – pyta Joy, marszcząc brwi.

Crepusculum kładzie mu rękę na ramieniu.

– Młode kobiety są bardzo wrażliwe na takie rewelacje, Joy. – mówi. – A teraz chodźmy.

Po drodze jeszcze kilka razy odwracam się i zerkam z obrzydzeniem na straganiarzy, podświadomie chyba licząc, że przyłapię ich na gorącym uczynku, ale jak na złość, żaden nie sika do drinków.

– W porządku? – pyta James, widząc moje nerwowe zachowanie.

– Może to ja powinnam zapytać ciebie?

– Czemu?

– Bo wypiełeś wczoraj dwa kubki cudzych sików! – warczę, bo trochę pomaga mi to uspokoić żołądek.

– Nieco boli mnie głowa, ale poza tym wszystko w porządku. – rzuca. Myślę, że próbuje w ten sposób przekonać samego siebie, że to nie prawda. Jeśli nie

będziemy o tym rozmawiać, to może okaże się, że wcale tego nie zrobiliśmy. – Popatrz, już niedaleko.

– Jak to niedaleko? – Joy marszczy brwi. Choć zna adres, nie ma pojęcia gdzie fizycznie znajduje się dom jego krewnej. James wręcz przeciwnie, zdaje się znać Kraterię jak własną kieszeń, choć nie był tu nigdy wcześniej, a za sobą ma zaledwie dwa spacery, z czego jeden niemal w całości odbył się po ciemku.

– Dołączam do pytania. – pryham. Przed nami właśnie rozpościera się zagajnik, a brukowana ścieżka, którą dotąd szliśmy, prowadzi prosto między drzewa.

– To już blisko. – upiera się James, wskazując na drzewa zbyt ogólnie, by z tego gestu dało się cokolwiek odczytać i wciąż idzie przed siebie, nawet się nie zatrzymując.

– Na pewno wiemy, dokąd idziemy? – pyta Joy, zrównując się ze mną i pozwalając Jamesowi prowadzić. To chyba pierwszy raz, gdy słyszę u niego jakiegokolwiek oznaki zwątpienia we wspaniałego kapitana Crepusculum.

– Nie. – mówię. – Najprawdopodobniej zaraz się zgubimy.

Chyba mam rację, bo drzewa wokół robią się coraz gęstsze.

– Panie Crepusculum! – Joy dogania kapitana i łapie go za połę płaszcza. – Wie pan, gdzie idziemy?

– Oczywiście, że wiem. – mówi James, zerkając na niego zaskoczonym wzrokiem, po czym odwraca się w moją stronę. Chyba widzi zwątpienie wymalowane też i na mojej twarzy, bo wzdycha i zatrzymuje się.

– Za tymi drzewami, w sporej odległości od siebie, stoi kilka rezydencji. Jedna z nich należy do niejakiej Godivy, ciotki Joy’a.

– Próbujesz powiedzieć, że kobieta bez nazwiska jest właścicielką rezydencji? – pytam, gdy wznawiamy marsz. Nawet jeśli James jest podirytowany moją obsesją na tle posiadania nazwisk i jakiegokolwiek pozycji, nie daje po sobie tego poznać.

– Wyszła za bogatego mężczyznę z nazwiskiem, a gdy ten umarł, straciła je. Rezydencję otrzymała w spadku, a może była już jej współwłaścicielką, nie wiem, tyle udało mi się dowiedzieć. – tłumaczy kapitan.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że gdy udał się załatwić sprawę Beckwitha w ambasadzie, musiał również wywiedzieć się w kwestii ciotki Joy'a. To tłumaczy, skąd tak dobrze wie, dokąd zmierzamy.

I ma rację, mówiąc, że się nie zgubiliśmy. Las robi się coraz rzadszy, a w końcu mijamy jedynie pojedyncze drzewa. W zasięgu wzroku stoi sporych rozmiarów budynek.

– To nie ta. – uprzedza James. – Tam.

Podążam wzrokiem za jego ręką i dostrzegam w oddali kolejną posiadłość, nie tak wielką i majestatyczną, jak ta pierwsza, ale jednak robiącą wrażenie. Tyle, że aby się do niej dostać, musimy obejść całą działkę.

– Cóż, jeśli chcieli mieszkać samotnie, z dala od miasta i ludzi, to udało im się to idealnie. – stwierdzam. – Choć i tak rezydencje stoją za blisko jedna drugiej.

– Żartujesz? – Joy wytrzeszcza oczy. – Oni chyba nie chodzą do miasta pieszo, prawda? To kawał drogi już od pierwszej rezydencji, a co dopiero od ostatniej!

– Oczywiście, że nie chodzą do miasta. Służba robi to za nich. O ile ich na nią stać. – informuje James.

Widzę niepewną minę Joy'a. Oczywiście, obiecałam mu, że będziemy się widywać, kiedy tylko zechce, ale nagle szanse na wymknięcie się po kryjomu znacznie się skurczyły.

Gdy docieramy wreszcie na miejsce, waham się przez chwilę z uniesioną ręką, gotowa zapukać do drzwi. Nim jednak się na to decyduje, uprzedza mnie James.

Czekamy dłuższą chwilę, aż wreszcie ktoś otwiera.

Nie mam pojęcia, ile lat może mieć ta kobieta, włosy ma krótkie i zupełnie siwe, ale porusza się z młodzieńczą werwą. Żywe oczy kontrastują z pokrytą zmarszczkami twarzą, przez co czuję się jakbym miała do czynienia jednocześnie ze staruszką i młodą kobietą.

– Jestem kapitan James Crepusculum. – James wyciąga rękę w stronę kobiety, która jedynie przygląda nam się sceptycznie. – Pani Godiva?

– Lady Godiva. – poprawia zniesmaczona kobieta.

– Pani siostrzeniec, Jonathan, był pasażerem na moim okręcie... – ciągnie James, usilnie ignorując tytuł.

– Jonathan? – kobieta marszczy brwi nieprzekonana. – A, to ten dzieciak, którym mam się zająć, tak?

James nagle zdaje sobie sprawę, że wciąż trzyma wyciągniętą rękę, umyślnie zignorowaną przez ciotkę Joy'a. Zabiera ją ze zdegustowaną miną.

– Tak powiedział nam jego stryj, Henrick. – tłumaczy kapitan.

– Spodziewałam się zobaczyć raczej jego, a nie dwójkę niewyrośniętych podlotków.

– Z całym szacunkiem, ale jestem kapitanem. – cedzi James przez zęby. – I z przykrością muszę zawiadomić panią o śmierci pani krewnego...

– Dzieciak nie żyje? – przerywa lady Godiva z niespotykanym entuzjazmem. – Co za szczęście!

– Jonathan żyje. – wtrąca James, kładąc rękę na plecach chłopca i zachęcając go by wystąpił do przodu. – Nie żyje natomiast Henrick. Zginął, gdy statek rozbił się w czasie sztormu. Moje kondolencje.

Wcześniej ustaliliśmy, że to taką wersję wydarzeń przekażemy ciotce Joy'a. Woleliśmy nie wspominać, że został zamordowany. Nie wspominać, że część winy ponoszę ja.

Ale Lady Godivę najwyraźniej zupełnie to nie obchodzi.

– Czyli to jest ten dzieciak, którym mam się zająć? – pyta, spoglądając niechętnie na Joy'a.

– Tak. – oznajmia Crepusculum. Wydaje się, że ta rozmowa działa mu na nerwy równie mocno, co konwersacja z urzędnikiem w biurze marynistycznym. Mam jednak nadzieję, że i tym razem uda mu się powstrzymać przed przyłożeniem tej kobiecie w twarz.

– Miałam nadzieję, że już nie przyplynie. – powiedziała. – Spodziewałam się go jakiś miesiąc temu.

– Jak już mówiłem, statek...

– Rozbił się, tak, tak, słyszałam. Będę musiała teraz poświęcić któryś z pokoi dla gości, jaka szkoda! Mam ich zaledwie cztery, a każdy utrzymany w idealnym porządku... Moje znajome będą zrozpaczone, gdy dowiedzą się, że nie mogą już nocować w którymś z nich...

– Cóż, cieszę się, że mogliśmy pomóc. – James uśmiecha się tak sztucznie, że aż nie da się na to patrzeć.

– Chodź. – rzuca lady Godiva do Joy'a, całkowicie nas ignorując i wracając do środka.

Joy przez chwilę się waha, nie mając pewności, co robić.

Właściwie, to mu się nie dziwię, pewnie wyglądałabym tak samo, gdyby kazano mi zamieszkać z tą kobietą. Po chwili namysłu odwraca się w naszą stronę, po czym obejmuje mocno najpierw Jamesa, a potem mnie.

– No, idź już. – ponaglam go, widząc zniesmaczenie na twarzy jego ciotki, które chyba jest na wieki wymalowane na jej twarzy. Mierzwię mu jeszcze na pożegnanie włosy, a chłopiec spogląda na mnie błagalnym wzrokiem. Jakby mówił: nie zostawiaj mnie tutaj. Zabierz mnie ze sobą. Wiem jednak, że nie mogę.

Wreszcie rusza za swoją ciotką, znikając we wnętrzu urządzonego z niewyobrażalnym przepychem domu. Jeszcze raz odwraca się w naszą stronę i macha do nas ręką, po czym właścicielka domu zamyka za nim drzwi z głośnym trzaskiem.



– Co za wredna baba. – wyrywa mi się, gdy opuszczamy posesję lady Godivy.
– Widziałeś, jak na nas patrzyła?

– Jakbym był dzieciakiem w płaszczu kapitana, a ty zdemoralizowaną dziewczyną, która się ze mną szlaja?

– Dokładnie. Za uderzenie lady też grozi ci zawieszenie w obowiązkach?

– Możliwe, ale ona nie jest żadną lady. – mówi James.

– Nie jest?

– Ależ skąd! Nie przysługuje jej żaden tytuł, bo z urodzenia jest mieszczańką, a jej mąż żadnego nie miał. Tytułuje się, by wzbudzić szacunek i autorytet, ale to tylko ściema, taka sama jak wszystko w jej domu.

– Co masz na myśli? – marszczę brwi.

– Widziałaś jej dywan? Jak myślisz, skąd jest?

– Z południa, może z Astedeni. Albo Eziarii... – zastanawiam się.

– Z bazaru w Kraterii. To podróbka, tak samo jak szahtańskie wazy, te koło drzwi.

– Skąd to wiesz?

– Jestem z Norii, widziałem autentyczne astedeńskie dywany.

– Ach, no tak.

Cieszę się, że mamy już za sobą rozmowę z tą okropną kobietą, ale wciąż nie daje mi spokoju, że zostawiliśmy z nią Joy'a.

– Będzie ci go brakować, prawda? – pyta James, widząc moją niewyraźną minę.

– Tak. I nie daje mi spokoju, że go tam zostawiliśmy. Ta kobieta go zniszczy, zabije całą radość, jaka w nim jest, aż nic nie pozostanie z tego Joy'a, którego znamy.

– Też nie najlepiej się czuję z myślą, że u niej zostaje, ale nic innego nie możemy zrobić. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że Joy na zawsze pozostanie Joy'em. A jeśli zaczniesz o tym zapominać, cóż, wciąż ma jeszcze ciebie, byś mu o tym przypominała.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 3
w krateriańskim mieście portowym*

Gubię się we własnym umyśle. W swoich snach i koszmarach, ale co do jednego nie mam już wątpliwości. Że nie ma siły, która sprawiłaby abym cię znienawidziła teraz, gdy cię poznałam i zrozumiałam.

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

KSIĘŻNICZKA KRATERII

Nie mieliśmy pojęcia, że następnego dnia w Kraterii odbywa się huczna uroczystość.

– To chyba nie najlepszy dzień na szukanie mieszkania. A tym bardziej pracy.
– stwierdzam gdy z trudem manewrujemy pomiędzy ludźmi w całkowicie zatłoczonych ulicach.

Za nami rozlega się głośny huk, gdy jakiś biedak wieszający ozdoby na rozwieszonych od domu do domu sznurach, właśnie zleciał z drabiną z winy któregoś z przepychających się przechodniów.

– Ałć. – mruczę pod nosem, z trudem nadążając za Jamesem i błagając nieistniejących bogów, by tylko nie zgubić go w tym tłumie.

– Co to za święto? – pytam go.

James kręci głową na znak, że w tym gwarze zupełnie mnie nie słyszy.

No tak, zdaje się, że od dłuższej chwili mówię sama do siebie.

James na migi wskazuje mi, że idziemy w stronę nabrzeża, potrącając przy okazji przechodzącą obok kobietę, która rzuca pogardliwe spojrzenie i pewnie parę przekleństw.

Cóż, na nabrzeżu jest tylko odrobinę lepiej. Przynajmniej nie zderzamy się co chwilę z innymi.

– Co się tu właściwie dzieje? – powtarzam pytanie, bo w końcu możemy swobodnie rozmawiać.

– Jeśli dobrze słyszałem, to urodziny księżniczki. – wyjaśnia James.

– I obchodzą je aż tak hucznie?

– To dwudzieste urodziny księżniczki.

– I to wiele wyjaśnia.

Na nabrzeżu panuje mniejszy ruch, więc to tu spędzamy większą część dnia, spacerując wzdłuż brzegu i to właśnie tu, ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu, spotykamy zziąjanego Joy'a.

– Co tu robisz? – pytam zaskoczona, choć po chwili sama zastanawiam się, czemu dziwi mnie jego obecność. Na pewno wszyscy w mieście wiedzą o uroczystości i przybyli świętować.

– Gdzie twoja ciotka? – pyta James, niespokojnie się rozglądając. Najwyraźniej on także nie ma najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z lady Godivą.

– Nie ma jej tu. Ona nie obchodzi takich uroczystości. Właściwie, to ona nie obchodzi żadnych uroczystości. – mówi pospiesznie Joy. – Uciekłem, tak jak mi radziłaś.

James unosi brwi i rzuca mi spojrzenie, które mówi właściwie wszystko, nie potrzeba tu żadnych słów: Kazałaś mu uciec z domu?

– Joy, mówiłam tylko, że możesz mnie odwiedzić, a jeśli ciotka się nie zgodzi, to wymknąć na chwilę, ale to było jeszcze zanim dowiedzieliśmy się, że mieszka tyle kilometrów za miastem!

– To bez znaczenia i tak zauważyła już pewnie, że mnie nie ma. Ona widzi wszystko! I jest okropna! Nie znoszę jej! I nie wytrzymam tam ani jednego dnia dłużej! – żali się chłopiec.

– Byłeś tam ledwo jedna noc. – zauważa Crepusculum.

– I nie chcę tam zostawać ani jednej nocy dłużej! Zabierzcie mnie od niej, proszę!

Joy wygląda tak żałośnie, że mam ochotę powiedzieć mu, że dobrze, w porządku, może zamieszkać ze mną, przecież to nie problem. Wiem jednak, że nie mogę.

– Joy, to twoja jedyna krewna. – tłumaczy James. – Prawnie jest twoją opiekunką i nic nie możemy z tym zrobić, a tobie nie wolno od niej uciec.

– Czemu? – pyta Joy. – Jeśli nie dam rady z nią wytrzymać, to ucieknę.

James kręci głową.

– Posłuchaj, Joy, nie dziwię ci się, sama pewnie nie wytrzymałabym długo z tą jędrą, ale musisz spróbować. – mówię. – Za sześć lat będziesz mógł robić co zechcesz, ale puki co musisz z nią mieszkać.

Joy otwiera szeroko oczy.

– Nie wytrzymam z tą kobietą sześciu lat! – mówi autentycznie przerażony. – Panie Crepusculum, nie może pan mnie wziąć ze sobą na statek? Ja pomogę, w czymkolwiek, będę sprzątał pokład, cokolwiek, proszę!

– Joy, nie mogę cię zabrać ze sobą i doskonale o tym wiesz.

– Ale pan nie musi nic o tym wiedzieć, mogę ukryć się w ładowni...

– ... i zostać obiadem którejś z bestii, gdy odkryją pasażera na gapę. – kończy James.

– Nic nie da się zrobić? – pyta chłopiec żalnym głosem, spoglądając to na mnie, to na kapitana, jednak oboje kręcimy głowami.

Cieżko jest go nakłonić do powrotu do domu, ale jego i tak nie interesują obchody urodzin księżniczki. Joy chce jedynie uwolnić się od okropnej ciotki. Ale w tej sprawie nic nie możemy zrobić. W końcu niechętnie zgadza się na powrót.

– Żal mi go. – mówię, widząc jak jasna czupryna chłopca znika za zakrętem.

– Mnie też, ale nic na to nie poradzimy. – stwierdza James.

– Przepraszam! – rozlega się za nami nieznajomy głos. Odwracamy się, a naszym oczom ukazuje się młoda dziewczyna o krótkich, platynowych włosach.

– Słyszałam waszą rozmowę – tłumaczy zmieszana. – czy... pan to kapitan Crepusculum?

Unoszę brew. Cóż, legenda Jamesa musiała dotrzeć nawet do Kraterii. Pamiętam zastępy majarskich dziewcząt urzeczonych kapitanem, stojących w dokach zawsze, gdy jego okręt przypływał lub odpływał. Tu najwyraźniej miało być identycznie.

– Tak, to ja. – potwierdza James. Chyba myśli o tym samym co i ja, bo nie wygląda na zachwyconego faktem, że zaczepiła go właśnie jakaś zachwycona nim

dziewczyna.

– Naprawdę? Nie wierzę! Słyszałam o panu niesamowite rzeczy! – mówi rozentuzjasmowana. – Tyle miejsc, ile pan widział i tyle ile przeżył! Tak właściwie, to jestem Rohesia. – mówi, wyciągając dłoń.

Wtedy zatyka mnie zupełnie.

To księżniczka.

Zastanawiam się czy powinnam się uklonić, ale James uprzedza mnie jedynie kiwając nieznacznie głową, powtarzam zatem pospiesznie jego ruch, choć wychodzi mi zupełnie sztywno.

– Widziałem miejsca, o których ci się nie śniło, wasza wysokość. – mówi James. Wiem, że to prawda, mi samej nie śniło się o lądach o których mi opowiadał.

– A kim jest pańska towarzyszka? – pyta księżniczka, zwracając na mnie uwagę. Ale nie z irytacją. Zupełnie nie wygląda, jakby jedyne czego chciała, to abym zniknęła albo przynajmniej udawała niewidzialną. Patrzy na mnie z ciekawością. Z jej oczu nie bije wrogość.

– To Reyna, moja... bliska znajoma. – wyjaśnia.

Rohesia uściska moją dłoń z szerokim uśmiechem.

– Czy była pani może świadkiem tych cudownych przygód, o których krąży tyle opowieści? – pyta.

– Niestety, tylko jednej. – silę się na delikatny uśmiech. – I o tej akurat nie krążą jeszcze legendy.

– Jest pani z „Aquariususa”? – otwiera szeroko oczy.

– Słyszałaś o nim, wasza wysokość? – pyta równie zaskoczony James.

– Tak. To okropne, co wam się przydarzyło. – mówi, a widząc moje zdziwienie dodaje. – Interesuję się na bieżąco sprawami mojego księstwa. Nawet tymi, które mój brat uważa za nieistotne.

Jej brat – następca krateriańskiego tronu – no tak, pewnie bunt na majarskim okręcie zupełnie go nie obchodzi.

– Czy... znajdziecie może dla mnie chwilę? – pyta niepewnie księżniczka.

– Oczywiście. – zapewnia James. – Wszak jesteś tu księżniczką, a to twoje urodziny. Znajdziemy dla ciebie tyle czasu, ile tylko zechcesz.

– Och, to wspaniale. – mówi uradowana. – Nie sądziłam, że dane mi będzie kiedykolwiek poznać pana osobiście. Chętnie posłuchałabym o pańskich podróżach.

Więc James opowiada. Opowiada te same historie, które już słyszałam, ale wciąż nie przestają mnie one zachwycać: o ogromnych miastach–państwach na południowym wschodzie, o wielkich pustyniach niekończącego się piasku w pobliżu jego rodzimego kraju, o górach, które swymi szczytami wydają się sięgać nieba i o mieście pełnym smukłych wież, tuż za nimi. Oraz o oceanie – wielkim i nie do końca zbadanym, który przemierzał wzdłuż i wszerz wraz z kartografami, a i tak nie udało im się odkryć go w całości. A potem i o „Aquariusie” i tym wszystkim, co nas spotkało. Także o mnie, i ta historia zdaje się poruszać księżniczkę najbardziej ze wszystkich. Prosi mnie o opowieści z Majaru, o mieście i tamtejszych zwyczajach. Rozmawiamy tak długo, aż zmierzch zaczyna wkradać się na niebo, a z oddali dochodzą nas dźwięki wesołej muzyki.

Ruszamy razem w stronę centrum miasta, gdzie właśnie rozpoczęły się tańce.

– Mogę prosić? – księżniczka kieruje pytanie w moją stronę.

Cóż, może myśli, że powinna, skoro od początku towarzyszę Jamesowi, może taki jest zwyczaj w Kraterii, kiwam więc głową, w duchu jednak zastanawiam się, co mam ze sobą począć pozostawiona sama w tłumie ludzi, podczas gdy kapitan pójdzie tańczyć z księżniczką.

Jednak to nie Jamesa księżniczka poprosiła do tańca. Pytanie kierowała do mnie, bo to mnie miała na uwadze i teraz ciągnięta przez nią za rękę ruszam w stronę kręgu tańczących.

Coś w usposobieniu Rohesii sprawia, że nie da się jej nie lubić. To przez tą rozpiekającą ją energię, wieczną radość, którą emanuje i swoboda z jaką się z nią rozmawia, jakby wcale nie dzieliła nas ogromna przepaść. Pod tym względem

bardzo przypomina Daniela Moondrownera. Mam wrażenie, że po tej nocy mogę spokojnie nazwać księżniczkę Kraterii moją przyjaciółką.

– Przykro mi, że nie miałaś swoich dwudziestych urodzin. – mówi niespodziewanie. Wprawdzie nie powiedziałam jej tego wprost, ale musiała się tego domyślić z naszej opowieści.

– To nic takiego. „Aquarius” rozbił się w moje urodziny, a to chyba najlepszy prezent, jaki mogłabym sobie wtedy wymarzyć.

– Och, ale ominęło cię całe to przyjęcie...

– Bez znaczenia, majarskie przyjęcia i tak są okropnie nudne. – uśmiecham się pod nosem. To doprawdy wspaniałe zrządzenie losu, że oszczędzona została mi konieczność uczestniczenia w tym idiotycznym ognisku.

Księżniczka parska śmiechem.

– Więc potraktuj to przyjęcie również jako swoje. – mówi.

Przez chwilę nie wiem co powiedzieć.

– Dziękuję. – odzywam się w końcu. – Nikt nigdy nie urządziłby mi podobnego.

Księżniczka uśmiecha się i w tej chwili muzyka na chwilę milknie, by ponownie rozbrzmieć dźwiękami nowego utworu.

Tańczymy z księżniczką na przemian, raz ja, raz James, aż całą naszą trójkę bolą nogi. W końcu, podczas naszego ostatniego tańca, Rohesia informuje, że musi wrócić do pałacu na uroczystą wieczerzę, ma jednak nadzieję, że później uda jej się jeszcze nas znaleźć.

Gdy odnajduję Jamesa, ten ma całkowicie nieodgadniony wyraz twarzy.

– Nigdy nie zgadniesz, kogo właśnie spotkałem. – mówi.

– Joy’a? – zgaduję. – Proszę, tylko nie mów, że Joy’a.

– Nie, nie jego...

– Czekaj. – uciszam go, unosząc dłoń. – Daj mi zgadnąć, może jednak się uda. – myślę gorączkowo nad najmniej prawdopodobnymi możliwościami. – To może... Jeffersona?

– Nie, nie brałem udziału w żadnych seansach spirytystycznych.

– Może po prostu wypięś za dużo rumu?

– Nic dzisiaj nie piłem. – zapewnia. – Spotkałem kapitana Moondrownera.

– To on jeszcze nie wypłynął? – dziwię się.

– Nie, wypływa jutro wieczorem. Co prawda listę pasażerów ma pełną, ale udało mu się zorganizować wolną kajutę...

– Nie mów, że... – zatykam dłonią usta. – wracamy do Majaru?

– My? – James unosi brew.

– Skoro nie o to, to o co tu chodzi? – nie rozumiem.

– Moondrowner zapewnił, że jak najbardziej możemy wrócić z nim do Majaru, nie chce nas tu zostawiać na łodzi, ale... po prostu nie spodziewałem się, że ty w ogóle chcesz wracać.

– Oczywiście, że chcę, Majar to mój dom, nie ważne jak popapranymi prawami się rządzi.

Nie chcę zostać tu sama – dodaję w myślach.

– Zastanów się dobrze. – James łapie mnie za ramiona. – Mogę powiedzieć twojej rodzinie, że nic ci nie jest. Że zostałeś tu, cała i zdrowa. Nie musisz wracać, nie musisz na nowo tego przechodzić. – wskazuje dłonią na morze i zamieszkujące je potwory.

– Ale ja chcę wrócić. – mówię.

„Nie chcę zostawać tu bez ciebie”

– Przemyśl to jeszcze. – prosi. – Mogę ci pomóc, jeszcze jutro znajdziemy ci jakieś zakwaterowanie i pracę, choćbyśmy mieli szukać cały dzień. Z pewnością uda mi się znaleźć trochę czasu po tym jak zgłoszę rezygnację z udziału w rejsie, który zaproponował mi krateriański rząd. Tu jest inaczej, niż w Majarze. Lepiej. Nikt cię tu nie zna i nikt nie będzie cię oceniać.

– I ciągle leje. – pry cham pod nosem, choć tego dnia nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Choć James ma rację, pod każdym względem jest tu lepiej i chcę zostać. Ale jeśli to zrobię, uczucie okropnej pustki powróci.

Kto by pomyślał, że kiedykolwiek będę tęsknić za potwornym kapitanem Crepusculum?

– W porządku, daj mi czas do rana na podjęcie decyzji. – mówię, a w jego oczach widzę ulgę.

Ale tak naprawdę podjęłam już decyzję.

Następnego wieczoru będę już na pokładzie „Rosamundy”.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 4
w krateriańskim mieście portowym*

Zabawne, jak splatają się losy, jak przeznaczenie potrafi wodzić nas za nos, obiecując wieczną agonię, zaraz podkładając nam możliwość uwolnienia się od niej.

I, jeśli możemy to zrobić, choć każdy mówi nam, żeby wybrać ból, bo tak ich zdaniem jest lepiej, to czemu mamy się na niego decydować? Czemu skazywać się na cierpienie, bo inni nie znają nas tak dobrze, jak my sami?

Mogę wybrać wolność, ale ona nie zawsze równoznaczna jest ze szczęściem. Czasem trzeba wrócić do dawnych okowów, żeby nauczyć się, jak je zerwać.

Czasem jednak trzeba walczyć przeciw samemu sobie.

Reyna

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

JONATHAN

Nie spałam całą noc, myśląc tylko o jednym: zostawimy tu Joy'a.

Nie potrafię zapomnieć jego żalosego spojrzenia i smutku w oczach. Nie potrafiłabym wybaczyć sobie, gdybyśmy go tu zostawili, z ciotką, która go nie chce i smutkiem, który w nim siedzi.

Po nieprzespanej nocy, w mojej głowie pojawił się plan. Bardzo prosty i możliwy, gdy o nim myślę, ale w rzeczywistości równie niewykonalny, jak ucieczka wpływ z Dali.

Mimo to chcę spróbować.

Wiem, że moi rodzice zgodziliby się przyjąć Joy'a, ta część mojego pomysłu nie ma szansy nie wypalić. Problem w tym, że oni są w Majarze i nie mają bladego pojęcia o jego istnieniu, a zatem nie ma szansy, by mogli go adoptować. Jestem tu natomiast ja.

Rano wyłożyłam wszystko Jamesowi. Czekam, gdy marszczy brwi w skupieniu, aż powie mi, że to głupi pomysł, nierealny i niewykonalny. Każda chwila milczenia sprawia, że tylko bardziej utwierdzam się w przekonaniu, iż kapitan myśli właśnie nad jak najbardziej kulturalnym ujęciem w słowa zdania: twój pomysł jest nieskończenie głupi.

– To może się udać. – mówi wreszcie.

Otwieram szeroko oczy.

– Tak myślisz?

– Tak. O ile jesteś pewna, że to dobry pomysł.

– Jestem. – stwierdzam. – Ale wolałam się upewnić, dlatego przyszedłam z tym do ciebie. Wiem, że to prawnie możliwe. – dodaję pośpiesznie. – Pytałam o to wczoraj księżniczkę. To znaczy, nie dosłownie, spytałam bardziej ogólnie, bo jeszcze nie wiedziałam, że opuszczamy Kraterię i po prostu rozważałam różne możliwości, ale teraz, skoro wrócę do domu, do rodziny, to przecież...

– A wracasz? – przerywa mi James.

To przypomina mi, że tego ranka miałam powiadomić go o swojej ostatecznej decyzji.

Powoli kiwam głową, pewna, że nadal będzie próbował namówić mnie na zostanie w Kraterii.

– To twój wybór. – oznajmia zamiast tego James. – A, co do Joy'a, to jeśli jesteś pewna, że twoi rodzice nie będą mieli nic przeciwko, pójdę z tobą do tej jędzy. I pomogę ci, na tyle, na ile będzie to w mojej mocy.

Uśmiecham się w podzięcie i niedługo później jesteśmy już w drodze do rezydencji lady Godivy.

– To znowu wy? – dziwi się właścicielka posiadłości otwierając drzwi.

– Dziś wieczorem opuszczamy Kraterię. – oznajmia James. – Chcieliśmy zobaczyć się z Joy'em.

– Z kim? – Godiva marszczy brwi.

– Z pani siostrzeńcem. Jonathanem. – uściśla.

– Poza tym, mamy dla pani propozycję. – dodaję.

– Nie udzielam pożyczek finansowych. – ucina krótko kobieta.

– To... inny rodzaj propozycji. – mówię.

– Nie sądzę, abyście mogli zaoferować mi cokolwiek, czym byłabym zainteresowana. – parska.

– Cóż, podczas naszego ostatniego spotkania odniosłam wrażenie, że zajmowanie się tym chłopakiem jest ostatnią rzeczą, na jaką ma pani ochotę i zamierzam panią uwolnić od tej odpowiedzialności. Chciałabym adoptować Joy'a.

Tym stwierdzeniem całkowicie zbijam lady Godivę z tropu i jestem z tego powodu szalenie szczęśliwa.

– Wejdźcie. – proponuje po chwili, gdy otrząsa się już z zaskoczenia.

Drzwi prowadzą bezpośrednio do wielkiego pokoju, zajmującego niemal całe pierwsze piętro rezydencji, z wielkimi oknami i schodami po przeciwnej stronie.

Nie potrafię zrozumieć, jak ktoś może żyć w tak wielkim przepychu. W domu ciotki Joy'a jest pełno wszystkiego, że aż ciężko się ruszyć, z czego i tak większość przedmiotów jest kiczowata bądź tandetna. W pokoju ściany pomalowano na intensywne bordo, a część zakryto gobelinami, przez co nawet mimo wielkich, odsłoniętych okien, wewnątrz wydaje się bardzo ciemne.

Czerpię sadystyczną przyjemność z zostawiania śladów błota na idealnie czystym dywanie, ale niestety, choć może i na szczęście, właścicielka domu odwrócona jest do nas tyłem. Niechętnie wskazuje nam, abyśmy usiedli w fotelach.

Nie chcę spędzać tu ani chwili dłużej, niż to konieczne – fotele są sztywne i nieprzyjemne, zupełnie jak ich właścicielka.

– Czy Jonathan jest w domu? – pyta James.

– Tak. – Godiva macha lekceważąco ręką, siadając naprzeciw nas. – Na górze, w swoim pokoju. Odbywa właśnie zasłużoną karę.

– Och, a można wiedzieć za co? – docieka kapitan.

– Wymknął się wczoraj na obchody święta księżniczki, choć wyraźnie mu tego zakazałam. – wyjaśnia.

– No tak. – mruczy pod nosem James.

– Tak więc – Lady Godiva odchrząkuje. – pani... Crepusculum, zgadza się? – pyta patrząc na mnie.

Dawno już nie czułam się tak zmieszana. Cieszę się, że nigdy nie miałam skłonności do rumieńców, bo na pewno zlałabym się teraz z kolorem foteli.

– Właściwie to tylko Reyna. – uściślam.

– Nie jesteście małżeństwem? – ciotka Joy'a marszczy brwi.

– Nie.

– Narzeczeństwem?

– Też nie. – mówię. – Właściwie to w ogóle nie jesteśmy razem.

– Ach, rozumiem. – odzywa się, jednak wygląda na nieco zniesmaczoną. – I chce mnie pani... zatem panna, uwolnić od uciążliwego obowiązku zajmowania się tym niewydarzonym dzieciakiem?

– Tak, właśnie.

Ustaliliśmy uprzednio z Jamesem, że najlepiej będzie nie wspominać nic o tym, że tak naprawdę Joy będzie pod opieką moich rodziców. Zręczliwa jędra w swej mściwości mogłaby odmówić przez wzgląd na to, że znajdują się w Majarze.

Gdzieś nad nami rozlega się cichy szelest, lady Godiva jednak zdaje się nie zwracać na niego najmniejszej uwagi. Może wcale go nie słyszy. Ale gdy unoszę wzrok, widzę Joy'a przycupniętego za barierką na piętrze. Patrzy wprost na nas. I się uśmiecha.

– Nie jesteś czasem za młoda? – pyta Godiva sceptycznie.

– W żadnym wypadku.

– A ile niby masz lat, dziecko?

Nagle czuję jak podnosi mi się ciśnienie. Co prawda, podczas ostatniego naszego spotkania, ciotka Joy'a uznała nas za niebywale młodych, ale nie przeszkadzało jej to brać nas za małżeństwo. A teraz mówi do mnie jak do dziecka? Żałuję, że nie postarałam się bardziej z wybrudzeniem jej tego idealnego dywanu. Chyba nadrobię to wychodząc.

– To nie ważne. – mówię. – Ważne, że n i e jestem dzieckiem.

– Nie wyglądasz na zbyt dorosłą. – parska kobieta.

– Jeśli mogę się wtrącić – James unosi dłoń. – to mogę zaświadczyć, iż, owszem, Reyna ukończyła dwadzieścia lat.

– A pan niby jest dużo starszy?

– Mam dwadzieścia pięć lat.

Godiva reaguje na to wyznanie jedynie lekkim uniesieniem brwi. Dla niej to nic. W Kraterii pięć lat to nic, podczas gdy po drugiej stronie morza to różnica nie od przebycia.

– No cóż, tak naprawdę mam gdzieś, ile macie lat i co was łączy. Jeśli jesteś pełnoletnia, to zgodnie z krateriańskim prawem możesz adoptować osierocone dziecko, jeśli jego najbliższa rodzina wyrazi na to zgodę. Na twoje szczęście jestem jego jedyną żyjącą krewną i zgodziłabym się na wszystko, żeby pozbyć się z domu tego smarkacza.

Jestem jednocześnie zde gustowana jej tonem, jak i szczęśliwa, bo właściwie to przystała na moją propozycję. W oczach Jamesa też dostrzegam ulgę.

– Wspaniale. – mówię, wstając. – Dokumenty musimy podpisać w majarskiej ambasadzie, jednak sądzę...

– Nie tak szybko. – Godiva przerywa mi, nawet nie wstając. – Wybieram się do miasta nie wcześniej niż za dwa dni, wtedy możemy podpisać dokumenty.

– Nie wiem czy słyszała pani, ale nasz statek odpływa tego wieczoru. – wtrąca James.

– Ale jak już mówiłam, ja nie wybieram się do miasta...

Mam ochotę wrzeszczeć z wściekłości, rzucić się na tą wnerwiającą, starą ropuchę i zatłuc ją na śmierć, żeby nie potrzebować już żadnego zezwolenia ze strony krewnych Joy'a. Biorę głęboki wdech i uśmiecham się tak słodko, że aż sama nie posądzałam się o to, że tak potrafię.

– Cóż, jeśli wyraża pani zgodę na moją propozycję, mam pewne rozwiązanie. Pozwoli pani, że sama udam się do ambasady i dostarczę pani dokumenty do podpisania?

– Może być. – lady Godiva macha ręką i wskazuje nam drzwi. – A teraz, jeśli nie macie nic więcej do powiedzenia, to nie zwracajcie mi już głowy.

Idę do drzwi tuż za Jamesem, rozmyślnie stając ubłoconymi butami na najjaśniejszych elementach wzoru na dywanie, pozostawiając na nich grudy brudu. Z ust kobiety wyrywa się pełen przerażenia okrzyk.

– Mój dywan! Mój piękny, astedeński dywan! – jęczy.

– Guzik prawda. – mruczę. – To falsyfikat.

– Jak śmiesz! Głupia smarkulo, nie znasz się nawet na sztuce!

– Oczywiście, że to falsyfikat. – powtarzam, odwracając się w jej stronę z ironicznym uśmiechem. – Prawdziwe astedeńskie dywany mają wzór w odwrotnym kierunku.

Po tych słowach odwracam się i zamykam za sobą drzwi, nieco głośniejsze niż planowałam.

– Chcesz zdążyć wypełnić dokumenty w ambasadzie, dostarczyć je tutaj do podpisania, złożyć z powrotem i jeszcze zdążyć na statek, nim „Rosamunda” podniesie kotwicę? – James unosi pytająco brwi.

– Tak. – mówię.

– Cóż, w takim razie czeka nas chyba bieg z powrotem do miasta.



Nie mogę znieść frustracji, którą rozładowuję, chodząc tam i z powrotem po korytarzu majarskiej ambasady.

Moje dokumenty właśnie przygotowano i trwało to niemożliwie długo.

– Sugerowałbym pani usiąść. – zwraca się do mnie przechodzący obok urzędnik. – To chwilę zajmie.

– Wiem. – mruczę pod nosem.

– Mam tylko nadzieję, że nie przebije się pani piętro niżej. Nie wiem ile już pani tak chodzi, ale podłoga chyba w końcu się zetrze.

– Dziękuję za tę uwagę, zapamiętam. – odpowiadam.

– Drobiazg.

Zastanawiam się, czy James odnalazł już Daniela Moondrownera. Po powrocie do miasta rozdzieliliśmy się – kapitan udał się na poszukiwanie Daniela, by poprosić o chwilę czasu dla mnie. W ostateczności musiałabym zostać w Kraterii do następnego rejsu „Rosamundy”, o ile takowy w ogóle nastąpi. Daniel podlegał królowi Majaru, a ten mógł wysłać go na następny rejs dosłownie gdziekolwiek.

Gdy drzwi do gabinetu w końcu się otwierają i urzędnik zaprasza mnie do środka, mam ochotę skakać ze szczęścia. Wybiegam z dokumentami z ambasady i potrącam kilku przechodniów, którzy rzucają mi poirytowane spojrzenia, jednak zaraz zapominają o całej sprawie i idą dalej.

Gdy docieram do domu ciotki Joy'a, ledwo mogę złapać oddech.

Odnoszę wrażenie, że kobieta podpisuje się niemiłosiernie wolno. Zdaje się, że rozmyślnie stawia każdą literę najdłużej jak się da, uśmiechając się przy tym pod nosem.

Mam ochotę zrobić jej krzywdę.

A potem przypominam sobie krew Beckwitha na swoich rękach i chcę uciekać. Od siebie. Od swojego umysłu. Od potwora, który zagnieździł się w nim, wraz z rozpoczęciem podróży „Aquariusem”.

– Chcę otrzymać potwierdzenie. – mówi lady Godiva, dmuchając na atrament i oddając mi dokument.

– Potwierdzenie...?

– Otrzymasz je po dostarczeniu tego dokumentu. Chcę kopie. – mówi powoli.

Patrzę przez okno. Jest już grubo po południu. Zdążę, wiem, że zdążę oddać pismo do ambasady, ale nie ma mowy, abym zdążyła przybiec tu z powrotem z kolejnym bezsensownym skrawkiem papieru i wrócić do miasta, nim „Rosamunda” podniesie kotwicę.

Chcę krzyczeć. Chcę usłyszeć od kogoś, kogokolwiek, że zdążę, że mi się uda, że wszystko będzie dobrze. Kątem oka dostrzegam Joy'a. Stoi na szczycie schodów, do połowy ukryty za barierką i patrzy wprost na mnie. Czeka.

Wrywam dokumenty z rąk Godivy i wychodzę. Nie mam już siły biec, więc ruszam szybkim marszem. Gdy mijam zakręt, dobiega mnie niespodziewanie odgłos kroków. Odwracam się i widzę Joy'a, biegnącego w moją stronę. Przez ramię ma przewieszoną torbę, jakby był już gotów do drogi.

– Adoptowaliście mnie? – pyta. Jego oczy są ogromne i szeroko otwarte. Wyczekujące.

– Prawie. – mówię. – Muszę jeszcze zanieść to do ambasady. I dostarczyć potwierdzenie twojej ciotce.

– Ale przecież odpływamy wieczorem. – chłopiec marszczy brwi. – Nie zdążymy.

– Nigdzie nie odpływamy. – mówię w końcu zrezygnowana. Zwalniam, nie mam już siły, to i tak bezcelowe. Gdy dotrzemy do miasta, słońce będzie nisko na niebie. Gdy zniknie za horyzontem, „Rosamunda” odpłynie, a wraz z nią nadzieja na powrót do domu.

I James.

– Ale przecież mówiliście, że wieczorem odpływacie. – upiera się Joy, wciąż za mną idąc.

– Nie zdążymy na statek. Nie damy rady. Musimy czekać na kolejny rejs. – tłumaczę.

– Więc zostajemy w Kraterii? – pyta. – Gdzie będziemy mieszkać?

– Nie wiem. James mówił, że coś załatwi przed odpłynięciem.

Joy nagle staje jak wmurowany.

– Kapitan Crepusculum nie zostaje z nami? – pyta zdezorientowany.

– Nie. Kapitan Crepusculum odpływa. Zostajemy tu we dwoje. Możliwe, że już go nie zobaczymy.

– Nie. – mówi pewnie Joy. – Zobaczymy. I popłyniemy razem z nim. – oznajmia. Niespodziewanie wyrywa mi z rąk papiery i puszcza się biegiem w dół wzgórza. Nie pozostaje mi nic innego, jak biec za nim.

Joy czeka na mnie na głównej ulicy.

– Szybciej. – ponagla i rusza w stronę ambasady.

Ledwo idę, ale dzięki niemu wstępuje we mnie jakaś nowa siła. Tymczasem słońce powoli sunie w dół, a niebo maluje się fioletem.

Gdy wchodzę do ambasady, przed gabinetem do którego zmierzam dostrzegam księżniczkę Rohesię. Siedzi na krześle, z rozwichrzonymi jasnymi włosami, w koszuli i ciemnych spodniach. W rękach trzyma spory plik dokumentów, które

przegląda ze zmarszczonymi brwiami. Podnosi wzrok, gdy przechodzimy obok, a na jej twarzy od razu maluje się uśmiech.

– Reyna! – zwraca się w moją stronę. – Coś się stało? – pyta, widząc moją posępną minę, albo zmierzwione od wiatru włosy. Pewnie jestem cała czerwona po długim biegu i pewnie powinnam się przejmować tym, jak prezentuję się w obecności księżniczki, ale fakt, że to Rohesia, sprawia, że zupełnie się tym nie martwię.

Wykładam jej wszystko najszybciej jak potrafię, świadoma nieubłaganie szybkiej wędrówki słońca po niebie. Rohesia w skupieniu przymyka oczy, po czym robi dokładnie to samo, co wcześniej Joy – wyrywa mi dokumenty z dłoni. Te, które sama wcześniej trzymała, spadają i rozsypują się na podłodze – to chyba jakieś raporty, ale zdaje się nie takie ważne, bo księżniczka niepostrzeżenie depta kilka z nich w drodze do gabinetu.

– Załatwię to. – mówi spokojnym głosem. – Załatwię wszystko, idźcie na statek.

– Lady Godiva prosiła... – zaczynam.

– Lady Godivę też załatwię. – mruczy pod nosem, po czym nagle odwraca się i rusza z powrotem w moją stronę. – Idź. Weź chłopca i idź na statek. Jeszcze nie odpłynął. Zajmę się wszystkim... w końcu jestem księżniczką. – puszcza do mnie oko. – Obiecay mi tylko jedno.

– Oczywiście. Co takiego? – pytam.

– Że jeszcze się spotkamy. – mówi. – Odwiedź mnie jeszcze kiedyś. Może jak już będziesz sławną podróżniczką, może wcześniej.

– Z chęcią. – mówię, uśmiechając się. – Będę tęsknić.

– Ja również. – zapewnia i pospiesznie mnie obejmuje, a potem mierzwi czuprynę Joy'a. – A teraz idźcie. – mówi ponagląco, a my ruszamy w stronę schodów, skąd słyszę jej ostatnie słowa:

– Wracaj do swojego kapitana.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
znów na „Rosamundzie”*

*Powiedz mi, jak ty to robisz? Jesteś moim największym koszmarem, a zarazem
jedynym o czym śnię.*

Wodo

Reyna

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

DROGA DO DOMU

Chciało mi się płakać, gdy dotarliśmy do portu i ujrzałam „Rosamundę” skapaną w blasku zachodzącego słońca, wciąż zakotwiczoną przy brzegu.

Przed statkiem krzętały się marynarze, lecz ich sylwetki ledwo widziałam przez deszcz, który złapał nas w połowie drogi do portu. Jedną postać jednak rozpoznałam bez trudu.

Mam wrażenie, że Jamesa rozpoznałabym zawsze, nie ważne w jakiej mgłę czy śnieżycy musiałabym szukać.

Chodził tam i z powrotem po nabrzeżu w towarzystwie innej, wysokiej postaci – zdaje się, że Daniela. Widziałam, że tamten nachyla się w jego stronę i coś mówi, a potem obaj podnoszą wzrok na mnie.

Ja i Joy docieramy do nich zupełnie przemoczeni.

– Nie wierzę, że zdążyliśmy. – mówię.

– Daj spokój – odzywa się Daniel. – nigdzie byśmy bez was nie odpłynęli. Kazałbym załodze czekać i całą noc, gdyby było trzeba. – zapewnia, a potem wskazuje na statek, gdzie Marica dłubie coś przy rufie. – Mam też dobrą wymówkę, gdyby jakiś nadgorliwy podróżny dociekał, czemu jeszcze nie płyniemy. A zresztą nie sądzę, aby on zostawił was tu bez pożegnania. – macha głową w kierunku Jamesa.

– Doprawdy? – unoszę brwi. – A ja fatygowałam samą księżniczkę Kraterii, żeby tylko zdążyć na czas.

– Kogo? – tym razem to brwi Daniela podjeżdżają do góry.

– Księżniczka jest super. – oznajmia Joy.

James parska śmiechem.

– Chodź. – odzywa się w końcu. – Później opowiesz nam, jak do tego doszło. Trochę tu przemokliśmy, czekając na waszą dwójkę.

Chciałam wtrącić, że mogli przecież schronić się przed deszczem, zamiast czekać na nas na nabrzeżu, ale tylko zmarszczyłam brwi, ruszając za nimi.

Nie sądziłam, że poczuję ulgę mając pod stopami kołyszące się deski statku.



Choć dawno zapadła już noc, wciąż doskonale widać miasto portowe w Kraterii. Nie mogę odwrócić od niego wzroku. Wiem, że po drugiej stronie jest tylko morze, bezkresne i hipnotyzujące. I potwory, którym znów będziemy musieli stawiać czoła. I droga do domu.

Mam wrażenie, że jestem na pokładzie sama, choć na pewno wciąż kręci się po nim część załogi, bo pasażerowie, bez wyjątku, zaszyli się już w kajutach. To dziwne, ale perspektywa niemal miesiąca na morzu nie wzbudza już we mnie strachu. Teraz widzę jasno, że to nie morza nienawidziłam, a „Aquarius”. Na „Rosamundzie” jest inaczej. Ten statek sprawia, że wizja spędzenia tych wszystkich dni na morzu zdaje się być kojąca.

– Nie możesz spać? – słyszę niespodziewanie. Za mną stoi Joy, trochę rozczochrany, jakby od godziny próbował zasnąć, przewracając się z boku na bok, aż wreszcie dał sobie spokój.

– Ty, zdaje się, też. – zauważam i ponownie skupiam wzrok na powoli malejącym mieście. – Nie zobaczymy już lądu, aż do Wyspy Odrobiny Nadziei.

– Nie przeszkadza mi bezkresne morze. – stwierdza. – Gdy płynęliśmy w tą stronę, słyszałem jak kilkoro pasażerów uważało się, że nie może na nie patrzeć, ale mi nie przeszkadza.

– Mi też nie.

– Myślisz, że mógłbym wstąpić do Akademii Morskiej, gdy skończę tyle lat, co trzeba? – pyta.

Marszczę brwi. To pytanie nieco mnie dezorientuje. Wciąż nie mogę przywyknąć do myśli, że jestem za niego odpowiedzialna. Fakt, przemyślałam swoją decyzję i nie podjęłabym innej, choćbym mogła cofnąć czas, ale nie jestem pewna, jak mam się zachowywać ani, co robić. Wiem, że gdy wrócę, Joy trafi pod opiekę moich rodziców, ale puki co jestem zdana na siebie.

Z drugiej strony, czy troska o niego będzie się zasadniczo różnić od tego, jak musieliśmy się nim opiekować do tej pory?

– Nie wiem. – odpowiadam. – Ja... nie stać mnie, żeby opłacić ci naukę. – wyjaśniam.

Pamiętam jak na „Aquariusie” mówił, że wstąpi do akademii za pieniądze z rejsu po Bestialskim Morzu. Wtedy chyba jeszcze nie wiedział, że zmierza do swojej ciotki, a o akademii nie wolno mu będzie choćby śnić.

– Szkoda. – wzdycha. – Chciałbym być kapitanem.

– Może zapytaj Jamesa, jak do tego doszedł. – sugeruję. Skoro przybył do Majaru na gapę, domyślałam się, że nie miał grosza przy duszy. A jednak ukończył Akademię Morską i to niespodziewanie szybko.

– Pytałem. Opowiedział mi. I mówił bardzo, bardzo długo.

Parskam śmiechem.

– Mam wrażenie, że o sobie to mógłby mówić godzinami. – zauważam.

Joy też się uśmiecha.

– Ale... ty teraz jesteś tak jakby moją mamą? – pyta nagle.

– Nie! Nie, w żadnym wypadku. Mów mi po prostu „Reyna” albo „Rey”, jak zawsze. I nie traktuj mnie jak zrzędlivej staruszki, bliżej mi do twojej siostry, niż matki, to tylko wpis w papierach.

– A jak mam się zwracać do kapitana Crepusculum? – docieka.

– Pewnie: kapitanie Crepusculum, albo panie Crepusculum. Lepiej nie mów do niego „kapitanie” podczas rejsu „Rosamundą”. Tutaj rządzi Daniel.

Joy przez chwilę się zastanawia, po czym kręci głową.

– A, czyli to tylko ty mnie adoptowałaś, a on nie?
– Nie. – ucinam pospiesznie.
– Szkoda. – powtarza. – Moglibyśmy zawsze być razem, tak ja dotąd.
– My dwoje będziemy zawsze razem. – zapewniam. – Aż dorośniesz i będziesz mieć mnie dość.
– Będę?
Przewracam oczami, ale nie udaje mi się ukryć uśmiechu.
– Pewnego dnia na pewno.
– To chyba za wiele, wiele lat.
– Miejmy nadzieję. – mówię, a Krateria powoli staje się niknącym punktem na horyzoncie.



Podróż powrotna do Majaru mija szybciej, niż bym tego chciała. Właściwie, to teraz wolałabym, aby nigdy się nie kończyła.

Nie mogę odpędzić od siebie nostalgii od chwili gdy uświadomiłam sobie, co znaczy powrót do domu. To koniec wszystkiego.

Z chwilą gdy postawię stopy na przybrzeżnym piasku, wrócę do swojego dawnego życia, a ta podróż, choć z początku potworna, dobiegnie końca.

Gdy wrócimy do Majaru nadejdzie moment, w którym przyjdzie mi pożegnać Jamesa. Najprawdopodobniej na zawsze.

Jednak czas na „Rosamundzie” mija niesamowicie szybko. Staram się wykorzystać go jak mogę.

Teraz także dzielę kajutę z Maricą. Często pomagam jej w pracy. Asystuję, gdy całymi dniami szpera na pokładzie armatnim, co chwila wycierając ręce w kamizelkę, całkowicie upačkaną smarem i słucham, jak jej rewolwery co jakiś czas z brzdękiem zderzają się z metalem.

– Nie byłoby łatwiej, gdybyś je zdjęła? – spytałam pewnego razu.

– Nigdy ich nie zdejmuję. – oznajmiła, nie przerywając pracy.

– To dlatego tak rzadko pojawiaasz się na górze? Bo wywołałoby to powszechne przerażenie?

– Raczej zniesmaczenie. – stwierdziła, schodząc z drabiny i odrzucając brudną szmatkę do wiadra pod ścianą. Gdy schodziła, jeden z jej rewolwerów uderzył o wystający element, wydając donośny brzdęk. Zastanawiałam się czy słychać nas było na wyższych poziomach i, jeśli tak, to czy przerażone pasażerki nie umierały ze strachu sądząc, iż na statku są myszy. Myśl ta niebywale poprawiła mi humor.

Spędzam na pokładzie armatnim tyle czasu, że mam wrażenie, iż do końca podróży będę potrafiła przemieszczać się po nim po omacku. Równie dobrze mogłabym nająć się na następnym statku jako cieśla, bo artylerzystka „Rosamundy” – świadomie lub nie – przekazała mi ogromną ilość wiedzy.

Nie wszystko, za co zabiera się Marica, wymaga naprawy. Schodzenie tutaj, to jej sposób na ucieczkę od tych wszystkich głośnych i uciążliwych pasażerów.

Ja też mam ich dość. Może dlatego wciąż tu przychodzę. Może i dlatego, że po części naprawdę mnie interesuje, jak to wszystko działa i o co tu chodzi.

Wiem, że artylerzystka szczerze nienawidzi, gdy coś zepsuje się na górze. Gdy musi pracować, znosząc tych wszystkich ludzi patrzących jej na ręce.

Wczoraj w nocy coś się stało z żaglem. To jeden z tych dni, kiedy Marica potrzebna jest na górze, a ja idę razem z nią, starając się być użyteczną. I, chyba naprawdę taka jestem, bo jeszcze się nie zdarzyło, żeby mnie odprawiła. Może po prostu cieszy się, że ma towarzystwo. A może cieszy się, że ma do kogo pokląć na denerwujących podróżnych.

Gdy kończymy pracę, a kasztanowłosa artylerzystka przybija do masztu ostatni gwóźdź, zdaję sobie sprawę, że stojący przy burcie James przywołuje mnie gestem.

– Obserwuję cię od jakiegoś czasu. – mówi. – Tobie się to podoba!

Nie wiem dlaczego odczuwam to jako oskarżenie. Może coś wewnątrz mnie chce mnie oskarżyć. Nie powinnam się interesować absolutnie niczym związanym ze statkami czy okrętami. Nie powinno mi się to podobać. Po tym, co przeszłam, powinno budzić we mnie wstręt i odrazę.

Ale tak nie jest.

A James mnie nie oskarża. Wydaje się wręcz... zafascynowany tą myślą.

– Może. – mówię w końcu. – Może trochę, faktycznie.

James nie może powstrzymać uśmiechu, który pojawia się na jego twarzy, dlatego pospiesznie odwraca się w stronę morza i opiera łokcie na nadburciu. Długą chwilę milczy.

– O czym myślisz? – pytam, opierając się obok.

– Gdy już wrócimy do Majaru... co zamierzasz robić? Mówiłaś, że nie masz zamiaru zostać lekarką.

– Nie. – przyznaję. – Kiedyś... kiedyś chciałam podróżować. Zobaczyć świat, który znałam jedynie z map i atlasów. Uciec gdzieś daleko od tych wód i potworów i całego tego mroku. Udawać, że tego nie ma, że to tylko bajki. Ale teraz sama już nie wiem. Może ucieczka nie jest wyjściem, może... może chciałabym zmienić ten świat, ale nie wiem nawet od czego mogłabym zacząć. A może to tylko naiwne wyobrażenia, bo dla tego morza nie ma już ratunku i nie ma już przyszłości, o którą można by zawalczyć.

– Nie. – protestuje James. – Przyszłość to coś, o co trzeba walczyć. Nie ważne jak, nie ważne jaka jest cena.

Przez chwilę stoimy w ciszy, potem przerywa ją krzyk któregoś z pasażerów.

– Przepraszam. – słyszę donośny głos Mariki, która pochyła się przed jakąś starszą jejmością i podnosi z jej stopy... młotek? Choć jej głos pełen jest fałszywej skruchy, nie jest ona w stanie ukryć szerokiego uśmiechu.

Ruszam w ich stronę, chcąc powstrzymać aferę, nim na dobre wybuchnie, jednak kapitan Moondrowner zatrzymuje mnie w pół drogi.

– Nic już nie zrobimy. – stwierdza. – Marica albo odpuści, albo zaraz pobije tę biedną kobietę.

W duchu przyznaję mu rację.

– Zamierzasz mu powiedzieć? – płynnie zmienia temat, wskazując brodą Jamesa, wciąż stojącego przy burcie tyłem do nas, podczas gdy morski wiatr rozwiewa jego ciemne włosy.

– Nie wiem. Raczej nie. – przyznaję, doskonale wiedząc, co ma na myśli.

– Jeśli ty tego nie zrobisz, to ja to zrobię. – ostrzega.

– Nie! – protestuję, trzepiąc go w ramię. – Nawet się nie waż!

– Zatem... – gestem nakazuje mi wrócić do Jamesa i z nim porozmawiać.

– Jeszcze nie teraz. – zwracam się do kapitana z błagalnym wzrokiem. – Przed nami jeszcze tydzień na morzu. Nie wytrzymam, jeśli wszystko schrzanię i przestanie się do mnie w ogóle odzywać.

– Nie sądzę, by to miało się tak skończyć. – stwierdza. – Nim wypłynęliśmy, biedak moknął stojąc na deszczu i cię wypatrywał. Potrzeba ci jeszcze jakiś bardziej dobitnych dowodów?

Powstrzymuję się przed pytaniem, dlaczego on sam moknął, dotrzymując Jamesowi towarzystwa. Przypominam sobie jednak Maricę, która majstrowała coś przy rufie statku. Bez wątpienia to na nią czekał Daniel.

– To jak, mam wziąć sprawy w swoje ręce? – pyta, podkasując rękawy, jakby szykował się do poważnej batalii, a nie rozmowy z mężczyzną, o uczuciach dręczących jego towarzyszkę.

– Powiem mu. – ulegam w końcu. – Ale jeszcze nie teraz.

– Zrobisz to w ogóle, zanim zejdziemy z okrętu? – głos Daniela pobrzmiwa sceptycyzmem.

– Tak, niech ci będzie.

W duchu jednak czuję, że nie będę w stanie spełnić tej obietnicy. Ani teraz, ani nigdy.

*Miesiąc 1, tydzień 1, dzień 1
w Port-Majar*

*Jesteś moim największym koszmarem, a nie potrafię śnić o niczym, prócz
ciebie.*

I tęsknię.

Jak za wodą.

Reyna

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

POŻEGNANIE

Dopływamy do Port-Majar z dwudniowym wyprzedzeniem.

Gdy moje stopy w końcu dotykają majarskiej ziemi, mam ochotę płakać: z ulgi, ze szczęścia, ze smutku.

Marynarze i pasażerowie po kolei schodzą ze statku – ci pierwsi od razu zabierają się do pracy, ci drudzy zataczają jak pijani. Ja też wciąż nie przywykłam do tego dziwnego uczucia stąpania po stałym gruncie po miesiącu na morzu.

Właściwie to nie wiem, co robić. Część mnie chce zostawić to wszystko za sobą i pobiec wprost do domu, do rodziców, którzy od miesiący muszą uznawać mnie za martwą, inna z kolei nakazuje mi stać tu i czekać – to może być ostatni moment w moim życiu, gdy widzę Jamesa Crepusculum.

Gdy wszyscy pasażerowie opuszczają w końcu pokład i kapitan schodzi na ląd. Idzie bezpośrednio w moją stronę.

– Myślę, że jeszcze się zobaczymy. – mówi Daniel z przebiegłym uśmiechem, choć ja wcale nie jestem tego taka pewna. – Cóż, puki co, życzę ci szczęścia. – mówi, podając mi rękę, a ja niepewnie ją uściskam. Ale z jego strony to podstęp, bo, gdy tylko to robię, ciągnie mnie w swoim kierunku i serdecznie obejmuje.

– Też ci życzę wszystkiego dobrego. – mówię, klepiąc go po plecach.

Z Maricą pożegnałam się jeszcze na pokładzie – artylerzystka nie zamierzała tak szybko schodzić na ląd. Powiedziała mi do widzenia, pomiędzy jednymi przekleństwami, skierowanymi do podróżnych, pozostawiających po sobie „ogromny burdel”, a drugimi, nazywającymi ich niewydarzonymi świniami. Potem pomachała mi na drogę z przyjaznym uśmiechem.

Chwilę zajmuje Jamesowi i Joy'owi odnalezienie mnie w tłumie pasażerów, ale w końcu znów jesteśmy wszyscy razem.

James przeczesuje ręką włosy.

– Zdaje się, że muszę udać się bezpośrednio do pałacu. – mówi takim tonem, jakby nic gorszego na świecie nie mogło go spotkać. Gdy przypominam sobie naszą wizytę w krateriańskiej ambasadzie dochodzę do wniosku, że pewnie właśnie tak jest.

– Powinam iść z tobą? – pytam. Oczywiście zrobiłabym wszystko, żeby uniknąć całej tej nudnej papierkowej roboty, ale to nasze ostatnie chwile spędzane wspólnie, więc chcę je przeciągać do granic możliwości.

– Zanudzisz się tam. – stwierdza z krzywym uśmiechem, który jednak szybko znika z jego twarzy. – Może lepiej, żeby o tobie nie wiedzieli, zważywszy, że Jefferson zwerbował cię na statek nie zupełnie legalnie. – mówi.

No tak. Beckwith nie mógł tak po prostu wpisać w akta mnie jako medyka, nie tylko dlatego, że wcale się do tego nie zgłosiłam, ale i z powodu, że w chwili wypłynięcia „Aquarius” na Bestialskie Morze wciąż byłam niepełnoletnia.

– Zatem... – mówię niepewnie. – to chyba moment, żeby się pożegnać.

James kiwa głową, ale nie mówi nic więcej. Joy przestępuje nerwowo z nogi na nogę.

– Wracaj do domu. – odzywa się w końcu, podchodząc i mocno mnie uściskając. – Oni tam uważają cię za martwą.

Ma rację, minęły całe miesiące od chwili, gdy pierwszy oficer „Aquarius” wywlekł mnie z domu i zamknął w okrętowej ładowni. Gdybym miała wrócić, nastąpiłoby to już dawno temu.

Z ociąganiem wypuszczam Jamesa z objęć i patrzę, jak mierzwi czuprynę Joy'a, a potem odchodzę.

Jasnowłosy chłopiec biegnie za mną.



Moje pojawienie się w domu przywitano to, czego się spodziewałam: niedowierzanie, osłupienie i łązy szczęścia.

Ja też płakałam.

Joy tylko stał za mną zmieszany.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz! – krzyczał ojciec, śmiejąc się i płacząc na przemian. – „Aquarius” miał wrócić miesiąc temu!

– „Aquarius” się rozbił, tato. – mówię, ściskając i jego i mamę. – Musieliśmy czekać na następny statek. Byłam w Kraterii, uwierzycie?! I na Dali!

– Gdzie leży Dala? – mama marszczy brwi, próbując przywołać w pamięci mapę naszego świata i umiejscowić tę dziwną nazwę.

– To wyspa. – wyjaśnia tata. – Na Bestialskim Morzu, za Czerwonymi Skałami. Coś ty tam robiła?

– Mówiłam, statek się rozbił na skałach. I morze zaniósło nas na wyspę.

– Całe szczęście, że żyjesz. Baliśmy się, że zabiją cię, jak tylko się okaże, że nie masz bladego pojęcia, jak leczyć ludzi. – mówi mama. – A tak właściwie, kim jest ten chłopiec? – unosi pytająco brew, wskazując na Joy’a, stojącego pod ścianą i wykręcającego palce.

– To Joy. – wyjaśniam i przez chwilę szukam odpowiednich słów, których mogłabym użyć, by wyjaśnić jego obecność tutaj. I fakt, że tu zostanie. – Właściwie Jonathan. On... – w tej chwili Joy wygląda na równie zmieszanego, co i ja. – W świetle krateriańskiego prawa sprawuję nad nim opiekę. – mówię w końcu.

– Adoptowałaś tego dzieciaka. – domyśla się ojciec. – Chociaż jest od ciebie młodszy o... ile? Siedem lat?

– Osiem. – wtrąca Joy.

– Nie miałam wyjścia. – mówię, bo to prawda. Gdybym tego nie zrobiła, wyrzuty sumienia zamęczyłyby mnie w drodze powrotnej na śmierć. – On nie ma już nikogo. Jego rodzice nie żyją, a stryja z którym podróżowaliśmy zamordowano.

Rodzice tylko kiwają głową. I oni i ja dobrze wiemy, że i tak nic już się nie da zrobić. Sprawa jest dokonana.

– No cóż, Joy, zdaje się, że od teraz to i twój dom. – mówi tata, pochylając się nad chłopcem.

Po raz pierwszy od przekroczenia progu naszego domu, Joy szeroko się uśmiecha.



Całą noc nie jestem w stanie zmrużyć oka, więc gdy tylko bogini Leo otwiera wrota swego złotego pałacu ukazując nam słońce, schodzę na dół, do kuchni. Mama już tam czeka.

– Nie spałam całą noc. – przyznaję.

– Ani ja.

– Ty nie masz szoku po zejściu z okrętu. Nie mogę przyzwycząić się do tego bezruchu.

Siedzimy obie w kuchni, a za oknem świt zamienia się w blask dnia. Do południa mam już za sobą niemal całą historię mojej podróży. W międzyczasie przez pomieszczenie przewija się tata, szybko jednak wychodzi do pracy – całe szczęście wciąż nie brakuje ludzi, proszących o jego usługi.

Gdy wraca w końcu do domu, mama zna już całą historię, włącznie z komentarzami Joy'a.

Ojciec zdejmuje kapelusz i z westchnieniem siada w fotelu, podczas gdy ja przygotowuję się, by przejść przez całą tę opowieść raz jeszcze.

I wtedy rozlega się pukanie do drzwi.

Tata wzdycha ponownie, po czym wstaje ciężko i rusza do holu. Gdy tylko widzi, kto stoi przed drzwiami, otwiera je bez wahania. Ja i mama zaciekawione biegniemy zobaczyć kto to.

Jestem zaskoczona widokiem osoby, stojącej przed drzwiami.

James... co on tu robi?

Nie zdąży się jednak odezwać, bo ojciec wykonuje zamaszty ruch ręką i, z precyzją i siłą byłego nadwornego lekarza, policzkuje mojego byłego kapitana.

Ja i mama w jednej chwili zasłaniamy usta dłońmi: ona w wyrazie szoku pomieszanego z przerażeniem, ja, by ukryć uśmiech. Nie wytrzymuję jednak zbyt długo i wybucham śmiechem głośnym i niepohamowanym. Na ten dźwięk James unosi wzrok i w końcu mnie dostrzega.

Kapitan zbiera resztki swej godności – a, o dziwo, ma jej wciąż zaskakująco dużo – i kiwa głową na przywitanie. Na jego policzku już maluje się czerwony ślad.

– Ty... – zaczyna cedzić ojciec, jednak mama powstrzymuje go przed wybuchem, kładzie rękę na ramieniu i odciąga od drzwi.

– Czy... możemy porozmawiać? – pyta mnie James, niepewnie zerkając w stronę moich rodziców.

Potakuję i już mam zaprosić go do środka, ale nagle zaczynam wątpić, czy to na pewno dobry pomysł. W końcu decyduję się wyjść na zewnątrz.

Kątem oka dostrzegam rodziców, niepewnie obserwujących nas z okna.

– Przepraszam za to. – wskazuję jego twarz, do połowy zupełnie czerwoną. – Ojciec wyszedł wcześniej i dopiero wrócił. Nie zdążyłam mu o wszystkim powiedzieć. Wciąż obwinia cię za to... za to wszystko, co się stało. – tłumaczę, zataczając rękami kręgi w powietrzu.

– W porządku. – uspokaja James. – Jeśli to za Jeffersona, to śmiem twierdzić, że przydałby się mocniejszy cios.

– Mocniejszy? James, masz czerwone pół twarzy.

– Dla niego to wciąż za mała kara.

– Gdyby mama się nie wtrąciła, mógłbyś zostać pobity nieco bardziej dotkliwie. – zauważam. – Więc uznajmy, że śmierć była stosowną karą dla Jeffersona i wybacz mojemu tacie.

James uśmiecha się krzywo.

– Nie mam do niego o nic żalu. – zapewnia i po chwili dodaje. – Jestem tu, by wypłacić ci wynagrodzenie.

– Dostanę... wynagrodzenie? – otwieram szeroko oczy.

– Zgodnie z prawem, uzdrowiciel podróżujący z Majaru do Kraterii otrzymuje zapłatę o wysokości dwustu jednostek rubinowych i siedemdziesięciu szafirowych.

– Ilu?

– Pozwoliłem sobie jednak je wydać. – oznajmia i mówi dalej nie pozwalając mi się wtrącić, nawrzeszczyć na niego czy chociażby zadać jakiegokolwiek pytanie. – W Akademii Morskiej przyjmują zapisy na kolejny rok. Wpisowe to sto rubinowych i pięćdziesiąt szafirowych. Możesz nienawidzić morza po tym wszystkim, ale pomyślałem...

– Chcę iść do akademii. – w końcu udaje mi się mu przerwać. – Naprawdę. I nie nienawidzę morza.

James uśmiecha się szeroko.

– I mam dla ciebie coś jeszcze. – oznajmia, sięgając do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Nie widzę, co wyciągnął, bo ukrywa to w dłoni, a potem kładzie na mojej. Przedmiot jest mały i chłodny. To nie jednostki, ani rubinowe, ani nawet szafirowe.

– Porwali cię i zmusili do samobójczej wyprawy przez morze. – mówi. – Ale teraz w końcu możesz zostać sternikiem własnego losu.

Kapitan zabiera rękę i w końcu widzę, co pod nią leżało.

Srebrny łańcuszek z maleńkim kołem sterowym odlanym ze srebrnego metalu.

– Jeśli powiesz, że wydałeś na to resztę mojego wynagrodzenia, nie będę się hamować i zrobię to samo, co tata. – ostrzegam.

– Spokojnie, to nie z wynagrodzenia. – James unosi ręce. – Chyba, że wliczasz w to moje odszkodowanie. Podoba ci się?

– Jest piękny. – zapewniam.

– Resztę wynagrodzenia możesz odebrać w zamku, razem z Joy'em. Na niego czeka trochę jednostek za Henricka. Myślałem, że zdążę wam je dostarczyć przed wypłynięciem, ale chyba już nie dam rady.

– Wyplłynięciem? – marszczę brwi. Nie wiem dlaczego, zaczynam odczuwać cień niepokoju.

– To druga rzecz, o której chciałem z tobą pomówić. – wyjaśnia. – Zostałem przypisany do kolejnej wyprawy. Płynę na południe jako kapitan majarskiego ambasadora.

– Kiedy wypływasz? – pytam. Nie wiem, jak brzmi mój głos, bo ledwo go słyszę.

– Jutro wieczorem.

Czuję się, jakby teraz to mnie spoliczkowano.

– Ale... wracasz...?

James wzdycha i wiem już, że nie spodoba mi się to, co zaraz powie.

– Moja służba będzie trwała tyle czasu, co ambasadora. Wrócę za pięć lat.

Tonę. Wiem, że tonę, choć od wody dzielą nas kilometry. Nawet, gdy znów się odzywa, nie mogę złapać tchu.

– Minie, nim się obejrzysz. – zapewnia, uśmiechając się łagodnie. Już wtedy powinno mnie coś tknąć. Powinno zrozumieć, że on wcale nie uważa, żeby był to dla nas koniec.

To nie pożegnanie.

Nie na zawsze.

Nie wiem, jak to się stało, że stoimy tak blisko siebie. Nie pamiętam, żebym się przemieszczała, on też nie.

I nie wiem, które z nas było pierwsze, ale chwilę później stoję na palcach, a on mnie obejmuję i całujemy się, jakby nie miało nas dzielić pięć lat, a cała wieczność.

Smakuje solą i wolnością. Szczęściem i słońcem. Łzami, które nie popłynęły i pożegnaniem, które miało nie nastąpić.

Zapominam o tym, że moi rodzice na pewno na nas patrzą, że ktoś z ulicy może nas zobaczyć, a tego rodzaju skandal to ostatnie, czego potrzeba teraz w moim domu. Kapitan i zwykła mieszczanka, których dzielą różnice nie do pokonania.

– Więc... spotkamy się za pięć lat. – mówię, gdy w końcu się od siebie odsuwamy.

James kiwa głową. Nie mówi nic więcej, tylko się uśmiecha, tym łagodnym, nieco krzywym uśmiechem, który tak dobrze znam.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że pięć lat, to okropnie dużo czasu.

EPILOG

Siedzę na łóżku i ceruję swoje stare koszule do gasnącego powoli słonecznego światła, gdy nagle dobiega mnie odgłos otwieranych z rozmachem drzwi wejściowych, uderzających o ścianę.

– Joy! – krzyczy mama. – Prosiłam, żebyś otwierał drzwi jak każdy normalny człowiek?!

– Już odpłynęli? – zainteresował się ojciec. – Przekazałeś kapitanowi moje przeprosiny?

– Tak. – zapewnia Joy, podczas gdy ja powoli schodzę ze schodów. Kapitan Crepusculum się na ciebie nie gniewa, tato. – zapewnia, a potem patrzy w moją stronę. – Rey, szkoda, że jednak nie przyszłaś. Kapitan był trochę zawiedziony, chyba liczył, że jeszcze cię zobaczy.

Nie chciałam iść do portu i patrzeć jak statek ambasadora odpływa. Wtedy pożegnanie byłoby jeszcze trudniejsze. Jeszcze trudniej byłoby mi się pogodzić z tym, że James odszedł.

– Czyli... już odpłynął? – pytam.

Joy kiwa głową.

– Odpływali, gdy zawróciłem do domu. Pewnie ciągle jeszcze ich widać.

Coś we mnie pęka. Coś, co każe mi udać się do portu i zobaczyć Jamesa jeszcze jeden raz, ten ostatni, nim zniknie na dobre.

– Nie zdążysz. – stwierdza Joy, widząc, że idę w stronę drzwi.

– Jak pobiegnie, to zdąży. – mówi ojciec ze swojego fotela. Rzucam mu powolne spojrzenie, a potem wybiegam gwałtownie z domu.

Biegnę do portu. Nie przejmuję się tym, że potrącam po drodze wszystkich przechodniów, ani tym, że w pośpiechu nie założyłam nawet butów i teraz co chwila kamienie z chodnika wbijają się w moje bose stopy.

Gdy dobiegam do portu i zatrzymuję na nabrzeżu, widzę statek. Jest już dość daleko, ale wciąż mogę dostrzec poruszające się na nim sylwetki. Wytężam wzrok, ale są niewyraźne i małe. Nie sposób odróżnić je od siebie.

Wtem jedna zatrzymuje się. Patrzy, zdaje się, że wprost na mnie. Próbuje rozpoznać mnie, tak jak i ja próbuję rozpoznać jego. Unosi rękę i macha w moją stronę. Robię to samo i mu odmachuję.

Stoję na nabrzeżu, gdy wieczór zamienia się w noc, słońce w księżyc, a statek na dobre znika za horyzontem.

Spis treści

Rozdział Pierwszy
Rozdział Drugi
Rozdział Trzeci
Rozdział Czwarty
Rozdział Piąty
Rozdział Szósty
Rozdział Siódmy
Rozdział Ósmy
Rozdział Dziewiąty
Rozdział Dziesiąty
Rozdział Jedenasty
Rozdział Dwunasty
Rozdział Trzynasty
Rozdział Czternasty
Rozdział Piętnasty
Rozdział Szesnasty
Rozdział Siedemnasty
Rozdział Osiemnasty
Rozdział Dziewiętnasty
Rozdział Dwudziesty
Rozdział Dwudziesty Pierwszy
Rozdział Dwudziesty Drugi
Rozdział Dwudziesty Trzeci
Rozdział Dwudziesty Czwarty
Rozdział Dwudziesty Piąty
Rozdział Dwudziesty Szósty
Rozdział Dwudziesty Siódmy
Rozdział Dwudziesty Ósmy
Rozdział Dwudziesty Dziewiąty
Rozdział Trzydziesty
Rozdział Trzydziesty Pierwszy

EPILOG